

częstochowski magazyn literacki
Towarzystwa Galeria Literacka





Ludmiła Mariańska, foto: Piotr Dłubak

SŁOWO OD REDAKCJI

Pamięć 3

POŻEGNANIA

Andrzej Kalinin, *Włodzimierz Odojewski (1930-2016) – wspomnienie* 4

WYDARZENIA

Kalendarium: kwiecień – czerwiec 2016 7

Elżbieta Hurnik, *Książka o Ludmile Marjańskiej* 8

Bogdan Knop, *Stypendium MKiDN dla Olgi Wiewióry* 9

ŚWIADECTWA PRZESZŁOŚCI

Listy do Ludmiły Marjańskiej 10

WSPOMNIENIA O LUDMILE MARJAŃSKIEJ

Andrzej Kalinin, *Ludmiła Marjańska* 18

Tadeusz Piersiak, *Z Zosią protekcją* 23

Józef Figiel, *Krótkie wspomnienie o Ludmile Marjańskiej* 24

Małgorzata Franc, *Ludmiła Marjańska w moich wspomnieniach* 25

Piotr Dłubak, *Portret Pięknej Pani, wspomnienie o Ludmile Marjańskiej* 27

SZKICE, ESEJE, RECENZJE

Bożena Gorska, *Ludzkie przygody ludzkie noś* 30

Elżbieta Hurnik, *O wierszach Ludmiły Marjańskiej i Tadeusza Chabrowskiego* 42

Iwona Skrzypczyk-Gałkowska, *Częstochowa w życiu Ludmiły Marjańskiej* 46

CONVERSATIO

Ludmiła Marjańska – poetka pejzażu. Z Marią Nasińską rozmawia Anna Zagroba .. 57

BIBLIOGRAFIA

Ludmiła Marjańska – bibliografia utworów opublikowanych w czasopiśmie
ALEJE 3 i ALMANACH 58

POEZJA – DEBIUT

Weronika Kowalik, *Epitafium dla chwili wkrótce minionej* 61

Małgorzata Franc, *W poszukiwaniu własnej poetyckiej drogi*
 – *O wierszach Weroniki Kowalik* 62

POEZJA

Bożena Gorska, **** [ludzie przychodzą w ciszy], Do przyjaciół Francuzów* 65

Agnieszka Jarzębowska, **** [A Litwa cała zielona...]* 65

Barbara Rosiek, *Pisane przed śmiercią* 66

Marcin Zegadło, *Wiersze nowe* 69

Wiesława Owczarek, *Życie wewnętrzne* 71

Anna Jędryka, *Wiersze olsztyńskie* 72

Jacek Gierasinski, *Kiedyś nadam im tytuły* 73

Barbara Strzelbicka, *Cztery wiersze o miłości* 75

Arkadiusz Frania, *Z tomu: Zbieracze lawendy* 76

PRZEKŁADY

Sergiej Moreino, *Kolor: czarny* 78

DRAMAT

Lech Brywczyński, *Zguba, dramat w jednym akcie* 85



PROZA

Janusz Mielczarek, *Mężczyzna na godziny* 90

FOTO GALERIA

Piotr Dłubak 102

Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K

Małgorzata Nowakowska-Karczewska, *Księżyc* 105

HISTORIA W GALERII

Jarosław Kapsa, *Listy z niewoli* 115

RELACJE

Agnieszka Jarzębowska, *XXIII Międzynarodowy Festiwal Poetycki* 112

Tomasz „Aztzenty” Barański, *Staram się być w pisaniu absolutnie szczerzy*.

Spotkanie z Tadeuszem Chabrowskim 118

Jak otrzymać kredyt w... teatrze 120

Barbara Strzelbicka, *W obronie sacrum*.

XXVI Festiwal Muzyki Sakralnej GAUDE MATER 122

Z PODRÓŻY

Tomasz „Aztzenty” Barański, *Tu byłem (Białystok)* 126

NOTY O KSIĄŻKACH

Hanna Brakoniecka, *Głowa na piecu, czyli 77 opowieści o dzieciach* 129

Arkadiusz Frania, *Zbieracze lawendy. Wybór wierszy* 129

Mała antologia poezji francuskiej w przekładach Kazimierza Brakonieckiego 129

Joanna Polis, *Barbara Rosiek. Inna perspektywa* 129

Barbara Rosiek, *Anka Pióro* 130

Barbara Rosiek, *Wiersze zebrane* 130

Waldemar Gaiński, *Wiersze ostatnie* 130

Ryszard Wytrych, *Z nurtem, ale pod prąd* 130

ZAPISKI GALERJANA

Jan Ciesielski, *Co jest grane?* 131

NOTY O AUTORACH

Tadeusz Piersiak 24

Iwona Skrzypczak-Gałkowska 56

Anna Zagroba 59

Weronika Kowalik 62

Marcin Zegadło 70

Siergiej Morejno 84

Lech Brywczyński 89

Piotr Dłubak 103

PAMIĘĆ

Losy dzieł poetów zależą od porywów wiatru i historii i czasem „popiół zostanie tylko i zamęt”, ale bywa też tak, że „na dnie popiołu gwiazdzisty dyjament”. Niezbadane są wyroki Boskie? Możliwe, ale czy jednak tak niewiele zależy od naszych wysiłków, od tego, czy chcemy? Czyż zapoznanie poety nie polega też na tym, że nie ma komu przywrócić go światu, dostrzec w jego dziele owego *gwiazdzistego dyjamentu*? Poryw historii może zmieść na bok spuściznę po twórcy, ale inny może ją postawić na powrót w centrum uwagi. Tak przykładowo było z Norwidem, z Sępem – Szarzyńskim, a w muzyce – z Bachem.

Ten numer GALERII postanowiliśmy dedykować twórczości zmarłej przed 11 laty Ludmile Marjańskiej. Poetce, niestety, dziś trochę zapomnianej, a chyba i za życia nie dość docenianej. Przy tym mocno związanej z Częstochową i związki te podkreślającej. Poetce, ale przecież i znakomitej tłumaczce z literatury angielskiej, i powieściopisarce. Zamieszczamy kilka wspomnień o urodzonej w Częstochowie twórczyni: Andrzeja Kalinina, Piotra Dłubaka (który także udostępnił zdjęcia Ludmiły Marjańskiej i którego sylwetkę prezentujemy w dziale FOTO Galeria), Tadeusza Piersiaka, Małgorzaty Franc, Józefa Figla. W tę konwencję wpisuje się również wywiad z prof. Marią Niasieńską, która знаła Ludmiłę Marjańską i jest autorką wspomnieniowej publikacji o poetce. Publikujemy napisany specjalnie dla GALERII esej Bożeny Gorskiej o twórczości Ludmiły Marjańskiej, dla GALERII powstał także tekst prof. Elżbiety Hurnik, zawierający interesujące porównanie wierszy Ludmiły Marjańskiej i Tadeusza Chabrowskiego. Związki Marjańskiej z Częstochową wnikliwie analizuje Iwona Skrzypczyk-Gałkowska. I wreszcie *specialite de la maison*: sześć listów do Ludmiły Marjańskiej udostępnionych nam dzięki uprzejmości Muzeum Okręgowego w Sandomierzu – nigdy wcześniej nigdzie niepublikowanych.

Przywracanie pamięci rozumiemy nie tylko w wąskim sensie szeroko dziś (i może nadmiernie) propagowanej polityki historycznej, ale i ciągłości kulturowej, tożsamości lokalnej, magiczności świata, który nas otacza. Będziemy kontynuowali w GALERII ów zamiar rekonstrukcyjny zapoczątkowany w numerze 34 przypomnieniem twórczości Haliny Poświatowskiej. Jeden z najbliższych numerów poświęcimy Tadeuszowi Gieryskiemu – poecie i mentorowi poetów.

W nurt wspomnieniowy wpisuje się piękny tekst Andrzeja Kalinina o Włodzimierzu Odojewskim. Zmarły niedawno prozaik jest autorem jednej z najważniejszych książek literatury polskiej XX wieku – „Zasypie wszystko, zawieje”. Książki porównywanej z „Ulisesem” Joyce’a, dzieła o, zdawałoby się, niewypowiedzianej traumie Polaków na Wołyniu, a przecież wypowiedzianej przez wielkiego artystę, bo tak trzeba nazwać Włodzimierza Odojewskiego. A pisze o nim twórca równie niezwykły i jakoś artystycznie spokrewniony poprzez swą powieść „I Bóg o nas zapomniał” – Andrzej Kalinin. Czasem, tak jak ludzie, spotykają się dzieła – tak jest z dwiema opowieściami o polskich kresach – Odojewskiego i Kalinina. Przypomnijmy, że w numerach 16 i 17 GALERII ukazały się teksty Bożeny Gorskiej o twórczości Włodzimierza Odojewskiego.

Czas teraźniejszy został przez nas także doceniony. Szczególnie bogaty jest tym razem dział „Poezja”, w którym prezentujemy ciekawy debiut młodej autorki oraz wiersze wielu poetów o uznanej renomie. W dziale „Proza” publikujemy opowiadanie Janusza Mielczarka, w dziale „Dramat” zaś debiutuje u nas Lech Brywczyński. W dziale „Przekłady” zamieściliśmy opowiadanie Siergieja Morejno, rosyjskiego poety, prozaika i tłumacza, mieszkającego na Łotwie. Wprowadziliśmy też nową rubrykę, zatytułowaną „Zapiski Galerjana”.

A kolejny numer będzie miał za postać główną Częstochowę – miasto, które nas ukształtowało, które nas przyciąga, dręczy i spać nam nie daje.

Bogdan Knop – *redaktor naczelny*

Andrzej Kalinin

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI (1930-2016) – WSPOMNIENIE

Dwudziestego lipca 2016 r. w szpitalu w Piasecznie pod Warszawą zmarł w wieku 86 lat wybitny polski pisarz Włodzimierz Odojewski. Z Monachium, gdzie mieszkał od 1970 r., przeniósł się do Domu Muzyka Seniora w podwarszawskich Kątach, bo, jak mówił, ostatnie swoje dni chciał przeżyć w Polsce. Odwiedzała Go tam córka na stałe mieszkająca we Francji, jak również przyjaciele literaci i najbliższa rodzina z kraju. Przy okazji tych odwiedzin zawsze się ożywiał, zwłaszcza gdy w rozmowie padały tytuły jego książek.

A miał ich sporo i to znakomitych.

Urodził się 14 czerwca 1930 r. w Poznaniu. Podczas okupacji niemieckiej przebywał z rodziną w Trembowli, po wojnie rodzina przeniosła się do małego wielkopolskiego Kłecka, które często potem pojawiało się w jego twórczości. Po maturze studiował socjologię i ekonomię. W r. 1951 debiutował powieścią „Wyspa ocalenia”, która we fragmentach nadawana była na falach Polskiego Radia. W 1959 r. przeniósł się do Warszawy, dwa lata później objął stanowisko kierownika Studia Współczesnego Teatru Polskiego Radia. Należał też do tzw. pokolenia „Współczesności”. Pracę w radio stracił po wydarzeniach marca 1968 r. Wyjechał najpierw do Francji na zaproszenie PEN Clubu, a później do Niemiec na stypendium przyznane mu przez berlińską Akademię Sztuki. Gdy Jan Nowak-Jeziorański zaproponował mu kierownictwo działu kulturalno-literackiego w Radio Wolna Europa, przeprowadził się z Berlina do Monachium. Tym samym wybrał los pisarza na emigracji.



Włodzimierz Odojewski (z prawej) i Andrzej Kalinin na zjeździe polskiego PEN Clubu w 2004 r.

W historii literatury polskiej zapisał się głównie znakomitą powieścią pt. „Zasypie wszystko, zawieje”. I to właśnie ta książka była powodem, że zainteresował się moim pisarstwem.

Poznaliśmy się wczesną wiosną 1994 r. w Krakowie. „Czas” krakowski drukował wtedy w odcinkach moją pierwszą książkę pt. „...i Bóg o nas zapomniał”. Włodzimierz Odojewski, podówczas szef działu kultury Radia Wolna Europa, bawił w Kra-

kowie. Zajął pokój w Hotelu Francuskim i rano przy kawie wziął się za przeglądanie miejscowej prasy. A tam natrafił na moją książkę.

Jak mi potem mówił, zainteresowała go jej tematyka: losy polskich wygnańców na wschodzie Związku Radzieckiego. Zajmował się przecież tą tematyką w swojej książce pt. „Zasypie wszystko, zawieje”, więc poszedł do redakcji „Czasu”, by zapytać, kto on zacz ten Kalinin, że o Syberii pisze? A traf wtedy chciał, że ja w tej redakcji właśnie byłem. Bo jakże inaczej mogłem świętować publikację swojej książki w tak znanym dzienniku krakowskim, jak „Czas”? Więc żeśmy się z Odojewskim spotkali. Kim jest pan Odojewski oczywiście wiedziałem, że pisarz, że wielki i w dodatku z legendarnego Radia Wolna Europa. Dla debiutanta, jak ja, to był szok. Stałem więc przed nim zażenowany, ze skołataną głową, aż on wyciągnął w moim kierunku dłoń i powiedział: Jeśli cała pańska książka jest taka, jak odcinek, który dziś przeczytałem, to gratuluję!

Boże Wielki, wsadził mnie tym na sto koni!

Zaraz potem poszliśmy pogadać „o naszych syberyjskich książkach”, jak to określił, do pobliskiej kawiarni. I chyba już wtedy przypadliśmy sobie do gustu, skoro nasza dobra znajomość trwała właściwie do Jego śmierci.

Tamtego dnia Włodzimierz Odojewski poprosił redakcję „Czasu” o kopię mojej książki „... i Bóg o nas zapomniał”. W tydzień potem zaczęto ją czytać w Radio Wolna Europa. Większego sukcesu nie mogłem sobie wymarzyć. Co wieczór całą rodziną słuchaliśmy tej audycji. Polska była już wtedy niepodległą, więc nikt Wolnej Europy nie zagłuszał.

Telefonowałem potem do pana Odojewskiego z podziękowaniami, ale On to bagatelizował. Mówił, że to nie jego zasługa, lecz książki, że dobrze się czyta itp. Ośmielony jego przychylnością zapytałem wtedy, czy nie zechciałby łaskawie napisać mi kilka słów wstępu do tej książki? I On na to przystał – ku mojej wielkiej radości.

Z tą radością to nie przesadzam ani jednym słowem. No bo sławny już przecież pisarz, członek PEN Clubu, szef kultury potężnej rozgłośni radiowej, zgodził się napisać słowo wstępne do książki kompletnego debiutanta. Większego szczęścia nie mogłem sobie wyobrazić. Dziś też nie mogę oprzeć się pokusie i ten tekst zamieszczam poniżej. I oto on.

„Mam kłopot z zakwalifikowaniem tego utworu. Dokument?

Tak, ale w pewnym, ograniczonym sensie. Są tu czyjeś poniewierki, czyichś zmarowanych lat, czyjegoś bólu, kogoś, kto autentycznie istniał. Bo nie autor to wszystko, co opisał, przeżył. On tylko usłyszał.

Tak więc mógłby to być dokument z drugiej ręki, co oczywiście obniżyłoby jego wartość, gdybyśmy rzeczywiście z zamiarem stworzenia dokumentu mieli do czynienia. Ale nie mamy. Mamy tu natomiast do czynienia z własną kreacją pejzażu i rzeczywistości zesłańczej, nawet jeśli nie była ona, ta kreacja, pierwotnym celem, nawet jeśli nie była w pełni uświadomiona.

Ponad wątpliwość trzeba jednak stwierdzić, że autor miał znakomite ucho na czyjeś opowieści (czytając jego prozę w odcinku gazetowym nie wiedziałem, że jego bliskiego krewnego) na sposób opowiadania często rozlewny, zbliżony do ludowego przekazu ustnego. Na smaczki językowe, na ową charakterystyczną mowę dla ludzi

wyrwanych ze swojego tradycyjnego otoczenia, środowiska, wyrzutek ze swojej ziemi i rzuconych na obczyznę, mieszanek językową, w której doszukać się można zarówno elementów dialektów kresowych, jak ukrainizmów, rusycyzmów, i pewnie innych jeszcze.

Nie wydaje mi się jednak, żeby autor spełniał tu rolę czegoś w rodzaju magnetonu, nawet jeśli z początku może chciał. W przypadku bowiem „narracji w czterech obrazach” pod tytułem „...i Bóg o nas zapomniał”, otrzymaliśmy w rezultacie prozę znakomitą, naznaczoną daleko posuniętym, świadomym procesem twórczym, poddaną obróbce materiału, selekcji, zagęszczoną, zmetaforyzowaną. I ten jedyny ślad prowadzący do jej źródła, to ów podtytuł „narracja”, to znaczy czyjaś opowieść, relacja. I ta właśnie forma nadaje prozie Kalinina swoisty charakter. Nie powieści, nie zbioru nowel powiązanych osobą narratora, ale ludowego poematu, okrutnego, przejmującego, zarazem przesyconego specyficznym liryzmem, ukazującego zdarzenia sprzed pół wieku, tamten świat i tamtych ludzi, a wszystko zanurzone w tej dziwnej mgiełce, którą tworzą oddalenie i praca pamięci.

13 kwietnia 1993 roku, Włodzimierz Odojewski”

W tak zwanym międzyczasie przeczytałem wszystkie książki Odojewskiego. Wiem więc, dlaczego był laureatem wielu nagród literackich. Jego proza w sposób świetny odwołuje się do tradycji literatury wielkich pytań egzystencjalnych. Intryguje nimi. Jest naznaczona nadto obsesją jego czasu, pamięci, nieuchronności losu. A wszystko to opowiedziane ze swadą i po mistrzowsku, bo autor sięga też chętnie do monologu wewnętrznego swoich bohaterów, a to wymaga już nie lada literackiego kunsztu. Przestrzeń, w której poruszają się jego

bohaterowie, to świat i krąg wielkich zdarzeń, namiętności i nieustannego ścierania się wartości.

Czas, o którym pisze Odojewski, to czas również mojego pokolenia i przez to pokolenie rozumiany najbardziej. Sam Odojewski tak o tym mówił:

„Moją ambicją jest ukazywanie świata, który odszedł, tak w opowiadaniu, jak w powieści i żeby nie odszedł także z naszej pamięci. Tak więc przywołuję czas przeszły z jego ludzkimi emocjami, ludzkim bólem, lękami, miłością, nienawiścią, a jednocześnie z jego historycznymi faktami.”

Przez okres naszej znajomości, czyli przez ponad dwadzieścia lat, widzieliśmy się kilkanaście razy. Zaś kontakt okazjonalny (z życzeniami świątecznymi czy imiennymi) mieliśmy prawie stały.

I tylko jedna wspólna fotografia została mi z tamtego okresu, zrobiona na Zjeździe Polskiego PEN Clubu w Warszawie w roku 2004.

KALENDARIUM



KWIECIEŃ – CZERWIEC 2016

1.04. – wernisaż wystawy Jacka Pałuchy „Dzień Kobiet”, OPK „Gaude Mater”;

1.04. – wernisaż wystawy Rafała Olbińskiego „podTEKSTY”, Miejska Galeria Sztuki;

6.04. – promocja tomu poetyckiego Wiesława Wyszyńskiego „Niebieska cyrkulacja”, OPK „Gaude Mater”;

16.04. – odsłonięcie ławeczki Antoniego Fertnera, ul. Wieluńska;

16.04. – obchody jubileuszu 40-lecia pracy artystycznej Mariana Panka: wernisaż wystawy „Ewokowanie obrazu. Retrospektywa” oraz spektakl autorski „Rekonstrukcja rekonstrukcji, reinterpretacja reinterpretacji happeningu Tadeusza Kantora «Lekcja anatomii wedle Rembrandta»”, Miejska Galeria Sztuki;

16.04. – Mistrzowskie Warsztaty Fotograficzne Janusza Mielczarka „Tajemnice portretu”, OPK „Gaude Mater”;

23.04. – promocja książki Aleksandry i Jacka Pawlickich *Siedem razy świat*, Konduktorownia;

30.04.-6.05. – XXVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”;

6.05. – spotkanie z Tadeuszem Chabrowskim i promocja książki *Nitka nieskończoności*, OPK „Gaude Mater”;

14.05. – Noc Muzeów;

20.05. – wernisaż wystawy poplenerowej Huty Częstochowa, Ratusz;

25.05. – wernisaż Drugiego Muzeum Zdzisława Beksińskiego, Miejska Galeria Sztuki;

28-29.05. – 26. Dni Samorządu Terytorialnego;

28.05. – koncert „Kalinowe Niebo”, Plac Biegańskiego;

28.05. – wernisaż wystawy Joanny Jeżewskiej-Desperak, OPK „Gaude Mater”;

1.06. – promocja książeczki dla dzieci Zbysława Janikowskiego *Złoty Potok*, OPK „Gaude Mater”;

2.06. – maraton czytelniczy „Bohaterowie Henryka Sienkiewicza”, Biblioteka Publiczna;

3-5.06. – XII Międzynarodowy Festiwal Jazzu Tradycyjnego HOT JAZZ SPRING Częstochowa;

4-5.06. – III Międzynarodowy Festiwal Filmów Dokumentalnych im. Braci Krzemieńskich „Moja Mała Ojczyzna”, Kino Studyjne „Iluzja”;

8.06. – wernisaż wystawy „Andy Warhol 33 1/3”, Miejska Galeria Sztuki;

9.06. – wernisaż wystawy „FOGTT”, Miejska Galeria Sztuki;

9.06. – wernisaż wystawy Andrzeja Fogtta „Artyści”, Konduktorownia;

14.06. – promocja książki „Crème de la Kreml” Wacława Radziwiłowicza, OPK „Gaude Mater”;

24-26.06. – Festiwal Kultury Alternatywnej Frytka Off;

30.06. – wernisaż wystawy rysunku studentów i pracowników Katedry Malarstwa AJD w Częstochowie „Rysunkarze”, Konduktorownia.

Barbara Strzelbicka

Elżbieta Hurnik

KSIĄŻKA O LUDMILE MARJAŃSKIEJ



W roku 2015 ukazała się – wydana przez Muzeum Częstochowskie – książka poświęcona Ludmile Marjańskiej, będąca zbiorem różnorodnych wypowiedzi, jak to już zapowiada jej tytuł: *O Ludmile Marjańskiej. Szkice – interpretacje – wspomnienia*, pod red. Elżbiety Hurnikowej, Iwony Skrzypczyk-Gałkowskiej (ss. 168, 16 nlb.). Publikacja została sfinansowana ze środków Gminy Miasta Częstochowy. Na piękną formę książkiłożyły się między innymi ilustracje i skany ze zbiorów Marii Marjańskiej-Czernik, Marii Nasińskiej, Biblioteki Publicznej im. dr. Władysława Biegańskiego, Książnicy Pomorskiej w Szczecinie, Muzeum Częstochowskiego. Promocja książki miała miejsce w październiku ubiegłego roku, w częstochowskim Ratuszu.

Historia powstania tej publikacji wiąże się z badaniami naukowymi prowadzonymi w Instytucie Filologii Polskiej Akademii im. Jana Długosza, w Zakładzie Historii Literatury Polskiej XX Wieku i Literatury Najnowszej. Do badań nad twórczością Marjańskiej przystąpili doktoranci Wydziału Filologiczno-Historycznego w dyscyplinie literaturoznawstwo. W grudniu 2013 roku w Instytucie Filologii

Polskiej zorganizowano pod moim kierunkiem Warsztaty Literaturoznawcze „Ludmiła Marjańska – w 90. rocznicę urodzin”. Doktoranci przedstawili referaty omawiające wybrane zagadnienia dotyczące twórczości Marjańskiej, wzięli też udział w sesji popularnonaukowej w Ratuszu Miejskim, która stanowiła ważne ogniwo obchodów 90. rocznicy urodzin poetki (w przygotowaniu obchodów wzięły udział różne placówki i instytucje, program koordynował Wydział Kultury, Promocji i Sportu Urzędu Miasta Częstochowy).

Najlepszym sposobem upamiętnienia postaci twórcy jest książka; jej idea krystalizowała się przez kilka lat. Do udziału w tej publikacji zaproszeni zostali przedstawiciele różnych pokoleń i różnych środowisk – badacze literatury z Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie, Uniwersytetu Śląskiego, Uniwersytetu Rzeszowskiego, nauczyciele, pracownicy instytucji kulturalno-oświatowych; zaprezentowały się w niej także doktorantki Wydziału Filologiczno-Historycznym AJD (literaturoznawstwo). Udział młodszego pokolenia w badaniach pozwala żywić nadzieję, że zainteresowania twórczością urodzonej w Częstochowie poetki będą nadal się rozwijać, że bogaty dorobek autorki Żywicy (poezja, proza, publicystyka, działalność kulturalna) pozostanie przedmiotem wnikliwych analiz i wszechstronnych interpretacji. Pragnę też nadmienić, że redaktorka książki, Iwona Skrzypczyk-Gałkowska przygotowuje rozprawę doktorską na temat prozy Marjańskiej.

Twórczość poetki odślania przed kolejnymi pokoleniami badaczy wciąż nowe oblicza, jest tak złożona, jak osobowość twórcza. Wszak w wierszu *dzień dobry* z tomu *Korona drzewa* autorka pisała: „Co rano mnie wita/ nowa **ja**, moim zżyciem/ jak suknią okryta”.

Bogdan Knop

STYPENDIUM MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO DLA OLGI WIEWIÓRY



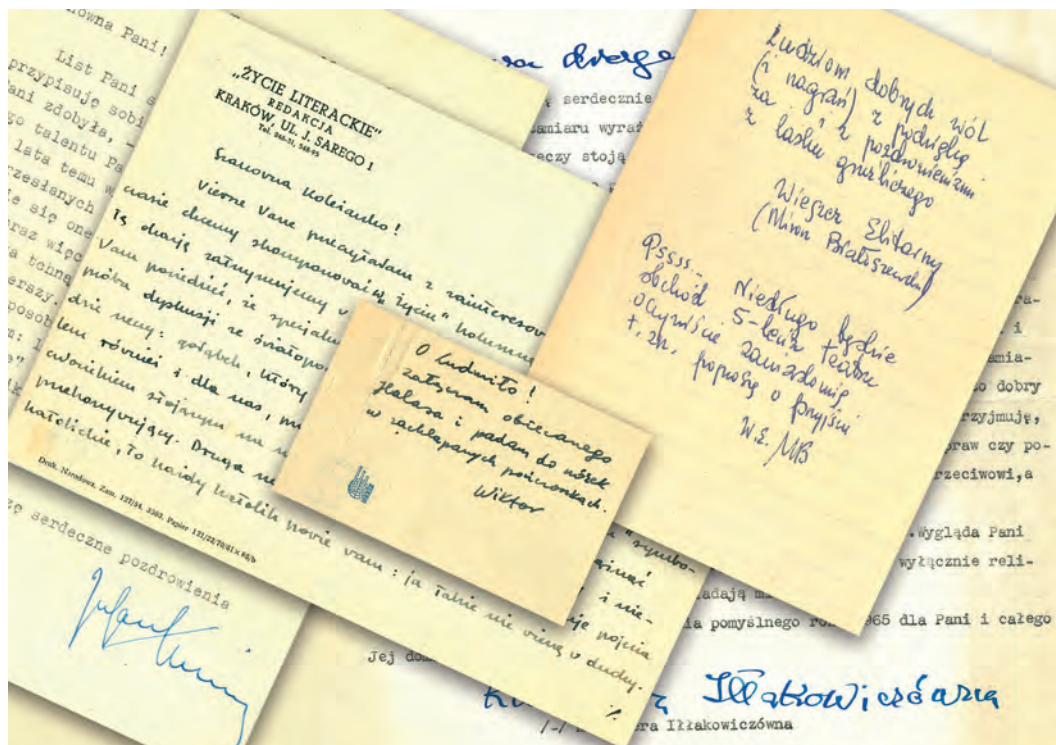
Z radością przyjęliśmy wiadomość, iż nasza Koleżanka Olga Wiewióra otrzymała stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w dziedzinie literatury w 2016 r. Stypendium zostało przyznane na działania związane z przygotowaniem antologii współczesnej poezji łotewskiej w polskim przekładzie. Łotewską literaturą Olga Wiewióra zainteresowała się bliżej podczas warsztatów literackich i translatorskich w Ventspils na Łotwie (pol.: Windawa) w 2014 r. Owocem warsztatów był przekład wierszy Karlisa Verdinasa, opublikowanych w „Odrze” oraz w „Galerii” (nr 34). Do udziału w warsztatach została zaproszona po raz drugi w 2016 r.

Uzasadnieniem dla przyznania prestiżowego wyróżnienia, jakim jest ministerialne stypendium, jest także dotychczasowy dorobek twórczy na różnych polach. Olga Wiewióra,

pseudonim literacki Aleksandra Keller, jest autorką trzech książek: „Dialogi rodzaju żeńskiego” (Częstochowa 2011), „Kellerowskie szkice częstochowskie 2009-2011” (Częstochowa 2011) i „Listy Nauzykai” (Lublin 2011), za którą otrzymała I nagrodę w kategorii „Najlepsza książka młodego autora” w XXI Ogólnopolskim Konkursie Literackim organizowanym przez Lubelski Oddział SPP i pod patronatem Prezydenta Miasta Lublina. Autorka jest wiceprezesem Towarzystwa Galeria Literacka, w latach 2013-2015 była redaktorem naczelnym Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria”, który zawdzięcza jej nową szatę graficzną i ogólnie – nowy wyraz. Współpracuje z miesięcznikiem literackim „Twórczość”, gdzie systematycznie są drukowane jej opowiadania, recenzje i relacje.

Serdecznie gratulujemy!

LISTY DO LUDMIŁY MARJAŃSKIEJ



Drukowane poniżej sześć listów do Ludmiły Marjańskiej pochodzi z zasobów Muzeum Okręgowego w Sandomierzu i udostępnione zostało naszej redakcji dzięki uprzejmości jego dyrekcji. W doborze listów wielkiej pomocy udzielił nam Jerzy Krzemiński – kierownik Działu Literatury Muzeum Okręgowego w Sandomierzu. Jemu też zawdzięczamy wiedzę o zasobie „Marjańskianów”. Ludmiła Marjańska bywała w Sandomierzu od roku 1986, zazwyczaj kilka razy w roku. Zamieszkiwała w małym mieszkanku, usytuowanym w kamienicy przy ul. Katedralnej, w sandomierskim rynku, gdzie mieściła się też siedziba Oddziału Muzeum Literatury im. Jarosława Iwaszkiewicza. Jako że mieszkanie znajdowało się w dyspozycji Muzeum Literatury, zamieszkiwali tu często pisarze i poeci. Zakochała się w tym mieście tak bardzo, że postanowiła podarować Mu-

zeum Literatury zasób korespondencji pisanej do niej w ciągu całego twórczego życia. Obecnie zasoby Muzeum Literatury zostały włączone w strukturę muzeum Okręgowego w Sandomierzu i stanowią Dział Literatury tegoż muzeum.

Drukowane listy to w kolejności:

- List Juliana Tuwima z 16 września 1953 r.,
- List Wisławy Szymborskiej z 29 marca 1954 r.,
- List Wiktora Woroszyńskiego z 20 marca 1963 r.,
- List Kazimierzy Iłakowiczówny z 31 grudnia 1964 r.,
- List Mirona Białoszewskiego (bez daty),
- List Józefa Ratajczaka z 5 grudnia 1977 r.

Bogdan Knop

Julian Tuwim

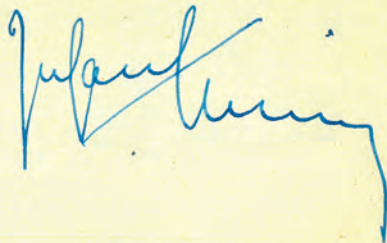
Warszawa, 16 września 1953.

Szanowna Pani!

List Pani sprawił mi prawdziwą radość. Nie przypisuję sobie żadnej zasługi w sukcesie, jaki Pani zdobyła, - jest to bowiem zasługa niewątpliwego talentu Pani, - ale miło mi bardzo, że już dwa lata temu wyczułem zalążki poetyckiego daru w przesłanych mi podówczas wierszach. O tym, jak pięknie się one rozwinęły świadczy "Ethel". Życzę Pani coraz więcej takich prostych, miłością dla człowieka tchnących, i do serc ludzkich przemawiających wierszy.

Przy sposobności dzielę się z Panią takim oto wspomnieniem: lat temu przeszło 25 zadebiutował w "Skamandrze" pewien młody wówczas poeta. Byłem wtedy kierownikiem poetyckim tego miesięcznika. Wiersz nazywał się "Hiacynt". Dzisiaj Pani debiutuje w redagowanym przez autora "Hiacynta" miesięczniku.

Łączę serdeczne pozdrowienia



„ŻYCIE LITERACKIE”

REDAKCJA

KRAKÓW, UL. J. SAREGO 1

Tel. 946-31, 540-95

dnia 29 marca 1954 r.

Szanowna Koleianko!

Wierne Paue przeczytałam z zainteresowaniem. W najbliższym czasie chcemy zorganizować „izbę” holennych młodej poezji i na tę okazję ratymujemy w Tece wierę pt. „Miłoi”. Jednocześnie chcę Paue powiedzieć, że specjalnie zachwyciłam się wierą „Nadzieja” jako próbą dyskusji ze światopoglądem metafizycznym. Racja, wiec jednak dwie rzeczy: gotabel, który jest mimo wszystko „konkretnym” symbolem również i dla nas, mycym gotabel który moie wtuzimac ciowickiem stojącym na nogach - to obraz nieco niezwykły i nie-mechanizujący. Druga rzecz to duchy. Jeżeli wierę atakuje pojęcie katolickie, to bardzo łatwo sobie sobie Paue : ja także nie wierę w duchy.

Druk. Narodowa. Zam. 127/54. 3300. Papier 121/22/70/61 x 86/b

Zadaje się, że pomienialicie pojęcia : dusza i duch ? Gdybyście mogła zmienić ich wiarę podług tych drobnych sugestii, nadałoby się do powrotu do nas.

tenż redakcja prowadzenie : iuz
prowadzenie w dalszej pracy

Witania Wybranek



M/5/2493

20. III. 63

Droga Ludmiło,
 ułatbyśmy mieć do Ciebie
 interes literary, ale mam, niestety,
 merkantylny.

Zatracam wiadomości 15 (stołnie :
 piętnaście) wierszy z mojego najnowszego
 zbiorku, który stoisztem właśnie w wydaw-
 niwie. 3 pełnowe drukowatem już w prasie,
 a pozostałych 12 nie drukowatem.
 Czy nie wybrałabyś z tego czegoś, upodobałszy,
 ma się rozumieć, z:

- a) dostępnym działowi poezji minimalistem
- b) planowaniu wierszy
- c) zwróceniu uwagi?

Stybyś, umieszam z drogi wynyskcie te
 przenikody, sprawić, że stwożę się przede
 mną, wrota Kany... - ach, Ludmiło!

Alc nawet jeżeli nieubłagane, ręką odnuciu
 moje wierszyki - i tak ci wybaczę, wisc się
 nie przepuśc.

Wiktór

Poznań

31 XII 1964

Gajowa 4 m. 8

Kaskawo droga Pani,

dziękuję serdecznie za miłe słówko z dnia 25 XII.

Nie miałam wcale zamiaru wyrażać jakichkolwiek uraz, po prostu chciałam dowiedzieć się, jak rzeczy stoją, t.j. czy samo nagranie już jest czymś płatnym, czy też rzecz jeszcze przechodzi przez różne instancje i dopiero po nadaniu się płaci. Byłabym się o to spytała sensownie zaraz po nagraniu, ale bardzo się spieszyłam i wyleciało mi to z głowy.

Bardzo byłam rada, że któryś z moich "piaszczystych" wierszy trafił jakoś do radia. Nie przyszło mi na myśl upominać się z tego powodu o honorarium. Wszystkie te moje rozsypane rzeczy Łaskawie załatwia p. Przanowski i przeważnie tylko z jego pisemek o nich się dowiaduję. Z rzadka zawiadamiają o czymś mówionym czy śpiewanym znajomi. "Wiersz miesiąca" to bardzo dobry pomysł. ~~Wierzę~~ Z ZAIKSem nie mam nic wspólnego i nic od nich nie przyjmuję, nigdy bowiem nie dawałam im pełnomocnictwa do ^azłatwiania moich spraw czy podejmowania moich należności. Robią to wbrew mojemu wyraźnemu sprzeciwowi, a więc bezprawnie.

Nigdy bym Pani nie podejrzewała o "dorastające dzieci". Wygląda Pani tak młodo. Ufam, że święta wypadły imponująco. Ja obchodzę je wyłącznie religijnie i zupełnie samotnie. Tak odpowiadają mi najlepiej.

Załączam najlepsze życzenia pomyślnego roku 1965 dla Pani i całego Jej domu. Gloria in excelsis!

Kazimierz Iłakowiczówna

/-/ Kazimiera Iłakowiczówna

ludziom dobrych wól
(i nagrań) z podzięk
za i z pozdrowieniami
z lasu gurskiego

Włocławek Elitarney
(Miron Białoszewski)

Pssss... Niedługo będzie
obchód 5-lecia Teatru
Ogólnie zarządowi
t. zn. propozycje o przyjęciu
W.S. MB

7(?)

R. 5 XII 77

Ludmiła! Boże, jakie jest zwariowane to życie! Czy także to odczuwasz? Ty, babcia najskodsza, przerośnięta we wnuczęta, co musi ciebie przedłużać tak bardzo w czasie, usprawiedliwiać i usensow^{niać} los. Wiem, co byś wol^{ła}ła. Oczywiście. A może nie śnią ci się krótkie kitki? A może nie budzisz się we śnie jako dziewczyneczka, podfruwajka, młódka do wzięcia, aa? No, mniejsza z tym. I tak kobieta jest istotą niezbadaną, mimo iż rzekomo, hm, hm, przyskrzyniam tutaj Ciebie i chojraka udaję. O sobie jednak myślę. A kiedy myślę /rzadko, nie pozwalają/ ogarnia mnie czarna rozpacz. Praca i jeszcze raz praca. Czy do tego mamy samych siebie sprowadzić? Pieniądze, za które nic nie ma. Sł^{wa}? Rozgłos? Śmiechu warto. Wiemy o tym dobrze. A jednak stwierdzam, że coraz mniej mam czasu - nawet dla najbliższych. Czł^{ek} urzędolⁱ. Biega, podpisuje listy, działa, pisze audycje - na UKF! - na coraz węższy zakres. To symboliczne. Nikt tego nie słyszy. Nikogo to ani nie obejdzie. Ale piszę i to czł^{ek}a zżera. Od dwóch lat siedzę nad książką o "Zdroju", to moje obciążenie, jeszcze studenckie, robiłem pracę magisterską z tego /czasopismo i grupa art. istn. w Poznaniu w latach 1917-1922, "reduta" polskiego ekspresjonizmu/, potem profesor namawiał, pisałem więc trochę i dałem się nabrać. Teraz mam za swoje. Siedzę w starociach. Piszę wreszcie. Ale daleko jeszcze do ko^ńca. I jaka praca, jakie szamotanie się z nieznanym, które z rąk umyka. W każdym razie - dałem się wciągnąć. To, co przeszłe, pożąda mnie nagle. Daję~~si~~ się więc porwać. To takie miłe Niemęskie. Iście kobiece. I już przez to samo, że oznakowane p^łcią przeciwną - pociągające. Dlatego

List Józefa Ratajczaka z 5 grudnia 1977 r.

pewnie milczę. Chociaż wciąż mi się wydaje, że dużo z tobą
 jestem. Jeszcze wiersze. Fajne. Bliskie mi nagle. Twoje wiersze.
 Nawet druk sposobny dla moich dalekowzrocznych /coraz bardziej/
 oczu. Ludmi! Ła! No wiesz, szkoda, że nie mogę pogawędzić.
 Chciałbym, w takich fajnych chwilach. Przypomina mi się wtedy
 Łódź, Toruń, najmniej Warszawa, która teraz - w końcu - stoi
 otworem przed twoim najnowszym - zrodzonym w Bielsku, przez
 Bielsko - maluchem. Nie udało nam się wtedy. A dzwoniłem do
 ciebie. Ale kobieta z samochodem staje się nieuchwytna. Wiem
 o tym co nieco. A więc - o litość proszę, o zrozumienie błagam.
 O to najtrudniej, prawda? Napisz kiedy przy okazji, co u Ciebie
 teraz. Jak żyjesz. Co porabiasz. Tak po ludzku. Poza radiem,
 które nie zawsze łączy, choć ponoć do Ministerstwa Łączności przy
 należy. Miła! Tymczasem, ~~bo~~ cię nudzę pewnie. Pa! Serdecznie
 ściskam.

Wzruszenie mi!
 Szluka, że nie Barbara,
 bo wątek ci trzęsł
 nien i spóźniło się
 (tylko o drun)
 życiowo
 Jacy



115/2189

Andrzej Kalinin

LUDMIŁA MARJAŃSKA

Upływa prawie 12 lat od tamtego poniedziałku 18 października 2005 roku, gdy doszła do mnie telefoniczna wiadomość o śmierci Ludmiły Marjańskiej. Wiedziałem, że chorowała, że leżała w szpitalu, lecz mimo to nie spodziewałem się takiej złej wiadomości.

I jak tu teraz o Niej pisać, gdy we wszystkich wspomnieniach dominuje takie ogromne poczucie straty, jakiej doznała polska kultura, a my, częstochowianie, szczególnie. Znałem ją przecież od lat, byliśmy nawet na ty. To Ona przecież, jako prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, witała mnie serdecznie, jak mówiła: swojego krajana z Częstochowy, w Domu Literatury w Warszawie, gdy uroczystie wręczano mi Literacką Nagrodę im. Czesława Miłosza za książkę „i Bóg o nas zapomniał”. Jej twórczość znałem oczywiście dużo wcześniej, bywałem na Jej spotkaniach autorskich, w naszej bibliotece na przykład, bo była dla nas, częstochowian, kimś wielkim i bliskim.

Ludmiła Marjańska, rodowe nazwisko Ludmiła Mężnicka, urodziła się 26 grudnia 1923 r. w domu przy ul. Siedmiu Kamienic, róg ul. św. Barbary. Pochodziła – jak mówiła – z rodziny sięgającej korzeniami Węgier. Jej dziadek, Leopold Mężnik, wychowanek Konserwatorium Wiedeńskiego, do połowy dziewiętnastego stulecia prowadził jasnogórski zespół muzyczny i chóralski. Ludmiła ukończyła Gimnazjum im. Słowackiego w Częstochowie. W czasach okupacji niemieckiej była harcerką i pełniła podziemną służbę w Szarych Szeregach. W roku 1945 wyszła za mąż za kolegę z harcerstwa, Janusza Marjańskiego. Ich ślub odbył się w kościele św. Barbary, po czym razem z mężem wyjechała na studia do Warszawy. W roku 1961 ukończyła filologię angielską na Uniwersytecie Warszawskim.

Kilkakrotnie była na stypendiach w USA. Jako poetka zaistniała tomikiem wierszy pt. „Chmurne okna”, potem powstały kolejne: „W koronie drzewa”, „Blizna”, „Zmrożone światło”, „Prześwit”, „Stare lustro”, „Żywica”, „Córka bednarza”. Napisała też powieści, takie jak: „Powrót do miłości”, „Stopa trzeciej Gracji”, „Życie na własność” oraz kilka książek dla dzieci i młodzieży. Tłumaczyła poezję angielską i amerykańską, m.in. Elizabeth Browning, Williama Butlera Yeatsa, Walta Whitmana, Emily Dickinson. W latach 1957-79 pracowała jako redaktorka audycji poetyckich w Dziale Literackim oraz w Programie III Polskiego Radia.

Od 1993 do 1996 roku była prezesem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Było to stanowisko bardzo wysokie i splendor ogromny. Mimo to nigdy nie zapomniła o swojej Częstochowie. Wyraźnie ciągnęło ją w rodzinne strony. Tu się przecież urodziła i tu spędziła młodość w kamienicy pod numerem 55 w Alei Najświętszej Maryi Panny. Tu ukończyła liceum i dopiero potem ruszyła w świat.

Była bardzo mądrą i wykształconą osobą. Przy tym znakomitą pisarką, poetką i tłumaczką literatury angielskiej, wiele razy nagradzaną różnymi wysokimi splendorami literackimi. Miałem wielki honor przyjmować ją w „Ratuszowym Salonie Wielkich Częstochowskich”, jaki w tamtych latach prowadziłem w częstochowskim Ratuszu.

Wiele nam wtedy o sobie opowiedziała. Mam zapis tamtego spotkania, więc niektóre Jej wypowiedzi przytoczę.

Jaka jest twoja, Ludmiło, recepta na życie?

Akceptować je, przyjmować jak niesie je życie, Nie poddawać się troskom. Bo kłopoty i zmartwienia są częścią naszego życia i trzeba je akceptować. A o przyszłości myśleć z ufnością.



Ludmila Marjańska na spotkaniu w częstochowskim ratuszu, foto: E. Grzebielucha

A jak powstają wiersze?

Nie wiem, bo wiersze przychodzą same, a „poezja to jest taki złoty szerszeń, co kąsa, więc powstają wiersze” – mówił Konstanty Ildefons Gałczyński i miał rację...

Z poezją zetknęłam się dość wcześnie, bo na imieniny czy pod choinkę dostawałam przeważnie tomik wierszy, wydany przez Jakuba Morkowicza. Wcześniej też zaczęłam pisać, ale traktowałam to raczej jako zajęcie trochę wstydlive i niezobowiązujące. Nie pisałam wierszy patriotycznych – a trzeba pamiętać, że moja młodość przypadła na lata okupacji – ani, już po wojnie, wierszy awangardowych. Moimi mistrzami byli skamandryci i Leopold Staff, a poezja musiała mieć rytm i rym.

Już w latach pięćdziesiątych Jerzy Putrament próbował daremnie wciągnąć mnie w swoją socrealistyczną orbitę. Daremnie też Julian Przyboś chciał uczynić ze mnie swoją uczennicę. Awangardowe wiersze pisane „pod Przybosia” nie udawały mi się zupełnie. Jedyne pamiątką kontaktów z mistrzem jest mój przekład wiersza Rilkego „Kochająca” w tomie redagowanym przez Przybosia.

Potem kilka wierszy posłałam Julianowi Tuwimowi po jego powrocie do kraju. Rozbawiło go widocznie moje stwierdzenie, że „mnie nie unieśmiertelni/befsztyk smażony na patelni” i odpisał mi kilka miłych słów. Poznałam Go potem osobiście i okazał się bardzo sympatycznym panem. Wciąż dużo czytałam i z równym uporem dużo pisałam i tak w 1958 roku udało mi się wydać pierwszy zbiorek wierszy pt. „Chmurne okna”.

Pisania wierszy nie nauczyli mnie jednak ani Przyboś, ani Tuwim, ani nawet przyjazny młodemu Jan Śpiewak, który dziwił się, że tyle co minionej wojny nie ma w moich wierszach. Pisania nauczyło mnie doświadczenie. Zrozumiałam, że wiersze wyrastają z przeżyć, z pamięci, z doznań, z tego wszystkiego, co nas spotyka. Powstają z głębi nas samych i domagają się wyrazu.

Lubię nadal strofę klasyczną, ale „złoty szerszeń” jest kapryśny: często wiersz nie może się w niej zamknąć. Pozwalam mu wtedy płynąć, jak mu się podoba i to on prowadzi myśl i rękę.

Dziś mogę powiedzieć, że miałam szczęśliwe życie. Niektórzy pytają, jak to? Przecież

była wojna. A my, mimo to, chodziliśmy w kapeluszach, nosiliśmy także kolorowe apaszki, a nawet tańczyliśmy na różnych potajemnych prywatkach. Bo młodość ma swoje prawa.

Najważniejsze momenty w życiu?

Było ich sporo, bo i życie dostałam długie. To, co ważne, zaczęło się dość wcześnie, bo miałam chyba 17lat, kiedy wstąpiłam do AK i złożyłam przysięgę na wierność Polsce. Ukończyłam potem kurs pielęgniarstwa i zostałam nawet dowódcą plutonu sanitarnego. Przydał mi się ten kurs szczególnie w październiku 1944 r., kiedy to wraz z koleżankami pełniłam nocne dyżury na dworcu w Częstochowie, gdzie z przyjeżdżających pociągów odbieraliśmy rannych powstańców warszawskich.

Przyszły potem nowe czasy i nowe przeżycia przysłoniły tamte wojenne.

Matura w Liceum Słowackiego, następnie studia w Warszawie i ślub w kościele świętej



*Ludmiła Marjańska i Andrzej Kalinin,
foto: E. Grzebielucha*

Barbary w Częstochowie z ukochanym Jurkiem Marjańskim. Szczęście było więc pełne. I wówczas zmarła mi Mama. Pełna bólu, rozpaczy i goryczy, zbuntowałam się nawet przeciw Bogu. Tę śmierć uważałam za wielką niesprawiedliwość.



Hanna Orsztynowicz; w głębi: Ludmiła Marjańska i Andrzej Kalinin

Cale szczęście, że czas leczy rany, a życie skutecznie weryfikuje młodzińcze poglądy. Pomogły w tym bardzo pierwsze wiersze, pierwsze książki, do których ma się stosunek jak do własnych dzieci, a więc z największą miłością i czułością.

I tak mam do dziś.

Ten przepiękny wieczór w Częstochowskim Ratuszu znakomicie sfotografował kronikarz tamtych spotkań, pan Gieniu Grzebielucha. Oto kilka z nich, świetnie przypominających klimat i atmosferę tamtych spotkań.

I jeszcze jedna ważna informacja. W trakcie tego niezapomnianego poetyckiego wieczoru wiersze Ludmiły Marjańskiej czytała znana warszawska aktorka, też częstochowianka, pani Hanna Orsztynowicz.

Moje prywatne CV¹

Odchodziły ode mnie po kolei dziewczynka w białej sukience do Pierwszej Komunii uczennica w granatowym mundurku z niebieską tarczą na rękawie

Zakochana dziewczyna
odjechała na rowerze
wioząc do lasu pistolet
Była jeszcze studentka tajnej
wyższej szkoły dyplomatycznej
(nigdy nie została dyplomatką)
Doroślały
choć nigdy nie udało im się
naprawdę dorosnąć
Potem już dużo wolniej odchodziły
Osiwiała
zaczęłam pisać wiersze
o tamtych
które musiałam w sobie pochować.

Mój życiorys

Szkic tylko:
codziennie od nowa
żyć zaczynam
i życie z życiem się przenika
dawnym, przyszłym, dzisiejszym,
własnym, cudzym, twoim.
Czarny kamień
Miłości moja trwająca od wieków
jak światłość słońca, jak ciemność północy,
twoje księżycy burzliwym przypiływem
wznosiły morza,
aby znieść później na bezludne brzegi
strzęp ludzki.

Miłości moja
i ty się rozpadłaś
jak atom niegdyś niepodzielny,
rozbita częśćka materii
zdolna świat rozbić.

Miłości, już nie moja,
obca i odległa
jak lodowaty ocean,
martwa jak księżyc odsłonięty oczom
astronautów, odkrywców próżni,
z rozżarzonego kosmosu
unoszących tylko
czarny kamień.

Zaręczyny

Na wspólną radość
na wspólną biedę
na chleb codzienny
i na poranne otwarcie oczu
w blasku słonecznym.
Na dobry wieczór
na długi wieczór
na zgodne ciepłe
ścielenie łóżek.

Na twoją obecność
na moją inność
na dwie połowy
w jednej łupinie
słodki orzech
twardy do zgryzienia
na nieustanne sobą zdziwienie
na gniew, krzywdę i przebaczenie
wybieram ciebie.

Lata 90. ubiegłego wieku to okres bardzo aktywnej pracy Ludmiły Marjańskiej w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich. Została wówczas prezesem tego zacnego gremium. Spotykaliśmy się wtedy dość często. Przez dwie bowiem kadencje byłem członkiem Zarządu Głównego z funkcją przewodniczącego komisji rozjemczej. Bywało więc, że brałem udział w różnych kolacjach literackich, gościłem także w domu Ludmiły przy ulicy Raszyńskiej w Warszawie, gdzie honory domu pełnił, zawsze serdeczny i szarmancki, mąż poetki, pan Janusz Marjański, który był żołnierzem września 1939 roku, a potem oficerem AK, za co więziony był przez komunistyczne UB. Dla niego też powstały piękne wiersze.

Małżeństwo

Jesteśmy sobie potrzebni jak ziemi
potrzebna woda, jeśli plon ma przynieść.
Ach, czy to miłość?
Jej owoce przecież

dawno dojrzały i mówimy o nich:
daleko padły jabłka od jabłoni.
A więc jałowe lata nas czekają –
dwoje wygnańców z miłosnego raju?
Tylko trud dzielić i codzienny chleb
Czy potrafimy, aby nie był gorzki?
Spróbujmy jednak. Po burzliwym dniu
Cieszy łagodny i spokojny zmierzch.
Podaj mi rękę. Nie jesteśmy sami.
Jabłoń przekwitła, lecz pachnie jabłkami.

Złote Gody

Ziele piołunu, ziarno goryczy.
Wspólnie przeżytych
dni nie policzysz
Leśne poziomki i krzaki malin
Zetlały popiół
Żar się wypalił.
Oddzielne ścieżki
wspólne ogniska.
Złota obrączka
węzeł zaciska.



*W Kusiętach: Ludmiła Marjańska (z prawej),
Andrzej Kalinin (w środku)*

Ludmiła Marjańska gościła często u nas w Kusiętach. Razem oglądaliśmy pokazy sztucznych ogni w Olsztynie, zbieraliśmy grzyby na Zielonej Górze i za każdym razem niby przypadkowo obecny u nas doktor Mierzwa wypytywał ją o zdrowie. I to był nasz hołd dla wielkiej poetki. Dowodem tych kuśięckich spotkań jest fotografia z tamtych lat.

Niestety, czas przesunął to wszystko w przeszłość, w niebyt. Choć wiersze Ludmiły Marjańskiej zostały. Są w wielu z nas, którzyśmy Ją kochali. I jest to w jakiś sposób zgodne z jej mottem życiowym. Zawsze przecież mówiła, że ludzie są dla niej ważniejsi niż wiersze.

Mam chyba wszystkie tomiki z poezją Ludmiły Marjańskiej i prawie wszystkie z Jej dedykacją. Więc już na koniec i na pamiątkę jeden z jej najpiękniejszych wierszy:

Spotkania z ludźmi

Trzeba się z sobą przywitać
i trzeba siebie polubić
Twarz woalką czasu zakryta
blask oczu w nocach się zgubił
Nie ma już tamtej kobiety
nie można jej odmłodzić
Trzeba się z sobą przywitać
trzeba się z sobą pogodzić.

¹ Teksty wierszy zgodnie z zapisem A. Kalinina

Tadeusz Piersiak

Z ZOSINĄ PROTEKCJĄ

Ludmiłę Marjańską widzę, kiedy zamknę Loczy. To jej portret wykonany w autoryzowanej przez poetkę serii („nikt mnie tak nie potrafi sfotografować!”), zarejestrowanej przez obiektyw Piotra Dłubaka. Elegancka starsza pani z hełmem srebrnych włosów, o pięknej regularnej twarzy opromienionej inteligencją. I te oczy, w których było zaciekawienie rozmówcą i zawsze ukryta gdzieś w głębi iskierka uśmiechu. Uśmiech! – na zdjęciach Piotra brakuje go jakoś na twarzy modelki. Poetka jest zamyślona, może nawet smutna. A mimo różnych niedostatków życia (któż ich nie ma!) nie widywałem jej bez uśmiechu. Nawet kiedy odwiedzałem ją w domu, gdzie przedstawiała mnie choremu na alzheimera mężowi: „To Tadeusz Piersiak, jest kuzynem Zosi Kujawskiej z Częstochowy; pamiętasz Zosię?”. Żegnając się po godzinie, widziałem w oczach pana Janusza, że „widzi mnie po raz pierwszy”.

Zosia była od początku moim kluczem do wyjątkowej życzliwości poetki. Ten doprowadził mnie do zaszczytu przejścia na „ty” z Ludmiłą (choć raczej to ona mówiła mi „ty”, a ja – onieśmielony – wyszukiwałem jakieś formy pośrednie). Moja ciocia (choć raczej stryjenka) była żoną Rajmunda Piersiaka – brata mojego ojca. Należała do „paczki” koleżanek z młodości, z częstochowskiej szkoły, która przy kolejnych spotkaniach witała się tak, jakby to wczoraj rozstała się u drzwi swojej klasy. Nawet córka, Maria Marjańska-Czernik, przyznawała się, że była zazdrosna o temperaturę emocjonalną tych spotkań. Równie serdeczne były spotkania pięknej pani z (nieżyjącymi już, niestety) Andrzejem Grądzanem i Tadeuszem Gierymskim. Pierwszy musiał być w młodości zauroczony piękną koleżanką. Na jubileuszu

80. urodzin poetki w Teatrze im. Mickiewicza wspominał, jak przed wojną na lodowisku Złośników przy ul. Kilińskiego zaczepiali ją pełni nadziei chłopcy. Tadeusza Gierymskiego łączyła z Ludmiłą przyjaźń poetów, a w częstochowskich gazetach napisał o niej i jej twórczości wiele ciepłych słów. Ostatni raz w periodyku „Aleje 3” przy okazji wydania przez Marjańską tomu „Żywica”.

Z Ludmiłą Marjańską korespondowali też Andrzej Kalinin, Stefan Chabrowski i inni częstochowianie. Ich listy oraz osobiste dokumenty poetki znalazły się w archiwum, jakie przekazała w 2004 roku do Biblioteki im. Biegańskiego. Jak była łaskawa ocenić Ewa Derda (ówczesna dyrektorka instytucji), był to m.in. efekt bliskiej współpracy Marjańskiej z dwumiesięcznikiem „Aleje 3”, w którym dokonywały się nawet pierwodruki wierszy. Przyznaję, że to mnie udało się namówić autorkę do stałego kontaktu z periodykiem. Niewątpliwie stała za tym Zosia Kujawska, ale też (mam nadzieję) moje z poetką wcześniejsze dziennikarskie kontakty. Bo i w „Gazecie Wyborczej” udało się raz czy dwa wydrukować premierowo jej utwory.

Jednak niewątpliwą zasługę odzyskania poetki dla Częstochowy (wcześniej zapomnianej przez miasto) miał Augustyn Chojnowski, założyciel i prezes Towarzystwa Przyjaciół Częstochowy oraz dyrektor KMPiK-u (po którym pomieszczenia odziedziczył Ośrodek Promocji Kultury). To „Gucio” (tak pieśczośliwie zwali go przyjaciele) w 1987 roku zorganizował spotkanie z Ludmiłą Marjańską (o ile pamiętam w „Politechniku”, w sali na piętrze). I ja tam byłem, nieświadomy wówczas, że kiedyś pisarka pozwoli mi zwracać się do siebie per Ludmiła.



Tadeusz Piersiak, częstochowianin, rocznik 1954, w kulturze od 1977 roku. Obecnie kieruje Ośrodkiem Promocji Kultury „Gaude Mater” w Częstochowie, gdzie zaprosił m. in. Towarzystwo Galeria Literacka. Od 1991

do 2014 roku był dziennikarzem „Gazety Wyborczej” w Częstochowie specjalizującym się w kulturze. W Gazecie wprowadził i prowadził przez dziesięć lat Plebiscyt „Najlepsi w kulturze”, który szybko uzyskał twórczy prestiż. Redaktor: „Informatora Kulturalnego Województwa Częstochowskiego”, „Magazynu Kulturalnego Województwa Częstochowskiego” oraz przez rok redaktor naczelny kwartalnika „Aleje 3”. Organizator i kurator Galerii „Wejściówka” wciąż propagującej częstochowskich plastyków. W przeszłości działacz ruchu filmowego, wieloletni szef i prelegent Młodzieżowego Klubu Filmowego (przy Kinie „Relax”), DKF-ów „Rumcajs” i „Lech” (który współtworzył). Przewodniczący jury Festiwalu „Młodzi i Film” w Koszalinie. Przez siedem lat kierownik Kina „Relax”. Założyciel i pierwszy kierownik Ośrodka Kultury Filmowej. Wyróżniony dwukrotnie nagrodami Prezydenta Częstochowy; Medalami „Merentibus”, Zasłużony Działacz Kultury i Zasłużony dla Kultury Polskiej.

Józef Figiel

KRÓTKIE WSPOMNIENIE O LUDMILE MARJAŃSKIEJ

Gilbert Bécaud śpiewał przed laty: „Quand il est mort le poète tous ses amis pleuraient”¹. Jestem pewien, że nie tylko przyjaciele oplakiwali śmierć wspaniałej poetki Ludmiły Marjańskiej. 17 października 2016 r. mija 11 lat od jej odejścia, które okryło żałobą świat polskiej współczesnej literatury. Była wielką jej damą, czynną na wielu polach, nie tylko w sferze twórczości poetyckiej i prozatorskiej, ale także w dziedzinie upowszechniania literatury, czemu poświęciła ponad 20 lat swej pracy w Polskim Radiu, gdzie redagowała audycje poetyckie. O jej wielkim autorytecie świadczy m. in. powierzenie jej

¹ Kiedy umarł poeta, wszyscy jego przyjaciele płaczą...

w latach 1993-1996 prezesury Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Miałem zaszczyt być bliskim znajomym (nie chciałbym tu nadużywać słowa przyjaźni) Poetki w ostatnim okresie Jej życia, kiedy starała się jeszcze być aktywną na miarę coraz słabszego zdrowia i sił. Wracała w tym czasie chętnie do Częstochowy, korzystając z zaproszeń na liczne spotkania i uroczystości. Zapewne odżywały przy okazji tych wizyt Jej wspomnienia z dzieciństwa i młodości, a serdeczność, z jaką się spotykała, była ważnym czynnikiem poprawiającym coraz bardziej melancholijny nastrój.

Ceniła sobie honory, jakie spotykały Ją ze strony ówczesnych włodarzy Częstochowy i dawała temu wyraz podczas naszych rozmów i w korespondencji, którą mnie obficie obdarzała. Spora teczka z ową korespondencją zawiera liczne listy, karty pocztowe, zdjęcia, a przede wszystkim wiersze, które trafiały do mnie często jeszcze w wersji roboczej, co dawało okazję do niezmiernie interesującego wglądu w warsztat poetycki autorki. Korespondencją tego rodzaju dzieliła się z licznymi zaprzyjaźnionymi osobami w Częstochowie, z P. Marią Nasińską na czele, która zresztą ciekawie o tym napisała w tekście zamieszczonym w książce pt. „O Ludmile Marjańskiej” pod red. Elżbiety Hurnikowej i Iwony Skrzypczyk-Gałkowskiej, wydanej w ub. roku przez Muzeum Częstochowskie.

Wśród moich pamiątek po Ludmile Marjańskiej są, jak już wspomniałem, zdjęcia, między innymi prawnucząt Igi i Konstantego, których przyjście na świat zainspirowało poetkę do napisania wiersza „Prawnuki”. Pojawiające się na świecie bliskie Jej nowe istoty to dla Marjańskiej „Kształt przyszłości/

zamykającej się przed nami/odchodzącymi”

Wśród owych zdjęć najcenniejsza jest dla mnie ofiarowana mi oryginalna fotografia przedstawiająca mnie i więcej dwuletnią Ludmiłę. Na odwrocie Poetka napisała dedykację: „Drogiemu Panu Józefowi to stare zdjęcie spod Jasnej Góry posyłam z serdecznym podziękowaniem za dobre słowa i troskę o moje sprawy ! A tu jestem jeszcze mała w czapeczce z pomponem, moja Mama – w futrze ! – trzyma mnie za rękę. A kim jest pan – nie wiem.”

Na koniec pragnę wyrazić nadzieję, że obecne władze Częstochowy uhonorują związaną tak blisko z naszym miastem znakomitą Poetkę nie ławeczką, która wydaje się dosyć banalną formą upamiętnienia, a raczej zainicjowaniem i współfinansowaniem edycji wszystkich jej utworów bądź biografii, której brak dotkliwie odczuwamy. W tym drugim przypadku mogę odpowiedzieć autorowi: Jerzy Krzemiński z Muzeum Okręgowego w Sandomierzu, wybitny znawca twórczości Ludmiły Marjańskiej, autor wielu publikacji na jej temat.

Małgorzata Franc

LUDMIŁA MARJAŃSKA W MOICH WSPOMNIENIACH

Był chłodny wieczór 1999 roku, gdy pełna ciekawości wybrałam się do ratusza na spotkanie z poetką Ludmiłą Marjańską. Spadł pierwszy, lekki śnieg, kiedy podekscytowane dotarliśmy z moją Mamą na miejsce. Na spotkanie wyszła moja ciocia i imienniczka, Małgosia, i z uśmiechem podała mi gazetę z moim poetyckim debiutem. Mam wrażenie, że wtedy nie do końca zdawałam sobie sprawę z wagi tego wydarzenia i jego wpływu na moje dalsze poetyckie losy. Po prostu bardzo się ucieszyłam z zaproszenia i z pozytywnej recenzji Pana

Andrzeja Kalinina, który był również gospodarzem całego spotkania, które zapowiadało się ciekawie i bardzo uroczyście.

Patrzyłam przez chwilę w granatową przestrzeń okna i zastanawiałam się, jak też może wyglądać poetka, ktoś, kto od lat pisze wiersze, jest autorką licznych książek, tłumaczeń, jest znawcą literatury, sam tę literaturę tworzy i jest jej nieodłączną częścią. Usiadłyśmy z tyłu, więc nie od razu zorientowałam się, że zaproszony na ten wieczór gość, pani Ludmiła Marjańska, jest już na sali. Byłam zatem mocno zaskoczona,

Ludmiła Marjańska

Wybór wierszy

1958–1997

Marjańska Franc
 Całkiem – jednak! – Jej (mnie)
 z życzeniami osiągnięć
 poetyckich – a nie to trzeba
 zdrowia, upom i Int. Księgarni!
 Marjańska
 Częstochowa, 13. XI.99

gdy przy stoliku przyozdobionym orchideą zobaczyłam szczupłą, dystygowaną starszą panią, która z uśmiechem i z humorem odpowiadała na pytania zadawane przez pana Andrzeja Kalinina. I tu znowu spotkało mnie zaskoczenie, bo wówczas wydawało mi się, że poetka to ktoś kto z racji rangi wykonywanej pracy, natchnienia i powołania musi znajdować się na piedestale, jest osobą wyniosłą i raczej nieprzystępną dla zwykłych śmiertelników. Jednak osoba, którą dane mi było zobaczyć, była daleka od stereotypu, który istniał wówczas w mojej głowie.

Zobaczyłam bowiem skromnego i cudownego człowieka, bez cienia nonszalancji przyjaznego, bezpretensjonalnego i delikatnego w obejściu, o czym świadczy również dedykacja z życzeniami osiągnięć poetyckich dla mnie i Mamy, której treść wpawiła nas w zakłopotanie połączone z osłupieniem, (nieczęsto się bowiem zdarza, żeby ktoś tak znany z taką niekłamaną serdecznością traktował młodą osobę, dziecko prawie, stawiające pierwsze nieporadne kroki na poetyckim gruncie). Pomyślałam wtedy „O rany, żeby tak wszyscy ludzie byli tacy, to dopiero byłoby fajnie! Każdy czułby się bezpieczny i potrzebny, mógłby w spokoju pisać i żyć”. Dotarło do mnie, że jednak można, można i warto być w pisaniu i w życiu człowiekiem. Bez tego i pisanie, i życie nie mają głębszego sensu.

W tym przeświadczeniu utwierdziła mnie dalsza część spotkania, w którym pani Ludmiła opowiadała o czasach szkolnych, o rodzinie i dzieciach, którym gotowała z zapalem obiady, o tym, że lubiła wracać do domu, że lubi wracać do Częstochowy i spotykać się z koleżankami ze szkoły (wśród nich jest pani prof. Maria Nasińska), takie zwyczajne, proste życie całkiem niezwyklej osoby piszącej niezwykle wiersze. O niezwykłości wierszy pani Ludmiły Marjańskiej mogłam się przekonać po przeczytaniu Jej *Wyboru wierszy*, (już w domu, tego samego wieczoru do późnej nocy), który znalazł się w moich rękach wraz z piękną dedykacją.

Wspomnienia tego wieczoru wracają do mnie często w chwilach zadumy, gdy powracam do wierszy Ludmiły Marjańskiej, które (gdy myślę o tym dzisiaj) stały się kolejnym dobrym drogowskazem, pomogły mi w sposób jasny i trwałe wyznaczyć priorytety i odnaleźć drogę nie tylko w poezji, ale i w moim codziennym życiu.

Piotr Dłubak

PORTRET PIĘKNEJ PANI. WSPOMNIENIE O LUDMILE MARJAŃSKIEJ



Moja znajomość z Ludmiłą Marjańską rozpoczęła się w 2000 r., kiedy otrzymałem zlecenie wykonania albumu fotograficznego z laureatami nagrody Prezydenta Miasta Częstochowy. Sfotografowałem już wszystkie osoby i tylko Pani Marjańska nie mogła przyjechać z powodów zdrowotnych. Zadzwoniłem z propozycją, że przyjadę do niej, początkowo opierała się, była nieufna, ale udało mi się ją przekonać, że zdjęcie jest niezbędne i w końcu zgodziła się. Pojechałem do Warszawy, zrobiłem bardzo dużo zdjęć i w trakcie fotografowania nawiązała się między nami całkiem inna relacja. Wtedy właśnie zaproponowała, żebym jej mówił: Babciu. Musiałem się oswoić z propozycją, nie byłem wtedy na nią gotów, poprosiłem o czas, bo trudno mi było postrzegać ją jako babcię. Fotografowanie przebiegało w prawdziwie rodzinnej atmosferze, opowiadała mi anegdoty o znanych osobach i jak o tym teraz myślę, to widzę, że to ona przejęła moją rolę, bo to ja powinienem ośmielać, rozluźniać fotografowaną osobę, a tymczasem ona zasypywała mnie anegdotami, żeby mi się lepiej pracowało. Po sesji oddała mi 2/3 swojego obiadu i zmusiła, żebym zjadł. Zjedliśmy obiad i wtedy poczułem, że coś między nami

zaiskrzyło, że jest to bardzo ważne spotkanie, dzięki któremu zyskałem znajomość ze wspaiałą osobą.

Potem wszystko potoczyło się już szybko. Namówiłem ją, żeby przyjechała do Częstochowy, przyznała się, że miała ochotę przyjechać i powspominać, ale wtedy nikt jej tu nie wzywał, nie zapraszał. Przyjeżdżała pociągiem, ja wychodziłem na dworzec, a potem robiliśmy rundkę na cmentarz przy ul. św. Rocha, gdzie są groby jej rodziców. Wtedy już była moją Babcią. Znajomość szybko się rozwijała. Pani, którą wcześniej znałem z radia i z jej książek, stała się moją Babcią i członkiem mojej rodziny, w którą bardzo szybko wrosła. Jej poczucie humoru sprawiło, że żarty z moim tatą były wręcz ryzykowne dla otoczenia. Mama była zaskoczona rozwojem znajomości, bo Babcia Marjańska zaprzyjaźniła się z całą rodziną, w tym także ze zwierzętami, czemu dała wyraz w dedykacjach swoich książek. Z tatą dowcipkowała, z mamą kłóciła się z powodu jej nadopiekuńczości, jak to określała, gdy mama zachęcała ją do jedzenia, a ona bardzo mało jadła.

Jej poczucie humoru było dla mnie zaskakujące. Na cmentarzu mówiła, że „robimy hopki przez nagrobki”, z Poświętowską witała

się przy jej grobie słowami: „Cześć, Halinko!”, a mnie dreszcze po plecach przechodził, jakby „Halinka” stanęła razem z nami... Oprócz tego była chodzącą historią literatury i poezji – wszystkich znała i o wszystkich mi opowiadała.

Raz ją odwiozłem na dworzec razem z mamą, która próbowała pomóc Marjańskiej przy wsiadaniu. Jak ona wtedy mamę skrzyzczała, że śmiała to zrobić! Choć miała problem z chodzeniem, nie używała laski, tylko opierała się na parasolce. Dama! Była bardzo niezależną osobą. Zjeżdżała całe Stany Zjednoczone, jeździła też małym fiatem, którym z górki osiągała zawrotną prędkość 120 km na godzinę. Kiedy przyjechałem do niej samochodem, to pomimo trudności z poruszaniem się, zeszła na dół, żeby zobaczyć, co to za samochód. Pamiętam, że lustra w jej mieszkaniu były wtedy jeszcze zaklejone, bo to było niedługo po śmierci męża, chorującego na alzheimera.

Choroba męża była dla niej doświadczeniem strasznym i jednocześnie takim, które pomogło się jej otworzyć, co jest dość paradoksalne, ale ja to obserwowałem przez 5 lat naszej znajomości, widoczne to było także w jej wierszach. Pierwsze wiersze Marjańskiej były powściągliwe, te ostatnie, które uważam za najlepsze, są pełne silnych emocji, zwłaszcza te poświęcone miłości do męża. Zaskoczyło mnie to, ponieważ wcześniej uważałem, że silna emocjonalność jest cechą młodości, a na starość człowiek robi się smutny i zamknięty na miłość, w związkach panuje przyzwyczajenie, obowiązek – bez uniesień, będących przywilejem młodości. U Babci Marjańskiej to była pochwała miłości w pełnym rozkwicie, pełna wrażliwości na bliskiego człowieka, którego się kocha. To było niezwykle! Dzięki temu była to do końca młoda osoba. Była też otwarta na młodych ludzi, ale inaczej, niż ci, którzy mówią o młodości. Ona była ciekawa młodych, chciała z nimi rozmawiać, poznawać ich język, sposób bycia – poznawać poezję młodych ludzi. Była bardzo otwarta na nowe doznania, nie było w niej postawy potępiającej.

Bardzo mi żal, że jest wiele starszych osób, które mają dużo do przekazania młodym i nikt nie chce tego od nich przyjąć. Opowiem o takim zdarzeniu, kiedy wiele otrzymałem od Babci Marjańskiej. Robię jej zdjęcie, a ona mówi: „Patrzy pan na mnie, jak Witkacy. On tak patrzył na moją mamusię, kiedy rysował jej portret”. Poczulem dreszczyk, usłyszawszy porównanie do Witkacego, a ona jakby nigdy nic idzie do drugiego pokoju, gdzie wisi portret młodej pani, podobnej do Marjańskiej (na szczęście wizerunek nie jest zdeformowany, widać autor nie był pod wpływem peyotlu...) i opowiada mi, że miała 5 lat, była z rodzicami w Zakopanem i tam Witkacy zrobił portret, który mi teraz pokazała, bo spojrzałem na nią podobnie jak portrecista na jej mamę. Dobrze to zapamiętała! Dzięki temu, że opowiedziała o tym mnie, anegdota zyskała drugie życie, bo dla mnie jest ona także bardzo ważna.

Babcia Marjańska potrafiła pięknie opowiadać, miała też o czym. Przez wiele lat pracowała w Polskim Radio, gdzie zajmowała się sprawami literackimi, znała więc wiele osób ze świata literatury, znała wiele anegdot, które niekoniecznie cytowane są w oficjalnych biografiiach wielkich ludzi – a ja je poznałem.

Babcię, podobnie jak wielu innych ludzi, pytałem też o Powstanie Warszawskie, którym jestem od lat ogromnie zafascynowany, co nie jest absolutnie kwestią mody, ale mojego autentycznego zainteresowania. Nie pytałem o przebieg, znam go z historii, nie pytałem też o szczegóły jej udziału, była chyba łączniczką; interesowało mnie, jak się wtedy czuła, jaki to był czas, gdy śmierć była wszechobecna. Usłyszałem w odpowiedzi, że to był czas taki sam, jak i teraz. Wobec częstych napaści na Powstanie, że było niepotrzebną ofiarą, tym cenniejsze są opowieści osób, które żyły wtedy i nie bały się, lęk przed śmiercią nie przeszkadzał im żyć normalnie.

Chcę wyrazić, jak wiele skorzystałem na tej znajomości, jak wiele się dowiedziałem, na jak wiele spraw mnie ona uwrażliwiła. Nawet zwykłe bycie z Babcią Marjańską i codzienne roz-

mowy nie były przysłowiowym przelewaniem z pustego w próżne. Była bardzo naturalna w sposobie bycia, ale nawet w zachowaniach niekonwencjonalnych nie traciła elegancji i klasy, które w jej przypadku były naturalne, a nie wyuczone. Ja wobec niej byłem bardzo bezpośredni, czasem wręcz bezczelny – pozwalała mi na to pozycja wnuka.

Kiedy była już osłabiona i przebywała w szpitalu, miałem dziwny sen. Śniło mi się, że chciałem ją pocałować w policzek i wtedy wbiły mi się w twarz jej okulary. Zadzwońiłem do niej, a ona opowiedziała, że spadła z ostatniego stopnia schodów, potłukła się, ale najgorsze było to, bo ona się nigdy nie skarżyła, że stłukły się jej okulary i zraniły twarz przy oku. Myślę sobie, że takie sny zdarzają się wtedy, gdy ludzi łączą więzy rodzinne... Dwie moje babcie straciłem wcześniej, gdy miałem 11 i 18 lat, a w wieku niespełna 40 lat zyskałem jeszcze jedną babcię.

O naszej ostatniej telefonicznej rozmowie trudno mówić, bo kiedy do niej zadzwoniłem, to już nie była ta sama osoba: to nie był ten głos, który znałem, nie było żartów... Połową siebie była już w Wieczności, w całkiem innym wymiarze. Rozmowa była spokojna, ale nadziei na życie już nie było. Ona o tym wiedziała i była przygotowana. Smutny był ten ostatni telefon.

Kiedy umarła, nie pojechałem na pogrzeb. Zrobiłem rzecz dziwną przy tak bliskich relacjach. Nie chciałem widzieć jej w trumnie, nie miałem na to siły. Nie chciałem pogodzić się z jej śmiercią i bardzo długo czekałem na telefon od niej – na przykład w okolicy świąt podświadomie spodziewałem się, że zadzwoni na stacjonarny. Kto teraz dzwoni na stacjonarny telefon?.. Jest pochowana na cmentarzu w Wilanowie. Przez 5 lat miałem Babcię, a teraz mam ją na zawsze.

Mam też jej wiersze. Obiecywała mi, że kiedyś napisze wiersz o fotografowaniu... Tak, nie była to znajomość usankcjonowana ani stereotypowa. Rozmowy o poezji zaczęły się od tego, że ja, wiedząc o tym, iż ona

przetłumaczyła wiersze Emily Dickinson, zapytałem, czy można przetłumaczyć poezję. Otrzymałem niebawem tomik przez nią przetłumaczony z dedykacją: „Panu Piotrowi, w odpowiedzi na pytanie, czy można tłumaczyć wiersze – w każdym razie można próbować. Serdecznie w imieniu ducha Emily Dickinson” – tu mi odpowiedziała, że naprawdę tłumaczy się ducha poezji. Wcześniej znałem poezję Emily Dickinson z przekładów Stanisława Barańczaka i miałem całkiem inny obraz poetki. To nie były te wiersze, które przetłumaczyła babcia Marjańska i dzięki którym dopiero zrozumiałem Emily Dickinson. Jej wiersze są gorzkie, ostre, a Barańczak je „zaokrąglił” i przez to zgubił ich ducha.

Z twórczości Ludmiły Marjańskiej, mojej Babci, najbardziej lubię jej ostatnie wiersze: *Przez całe życie miłość, Spotkanie z Weroniką, Cóрка bednarza*. Te wiersze, moim zdaniem, zasługują na najwyższą nagrodę literacką, a z całą pewnością na wznowienie. Mam taki pomysł, a właściwie marzenie, żeby wyszedł tom *Marjańska najnowsza*.

Myślę, że tajemnicą Ludmiły Marjańskiej było to, że potrafiła na zawsze zachować młodość. Dostrzegłem to, bo kontakt z nią był dla mnie bardzo pociągający. Zabiegałem o ten kontakt, cieszyłem się, kiedy przyjeżdżała do Częstochowy, czekałem na dworcu z kwiatami. Poza zaszczytem odczuwałem ogromną radość, bo to przede wszystkim była normalna, wielka przyjemność: przyjeżdża moja Babcia z Warszawy! Wiem, że tych wnuków było kilkoro, ale ja byłem najstarszym wnuczkim – tak o mnie mówiła. W miarę możliwości uczestniczyła w ważnych wydarzeniach w moim życiu, na przykład gdy wydawałem album, chwaliła tłumaczenie na angielski. Do końca zachowała świeżość uczuć, kontakt z nią był dla mnie jak podłączenie się do akumulatora.

Mówiła, że podobają się jej moje zdjęcia, bo tylko ja robię takie, na których widać wszystkie jej zmarszczki...

Wspomnienia zapisała: Barbara Strzelbicka

Bożena Gorska

LUDZKIE PRZYGODY LUDZKIE NOŚ...

*Jak wonne sosnowe drzewo
 pojone żywicy więźbą
 wystrzela ku niebu słowo
 wiersza zieloną gałęzią...*

*Rośnie – wspaniałe, bujne,
 do mózgu korzeniem wsparte,
 pod kory brunatną runię
 sącząc żywicy prawdę...*

[Zygmunt Jan Rumel, *Słowo*, 1937]

Nie ufam wierszom „robionym”, kiedy „Poeta cierpi za miliony / od 10 do 13.20”. Oczywiście, jeżeli poeta jest mistrzem w swojej sztuce, potrafi tak sprepować dzieło, jakby mu się samo poskładało, a czytelnik odnosi wrażenie, że obcuje z tekstem „zesłanym”. Wtedy – *chapeau bas*.

Gdy się jednak zastanowić głębiej nad „procesem” powstawania poezji, zwłaszcza nad jego początkiem, to, co uchwytnie, jawi się nam jako maksymalne skupienie emocji przed „wielkim wybuchem”. Po nim jest już tylko kunszt – albo nieudolność – przekładu emocji na słowa. Jeśli kunszt, komentarz zbędny. Jeżeli jednak trafi się nieszczęście nieudolności, czasem na ratunek biegną krytycy. Wtedy dowiadujemy się, że poeta świadomie, wręcz celowo... zrezygnował z poezji.

Ludmiła Marjańska wtajemniczyła Iwonę Smolkę w przedziwną genezę *Córki bednarza*. „Powiedziała mi, że ten wiersz jej się przyśnił. Obudziła się w nocy i na wpół śpiąca zapisała gotowy tekst, którego sama nie rozumie. W ten sposób powstał jeden z najbardziej tajemniczych utworów, jaki się zdarzył poezji polskiej na przestrzeni wielu lat.”

Powie ktoś: autorska kokieteria. Nic bardziej błędnego. Takim wyznaniom trzeba

wierzyć. Może psychologowie twórczości – mędracy uzbrojeni w „szkiełko i oko”, tudzież nowoczesną aparaturę diagnostyczną – wyjaśnią kiedyś podobne zjawiska. Na szczęście poeta nie musi się tym zajmować. Wystarczy mu niespodzianka – i dar.

W literaturze zadebiutowała Marjańska w roku 1956, jako tłumaczka czterech wierszy Roberta Burnsa, zamieszczonych przez PIW w antologii *Z wierszy szkockich*. A stało się to jeszcze przed podjęciem przez nią studiów na filologii angielskiej. Ten fakt wydaje się znamienny, bowiem w przyszłości jej poetycka twórczość będzie biegła dwoma torami: autorskiej poezji i pracy translatorskiej. W półzartobliwym tonie podsumowała ten wyrok losu w wierszu *Nad przekładami*:

*Przełożyć wiersz – to cudzym głosem
 mówić i cudzą twarz przybierać,
 i żyć przez chwilę obcym losem,
 i zmartwychwstawać i umierać.*

*I być, i nie być nigdy sobą
 w starym przebraniu, w obcej masce,
 i ciągle z drugą żyć osobą
 być na jej łasce i niełasce.*

*Cofać się w czasie, podróżować,
 w nieznanne, egzotyczne kraje,
 i męczyć się, kląć i żałować,
 że nic już dla nas nie zostaje.*

*Bo w cudzej skórze, w cudzym tachu
 spędzając dzień za dniem z daleka
 widzimy nagle, pełni strachu,
 że własne życie nam ucieka.*

A jednak przez wszystkie lata poetyckiej twórczości utrzymała równowagę między

obiema sferami, a „własne życie” nie doznało szwanku.

Była świadoma wartości swoich utworów – a przecież na początku nie zyskały one aplauzu ani Anny Kamieńskiej, ani Wisławy Szymborskiej. (Aczkolwiek po latach z Anną Kamieńską się zaprzyjaźniła.) Jak widać, jej wiersze nie zostały zrozumiane. Trzeba wielkiej siły charakteru, żeby się nie poddawać niepoehlebnym, a nieraz i niesprawiedliwym ocenom krytyków, kiedy się początkuje w tym rzemiośle. Czy to nie dziwny zbieg okoliczności, jakby wyprzedzający przyszłość Ludmiły, a zarazem „kopiujący” wydarzenie z biografii innej poetki, Emily Dickinson? Jej poezje miała Marjańska poznać podczas pobytu na stypendium w Stanach, w 1960 roku, już po swoim debiutanckim tomiku *Chmurne okna* – i zachwycić się nimi na całe życie. Emily opublikowała tylko pięć czy siedem wierszy, w dodatku zniekształconych przez wydawców. Dopiero po jej śmierci, badając bogatą schedę „pustelnicy z Amherst”, literaturoznawcy okrzyknęli ją nie tylko nowatorką, ale największą dziewiętnastowieczną poetką amerykańską. Siostrzane dusze? Ale poeci tak właśnie mają. A i profetyzm im się przydarza.

Czy wieloletnie obcowanie z Emily Dickinson nie pozostawiło śladu także w oryginalnej poezji Marjańskiej? Co prawda, Marjańska uważała, że bardzo się różniły co do poetyckiej inspiracji. I że ona czerpała ją z życia „zewnętrznego”, niejednokrotnie z podróży, a Emily – „z siebie”. Fakt, że samotniczka Dickinson była wybitnie introwertyczna, a impulsów dostarczała jej wyobraźnia. Jednak z opinią polskiej poetki trudno się zgodzić bez zastrzeżeń. Bo wyobraźnia jest odpowiedzią na to, co się przeżywa. Zresztą i Marjańska jakby sama sobie przeczy refleksją: „Gdziekolwiek jesteś, żyjesz własnym życiem, / i to jest ważne, co przynosisz z sobą...” A i Dickinson nie tylko drążyła własne wnętrze, ale ze swojej „pustelni” obserwowała chociażby świat przyrody, tak

bogaty i zajmujący w jej poezji tyle miejsca.

Dziwna była ta przygoda Ludmiły z Emily. Bardzo prywatna. Tak jakby Ludmiła chciała mieć poezję Emily tylko dla siebie, z dala od cudzych oczu. Praca translatorska trwała przez całe życie. Przekłady wierszy amerykańskiej poetki trafiały do szuflady tłumaczki, a pierwsza ich część ujrzała światło dzienne dopiero w 1998 roku, w opublikowanym tomiku *I jestem różą*. Reszta przekładów ukazała się już po śmierci Marjańskiej, w roku 2005, jako tomik *Przeczcucie*.

W 2001 roku poetka napisała:

„Poznałam Emily Dickinson w czasie mojego pierwszego pobytu w Stanach w 1960 roku. (...) Kiedy wróciłam do kraju z kilkunastoma przekładami wierszy Emily, okazało się, że Kazimiera Iłakowiczówna już wcześniej znalazła w starej pannie z Amherst bratnią duszę. I w jej przekładach właśnie, w 1965 roku, ukazał się pierwszy wybór wierszy Emily Dickinson. (...) Te dwie poetki miały z sobą wiele wspólnego, a jednak nie zawsze mogłam zgodzić się z interpretacją tłumaczki. Dla mnie Emily mówiła bardziej bezpośrednio, prosto, choć używała także słów, „przed którymi trzeba zdjąć kapelusz”. Są wszakże dwa czy trzy przekłady Iłakowiczówny, których nie można przełożyć ani lepiej, ani inaczej – są to tak rzadkie w literaturze przekłady kongenialne.

Przez dalsze trzydzieści lat tłumaczyłam wiersze Emily Dickinson do szuflady (tak jak ona pisała do kuferka). (...) Nieskora do publikowania swoich przekładów, dopiero w 1990 roku złożyłam je w dużym wyborze w Wydawnictwie Literackim. Nie miałam jednak szczęścia: po zaakceptowaniu przez ówczesną redakcję przekładów, wydawnictwo z powodów finansowych zrezygnowało z wydrukowania ich w dwujęzycznej serii.

Tymczasem *Sto wierszy Emily Dickinson* ogłosił drukiem Stanisław Barańczak, którego niepowstrzymana energia i pracowitość jest zdumiewająca. Wkrótce wydał kolejne sto przekładów poetki.

Nie jestem jednak przekonana, że to mężczyzna powinien mierzyć się z subtelnościami kobiecej poezji. I nie tracę nadziei, że kiedyś – może po stu latach, jak to się stało z wierszami Emily Dickinson – i moje przekłady znajdą się w książkowym wydaniu, na jakie Emily z całą pewnością zasługuje.”

Komentując dzisiaj wypowiedź tłumaczki, warto wyjść poza oceny czysto literackie i spojrzeć z perspektywy socjologii literatury. Bo to jej domeną są takie powiązane ze sobą zjawiska jak mody środowiskowe, popularność, reklama i siła przebicia. Jak widać, te uwarunkowania Barańczakowi sprzyjały, a Marjańskiej – nie.

Daleka od przyjmowania na wiarę cudzych interpretacji, pokusiłam się o drobny test. Za mały, aby móc orzekać o umiejętnościach translatorskich trojga tłumaczy – wyciąganie takich wniosków na podstawie przekładów dwu wybranych tekstów Emily Dickinson (moich ulubionych) byłoby niepoważne – ale wystarczający jako grunt do rozważań nad tomikiem Żywica, postrzeganym przeze mnie jako pokrewny i „treścią”, i „formą” poetyckiemu światu „pustelnicy z Amherst”.

Emily Dickinson

The Missing All – prevented Me

The Missing All – prevented Me

From missing minor Things.

If nothing larger than a World's

Departure from a Hinge –

Or Sun's extinction, be observed –

'Twas not so large that I

Could lift me Forehead from my work

For Curiosity.

Skoro nie mogłam mieć Wszystkiego

Skoro nie mogłam mieć Wszystkiego –

Nie dbałam o brak mniejszych Rzeczy.

Jeśli nie zaszło nic większego

Niż Rozpad Słońca – Ostateczny

Kataklyzm Globu – nic nie było

Tak wielkie – abym – na wieść o tym –

Podniosła z Ciekawości Czoło

Sponad Roboty.

[przekład Stanisława Barańczaka]

Wszystkiego Brak pozwolił mi

Wszystkiego Brak pozwolił mi

Pomniejsze braki znosić –

I mniejsza rzecz niż to, że Świat

Wyleciał ze swej osi –

Lub zgąsło Słońce – nie starczała –

Nie było dość mi,

By podnieść głowę znad mych zajęć

Ze zwykłej ciekawości.

[przekład Ludmiły Marjańskiej]

„A World's /Departure from a Hinge” – dosłownie: „odlot (albo: odejście czy odchylenie) świata z zawiasu”. Zręczniejsze językowo i zdrowsze dla metafory byłoby „wypadnięcie świata z zawiasu”, na którym się trzymał... Tu myśl natychmiast biegnie ku słynnej wypowiedzi Hamleta, z piątej sceny I aktu dramatu: „The time is out of joint.” Dosłownie: „czas (niby kość) doznał wywichnięcia ze stawu”. Trzech tłumaczy poradziło sobie z nią na trzy różne sposoby – z jakże wielką rozpiętością skojarzeń. Leon Ulrich: „Świat wyszedł z orbit.” Józef Paszkowski: „Świat wyszedł z formy: (/I mnież to trzeba wracać go do normy!’”) Stanisław Barańczak: „Ten czas jest kością, wyłamaną w stawie – (/ Jak można liczyć, że ją nastawię?’”)

W cytowanym fragmencie *Hamleta* najbliższy oryginału był Stanisław Barańczak. Jednak co do tłumaczenia wiersza Emily Dickinson, pierwszeństwo przyznaję Marjańskiej.

Emily Dickinson

I never saw a moor

I never saw a moor,

I never saw a sea;

*Yet know I how the heather looks,
And what a wave must be.*

*I never spoke with God,
Nor visited in heaven;
Yet certain am I of the spot
As if the chart were given.*

*Nie widziałam nigdy wrzosowisk
ani morskich przestrzeni...
Cóż stąd! Wiem, jak wygląda wrzos
i jak fala się mieni.*

*Nigdy nie rozmawiała z Bogiem,
nie odwiedzałam rajów,
a żywię taką pewność
jak ci, co mapy mają.*

[przekład Kazimiery Iłakowiczówny]

Nigdy nie widziałam wrzosowisk

*Nigdy nie widziałam wrzosowisk –
I morza też nie zobaczę –
Lecz wiem jak wygląda wrzos
I jak się toczą grzywacze –*

*Nigdy nie mówiłam z Bogiem –
Ani w niebie mój krok nie stanął –
A przecież pewna jestem drogi –
Jakby mi mapę dano –*

[przekład Ludmiły Marjańskiej]

Porównując te dwa przekłady – niemal równie dobre – jednak zarzucę Iłakowiczównie dodane „morskie przestrzenie” i całkiem zbędne „coż stąd”. Natomiast zdecydowanie bliższe oryginału – ba, identyczne z oryginałem – jest jej „nie odwiedzałam rajów”, lepsze od rozbudowanego „ani w niebie mój krok nie stanął” u Marjańskiej. Ale puenta daje Marjańskiej przewagę. „Yet certain am I of the spot /As if the chart were given” to dosłownie: „jednak jestem pewna tego miejsca, jakby [mi] została dana mapa”. („Miejsca”, a nie „drogi” – tu minus

dla Marjańskiej, maleńki, do wybaczenia.) Iłakowiczówna nie tylko wprowadza „tych, co mapy mają”, podczas gdy Marjańska trzyma się metafizycznego przeczucia pojedynczej osoby – podmiotu lirycznego. Rozmnożeni „ci, co mapy mają” po prostu je mają, a skąd je mają – nie wiadomo. Tymczasem cały sens wiersza Emily Dickinson skupia się na takiej pewności osoby w nim mówiącej co do istnienia nieba, jakby mapa – jedna – została jej dana.

Poezja żałobna ma rodowód starożytny. W tradycji greckiej i rzymskiej – między innymi Simonidesa i Owidiusza – ukształtowała kilka gatunków: tren, elegię, nenię, epicedium, epitafium. Nawiązywali do niej poeci nowożytni, wśród nich największy był Petrarca. W literaturze polskiej nikt nie może się równać z Kochanowskim, aczkolwiek i w późniejszych wiekach treny pisali Kłonowic, Miaskowski czy Kniaźnin. A w poezji dwudziestowiecznej wart odnotowania jest cykl żałobny Broniewskiego *Anka*, poświęcony zmarłej tragicznie córce. Odnotowania li tylko, bo pomimo autentyzmu przeżyć, jakie wywołały ten odzew poetycki, same wiersze arcydziełem poetyckim nie są. Ból ojca przerósł kunszt poety.

Klasyczną kompozycję cyklu żałobnego łatwo prześledzić w przejrzystych pod tym względem *Trenach* Kochanowskiego. Dwa początkowe stanowią – według Chrzanowskiego – rodzaj „przedmowy literackiej”, osadzającej utwory w tradycji. Tematem sześciu następnych jest rozdzierający smutek ojca i wspomnienia o dziecku. Kolejne sześć dotyczy spustoszenia w psychice ojca, a kulminacją staje się zwątpienie w Opatrzność. Poszukiwaniu ukojenia poświęcone są cztery następne. Jego odnalezienie następuje w ostatnim, dzięki pocieszającej wizji sennej.

Zdaniem Juliana Krzyżanowskiego, w *Trenach* zostały zawarte doznania osobiste, zobiektywizowane i wystylizowane wedle zamierzonej kompozycji artystycznej. Dzie-

więtności wierszy tworzy opowieść o duszy ludzkiej, która doznała wstrząsu. Jego skutkiem była katastrofa: rozpadł się harmonijny i uporządkowany świat – oto mędrzec został „nagle z stopniów ostatnich zrzucony” siedziby mądrości, zrównany w cierpieniu ze wszystkimi. Potrzeba było czasu, aby mogła się dokonać przebudowa wewnętrzna i nastąpić powrót do równowagi duchowej. Pocieszenie przyniosła chrześcijańska nauka o sensie życia.

Sięgam do Kochanowskiego nie tylko z powodu niedościgłej literackiej doskonałości *Trenów*, ale również dlatego, że temat jest uniwersalny, aktualny zawsze. Bolesne przeżycia w chwili nieszczęścia dotyczą każdego. Bliskie jest nam wtedy poczucie wspólnoty ludzkiej kondycji. Braterstwo w bezradności i bezsilności. Kochanowski jako autor *Trenów* był mocno osadzony zarówno w kulturze antycznej, jak i w rzeczywistości polskiego życia szesnastowiecznego. W realizacji swego cyklu żałobnego operował rozległą skalą uczuciową i ekspresyjną – od patosu do prostoty. Wystarczy wspomnieć wiejską piosenkę weselną śpiewaną przez Urszulę, czy zwykłą czynność porządkowania „żałosnych ubiorów” córeczki.

W podobny sposób Żywica Ludmiły Marjańskiej wyrasta z tradycji liryki żałobnej, sięgającej starożytnych form epitafignych, nawiązuje do kompozycji cyklu *trenów*, ale także zawiera odniesienia do polskich obyczajów towarzyszących przeżywaniu śmierci bliskich i dotyka realnej, namacalnej codzienności.

Podłożem biograficznym Żywicy była trwająca kilka lat choroba Alzheimera, na którą zapadł mąż Marjańskiej. Opiekująca się nim żona – będąca w wieku, kiedy jej samej należałoby się już pomoc i opieka – towarzyszyła mu w powolnym, z dnia na dzień, odchodzeniu ze świata. Jako pełen bólu, szarpiący się z codziennością, świadek postępującej degradacji psychicznej i fizycznej ukochanego człowieka – aż do jego śmierci. Pomagający w niesieniu krzyża – i dźwiga-

jący własny. Po ludzku – a więc heroicznie – znoszący cierpienie, od zawsze wpisane w ziemską wędrówkę. I tyle tylko wypada powiedzieć o genezie tego cyklu wierszy. Bo wiem Żywica jest autonomicznym tekstem literackim, oddzielonym od biografii a nam dostępnym.

Tomik Żywica, zadedykowany: *Pamięci J.*, wyszedł w Czytelniku w 2001 roku. Jego wartość, łącznie z tytułem i w nienaruszonej kolejności – z dodanymi tylko w różnych miejscach czterema wierszami: ****Jest jakby na rysunku brakło linii*, ****Słowa żyją dłużej niż człowiek*, ****Nie byłoby odpoczynku* i ****Teraz jesteś tylko ty* – znalazła się jako wyodrębniona część w wyborze wierszy *A w sercu pełnia*, przygotowanym przez poetkę i opublikowanym w Świecie Książki w roku 2003. Respektując decyzję autorki, uwzględniłam w rozważaniach także te dodane utwory, z zachowaniem kolejności zgodnej z wolą Marjańskiej. Uzupełniona w ten sposób Żywica zawiera sześćdziesiąt sześć wierszy.

Cykl został precyzyjnie skomponowany, spięty wierszem inicjalnym i końcowym jak dwiema klamrami. W inicjalnym – z incipitem *Noce pojemne gęste* – „lecą pszczoły pamięci”, sygnalizując dystans czasowy wobec wydarzeń, jakich dotyczy cykl. Tu także występują motywy, które będą się potem przewijać: pszczoły, gęsty miód, kolor złota i „czarne krople bólu”. Ten miód w wierszu finalnym – ****Pogłaszcz mnie – woła sosna* – „zakrzepnie” w krople żywicy. Aczkolwiek niewymieniony, kieruje myśl ku powinowactwu żywicy z nim właśnie. I z bursztynem.

Osobliwością tego szczególnego cyklu żałobnego, różniącą go od „kanonicznych”, jest poświęcenie pierwszej części żyjącemu. Mówiąc bardziej precyzyjnie: wspominanemu jako żyjący, aż do wiersza trzydziestego czwartego, z incipitem *Lustra się tłuką*. Cykl dzieli się niemal na połowy. Między tym wierszem a następnym przebiega granica, aczkolwiek wiersza „granicznego”, momentu „przejścia”, nie ma. Tajemnicę wyraża jego

brak – jak muzyczna pauza z fermatą. Kolejny wiersz, zaczynający się słowami *Biała emalia przykryta powieką*, mówi już o umarłym. Taka kompozycja cyklu ma w historii literatury szlacheckiego antenata – aczkolwiek w jego przypadku dotyczy przedsięwzięcia na 366 utworów! – wszak to Petrarca podzielił *Il Canzoniere* na *Wiersze ku czci Laury żywej* i *Wiersze ku czci Laury umarłej*.

Cykl Żywica – po wierszu inicjalnym – otwierają słowa: „Ten obcy obok mnie to mój najbliższy / Nienawidzi mnie bo mnie kochał / Zastępuję mu oczy / ale on widzi nimi inaczej”. Miłość i nienawiść, bliskość i obcość zarazem. Dwa różne światy obok siebie – na siebie skazane. Dwie ludzkie obecności, nieprzeniknione wzajemnie. Ta wypowiedź stanowi taką syntezę, że wyjaśnia i „usprawiedliwia” nie tylko relacje: podmiot liryczny-bohater, ale zawiera w sobie treść kolejnych wierszy. One – chociaż rozbudowują i wzbogacają cykl o różnorodne motywy – są wariacjami na podany główny temat.

Kolejne wiersze prowadzą ze sobą dialog. Odpowiedzią na relacjonowane przez Nią przeżycia Jego – w pierwszym – są przeżycia Jej, wyrażone w sposób bezpośredni w następnym. Tu po raz pierwszy wprowadzone zostają motywy morza i snu: „Powoli się zanurzam w morzu snu”. Powrót do świata jawy jest bolesny: „Z kamieniem u szyi / wypływam z dna snu / na powierzchnię / półmartwa”.

Obok Niej – On: „Zagubiona tożsamość Nieobecna bliskość / Najbliższy jeszcze choć nie ten sam człowiek”. Ona przygląda się sobie jakby z zewnątrz: „I ty przy nim / z nadzieją chociaż nie masz złudzeń”. A wszystko rozgrywa się w słońcu, w świecie pełnym zieleni, wśród przyjaciół, którzy ją wspierają w cierpieniu. „Im większy ból jest tym mocniejsza radość”. Ten paradoks będzie się przewijał przez cały cykl. W nim zawiera się kwintesencja życia. Jeden z ostatnich wierszy cyklu, ****Dar noworoczny: wiosenne słońce* – zapis przeżyć już po śmierci bohatera – uj-

muje to jeszcze dobitniej: „jak to możliwe / w dramacie codzienności / Rozpacz i radość / w jednej godzinie”. W cyklu żałobnym – pochwała życia?

Żywica opowiada o wierności. Kiedy Ona, której „mózg-nadajnik” zarejestrował przeszłość, widzi obrazy, co „w przyspieszonym tempie / przebiegają”, powraca huk bomb, zburzony dom i wspomnienie „chłopca z jasnym spojrzeniem”. I chociaż jego miejsce zajął ktoś o „zagubionej tożsamości”, rzeczywistość tamta sprzed lat i ta dzisiejsza jawią się jej w jednej metaforze spinającej obie, przerzuconej ponad czasem: „Przez gruzy domu prowadzę / stąpającego niepewnie mężczyznę”.

Relacja z codziennego wspólnego bytowania w rytmie dyktowanym chorobą, prowadzona prostymi słowami, momentami przypomina reportaż. I gdyby nie kunszt metafory, nieraz ocierałaby się o banał. Oto Ona, rozpięta między skrajnymi emocjami: litością a rozpaczą, słabością a przymusem wytrwania, porywami nienawiści a współczuciem. Z poczuciem własnej krzywdy, kiedy sama tak bardzo potrzebuje gestów czułości, pełni pielęgniarską posługę przy chorym, ciągle się ucząc: mycia, golenia, karmienia, ćwiczeń mających usprawnić ciało i myślenie. I już przygotowuje się na przyszłość, kiedy codziennie będzie zdawała „egzamin z cierpliwości”.

Także Jego uczy się na nowo. Rejestruje przypadkową „wynaalazczość”, kiedy On szuka w języku odpowiedniego słowa na miejsce zapomnianego i – chociaż o tym nie wie – sięga do prapoczątku mowy, do źródłosłowu. Ona wnikliwie obserwuje, jak życie zatacza krąg i każe choremu przeżywać wtórne dzieciństwo – a towarzyszy mu „dziecięca ufność”. To cofanie się w czasie postępuje, zbliża do stanu przedludzkiego. Mowę zastępuje naśladowanie ptasich głosów. Potem jest już tylko milczenie.

Nagle wybucha nadzieja, bo On płacze, a Ona go pociesza: „jeszcze jesteś człowie-

kiem / odczuwasz / upokorzenie wstyd”. Gdzie przebiega ta granica? Przecież dopóki zachował odruchy miłości i czułości, nie został zdegradowany. To nie On jest winien, „to demony / judzą mącą rozum”.

Ból duszy atakuje w różnym tempie – to powoli, to znów z nagłą. W stanie zdawałoby się zrównoważonej wyuczonej cierpliwości wybucha Jej krzyk – wyraz buntu. Ale w momentach przebłysków Jego świadomości „ufność wywołuje czułość”. Na tę nieporadność Ona odpowiada obietnicą, że nie zostawi Go samego zagubionego jak dziecko w lesie. Bo przecież oboje są „zagubieni w labiryncie losu”.

„Nie chodzę już do kościoła (...) nie słucham kolęd”. Kiedy się czyta te słowa – wyrwane z kontekstu – można by się pokusić o łatwą interpretację: oto refleksja nad sensem czy bezsensem cierpienia prowadzi do kryzysu wiary. I może byłoby to prawdą, gdyby nie wplecione w wiersz zdania o przyczynie tych zachowań – tak oczywistej, że banalnej. „Nie chodzę już do kościoła / prowadzę dziecko do łazienki / nie słucham kolęd / usiłuję pojąć niezborne słowa”. A dzieje się to w porze świątecznej, „w noc sylwestrową”, kiedy to „dziecko” budzi się przerażone – odgłosy petard przypominają mu wojnę. Opiekująca się chorym jest jak matka – w tym dniu nie świętuje, bo ma ważniejsze zajęcia. Obowiązki wobec blizniego w potrzebie są przecież wypełnianiem chrześcijańskiej powinności. Dobrze, kiedy w tym pomaga miłość. A jeżeli z utratą sił fizycznych załamuje się wytrzymałość psychiczna i słabnie uczucie – co wtedy?

Wiersz ****Gdzie ono we mnie mieszka* to swoisty rachunek sumienia. Ona rozlicza się ze swoich obowiązków wobec Niego surowo i rygorystycznie. Może za surowo. Zarzuca sobie „pełne pychy ego”, które pokonuje argumentem: „jest obok ciebie człowiek”. Poskramia swój bunt, odwołując się do fundamentalnego nakazu etycznego. Bo trzeba godnie, po ludzku, znosić ludzki los.

Jest w tym kwintesencja głęboko przeżywanego chrześcijaństwa. Jakby oddźwięk Liebertowego „uczyniwszy na wieki wybór, w każdej chwili wybierać muszę”. Marjańska nieraz sięga do prostych metafor i wyobrażeń religijnych. Kiedy Ona szuka sensu w mijaniu dni, co są jak „puste wagony / przetaczane po torach”, widzi tylko „Wokoło znane krajobrazy / i stacje męki ludzkiej”. A już po Jego śmierci, wobec dojmującej pustki – „Ta straszna wolność / która na mnie spadła” – i pokusy poddania się rezygnacji, upomina samą siebie: „To był tylko przystanek / w drodze na Kalwarię / Dźwignij się wstań”. Bowiem cierpienie czegoś uczy, prowadzi do dojrzalego przeżywania życia. Tylko z perspektywy własnego bólu można pojąć cudzy. „Świat jest wspaniały / dopóki ból nie dotyczy nas.”

Cierpieniu człowieka towarzyszy współczujący Bóg:

*Niebo zaniósło się szlochom
nad zamkniętym życiem
nad prochem*

Więc Ona prosi Boga: „Wskrzesz nieruchome ciało (...) / Niech na sekundę choć uchyli powiek / i powie: jesteś”. Chociaż wie, że prosi daremnie.

*Nic ciebie nie przywróci
Tylko pamięć wraca
nieruchoma bezsenna
ciężka niby kamień
którego żaden anioł nie odrzuci*

Cóż pozostaje? Nadzieja płynąca z wiary:

*Źrenice które zgasną
oślni jasność*

Jak wspomniałam, nie ma w Żywicy opisu samego momentu odejścia. Ale są zwiastuny. Jakby wzięte wprost z ludowych wierzeń. Oto „śmierć się śmieje / stając przy łóżku / w przebraniu pielęgniarki”. A niedługo potem:

*Lustra się tłuką
spadają obrazy
nadchodzi nieuchronne
niesłyszalnym krokiem
Koty sierść jeża
słyszac głuchy stukot
Cztery ściany jak głazy
lecz mury bezbronne
Co ma nadejść przenika
przez serca przez ściany
ażeby zabrać
tych których kochamy*

Barbara Ogrodowska, autorka słownika polskich zwyczajów i obrzędów ludowych, pisze: „Śmierć (...) – niewidzialna dla innych – podchodzi do łóżka, wpatruje się w chorego, dopóki nie umrze.” „Koniec życia i przyjęcie Śmierci poprzedzają znaki: (...) niewytłumaczone tajemnicze dźwięki i hałasy w domu i obejściu (...) pukanie do ściany.” „Polska tradycja ludowa wyróżnia przede wszystkim osobliwe zachowanie zwierząt domowych.”

Aluzje do obrzędów żegnania zmarłych występują w kolejnych wierszach. Aczkolwiek poetka wybiega refleksją poza obszar kultury ludowej – kojarząc na przykład obmywanie zmarłych i pranie prześcieradeł z umywaniem rąk i pragnieniem czystości sumienia u tych, co zostali. A kiedy wdowa szuka sensu w codziennych czynnościach, powraca motyw lustra – już jako metafora. Lustro nie odbija twarzy zmarłego, a pustkę po nim. Ale zakończenie wiersza ponownie nawiązuje do ludowego obyczaju: „Lustro – przejrzyste szkło / przesłonięte białym prześcieradłem”.

Te przywołania polskich zwyczajów ludowych są w Żywicy znakami zakorzenienia w kulturze. Sytuują poezję w tym właśnie miejscu i w tym czasie. Być może dlatego, że w mitycznym rodzinnym ogrodzie Ludmiły Marjańskiej – *Przed wiekami, przed chwilą* – trwało „W gąszczu spletanym drzewo genealogiczne / rozrosło korzeniami od Serbii po Bałtyk”. Bardzo często „wielokulturowcy”

są na takie tematy szczególnie uwrażliwieni.

Linia tematyczna następujących po sobie wierszy ma kształt sinusoidy: od rozpacz do nadziei i z powrotem do rozpacz – żeby na koniec wszystko w sobie ułożyć i zrozumieć, że „Trzeba długo bić głową w ścianę / aby się rozstała / na rozkwitający ogród”. Ta nić przewija się przez cały cykl. Przy tym autorka często zestawia sąsiadujące wiersze na zasadzie kontrastu tematycznego czy emocjonalnego, dodając cyklowi dynamizmu.

Po śmierci Jęgo w Jej powrocie do równowagi pomocny okaże się „wiersz jak sen”, który „przywraca życie zmarłym”. Przywodzi na myśl *Tren* (...) – *albo sen* Kochanowskiego. Ale Ona nie chce takiego ukojenia, które przyniosłoby niepamięć:

*A więc jest zieleń w stubarwnych odcieniach
powietrze które chciwie chłona płuca
soczyste śliwy przygaszone światło
Słowa pociechy jednak się odrzuca
bo przerażone serce nie chce nic odmieniać
by zapomnienie nie przyszło zbyt łatwo
Czas przyćmi pamięć niewierną i chętną
ale ból gasząc stłumi życia tętno*

W tym wierszu głębia refleksji, klimat poetycki, mistrzostwo słowa, brzmienie i rytm frazy są jakby wzięte wprost z szekspirowskich monologów – w doskonałym przekładzie.

W cyklu *Żywica* wyraziście obecny jest wątek oniryczny. Sny nie zawsze niosą pociechę. Takie – na pewno nie:

*W snach
nieistniejący mężczyzna
przekupując strażników
pomaga mi przejść przez granicę
gdzie będę wreszcie mogła
zostawić kotyskę z koca
z dzieckiem
nie do udźwignięcia
odpocząć*

O wyjątkowej roli snów w poezji Ludmiły Marjańskiej wspominałam na początku, przy okazji *Córki bednarza* – wiersza zaiste objawionego. W tomiku Żywica jedne sny służą samopoznaniu, inne – terapii. Tylko sny dają nadzieję, że On uobecni się w dawnej postaci:

*Nie odchodź zostać
w księdze snów
Gdy ją otworzę
może
spotkam cię znów
i już nie będzie
rozstań*

Zanurzenie w śnie – jak w morzu – powoduje, że „granitowa skała rozpaczy” już nie rani: „Roztopia się wśród / przerywanych wodorostów snu / sznurów koralowych łez”.

Morze jest symbolem tak wieloznacznym, że wymyka się interpretacji. Bo to zarazem czas – i wieczność, niezmiennosc – i zmienność, życie – i śmierć, oczyszczenie – i nieczyść, wspomnianie – i zapomnienie, wznoszenie się do Boga – i wrogość Boga. A także wolność, samotność, bunt, przygoda i wytnienie. Bogactwo pereł, koralu i bursztynu. Tajemnica i prawda zatopiona w podświadomości.

Do Żywicy pasują wszystkie te skojarzenia. A skoro symbol jest tak pojemny, bezcelowe stają się analizy wedle tego klucza. Emocje człowieka zmagającego się z nadludzkim wysiłkiem równie dobrze mogły zostać wyrażone metaforą wspinaczki na niedostępną górę. Marjańska wybrała pejzaż morski, bo jej poezja właśnie w nim się odnajdywała – to był jej żywioł. Nawet w wierszu ****Wyrywana z pradziejów*, gdzie Ona – już na lądzie i w świecie rzeczywistym – stąpa po posadźce, ale „Dębowa klepka / miejscami lśni jeszcze / jak bursztyn / pociemniała żywica / wydeptana życiem / kilku pokoleń”. Dobre meble są tu rafami, które trzeba omijać, człowiek to „ludzki wrak”, a pomocna dłoń – „lina ratunkowa”.

Pośród utworów umieszczonych w cyklu Żywica kilka wyróżnia się głębią metafizyczną, klimatem poetyckim, metaforą i kondensacją semantyczną bliskimi poezji Emily Dickinson. Należą do nich i te, nawiązujące do morskiego pejzażu czy tylko dotykające go z lekką metaforą:

*Gdyby tak nagle wzlecieć z dna
w przestrzeń błękitną
pozbyć się obolałych nóg
łomotu serca
zniknąć
Na lodowatej wysokości
nie pozostawić śladu
prócz łzy
zmienionej w ziarno gradu*

*Zamilkł szczygiel zgasty ogrody
Złote liście zrzuciła brzoza
Tylko schody kamienne schody
na dno morza*

Jeszcze wyraźniejsze „powinowactwa dickinsonowskie” odnalazłam w wierszach, których analizować nie śmiem, żeby nie zrujnować poezji. Bowiem zarówno wiersze Emily Dickinson, jak i Ludmiły Marjańskiej mają ten poziom syntezy, że każda interpretacja – nieznosnie przegadana – zajęłaby więcej miejsca niż cały tomik:

*Ani to życie ani umieranie
takie szaropające trwanie
omotane siecią
niepotrzebne dzieciom
niepojęte
zamknięte
we śnie
samo w sobie
jak w pustym
za wcześniej
wybudowanym grobie*

*Ani słowo ani miłość ani brzask
już nic więcej tylko stony ocean
Wchłaniający obojętny czas
który kamień najtwardszy żżera*

*Ani bruzdy ani blizny ani rany
wygładzony matowy głaz
Ściągający na dno pustoty czas
między szkier granitowe ściany*

Rozpoznawalnym znakiem wyróżniającym poezję Ludmiły Marjańskiej, jej idiomem, jest lapidarność formy. Autorka w mistrzowski sposób operuje elipsą. Przykładem może być chociażby wiersz zacytowany powyżej. Albo ten, w którym stosując konstrukcję eliptyczną „streszcza się” całe życie:

*Imieniny urodziny rocznice
ślubu śmierci święceń
jak odprowadzany różaniec
za wieczne odpoczywanie*

Istotą jej poezji jest używanie minimum słów przy maksymalnej kondensacji znaczenia – albo znaczeń – w słowie. Ale przecież poezja to sztuka syntezy, a wiersz przegadany jest po prostu złym wierszem. Poetka dba o precyzję semantyczną. Żeby – przy wyborze z dostępnych synonimów – użyte słowo było właśnie tym koniecznym, niewymiennym, jedynym właściwym, jakie istnieje w zasobach słownika dla tej akurat sytuacji poetyckiej. W sposób wirtuozowski wykorzystuje Marjańska także pojemność semantyczną i wieloznaczność wyrazów, polisemię. To otwiera nie jedną, a kilka furtek interpretacyjnych, bo przecież wiersz nie musi być skazany na jedną interpretację. Możliwy, a nawet pożądany jest wirtualny „dialog” z czytelnikiem, żywy odbiór wiersza, spotkanie dwu wrażliwości.

Poezja Marjańskiej wyróżnia się gęstą metaforą. Najwyraźniej widoczną w formach skrajnie lakonicznych:

*Każdy dzień jest otwartą raną
jak czarne wnętrze tulipanu*

W Żywicy jej napięcie występuje zwłaszcza w drugiej części cyklu:

*Chciałam
usunąć kamień
z twojej drogi
ale ty sam
skamieniales*

*Życie – płonący owoc granatu
zamknięty w bezruch granitu*

*Wiesz już:
od zmartwień
można zmartwieć*

– to epigramaty, z których dwa pierwsze można by umieścić na nagrobku.

Marjańska ma znakomity słuch poetycki, jest wrażliwa na „muzyczność” wyrazów zawartą w samej fonetyce. Buduje śpiewne frazy. Jej poezja to melika.

Ludmiła Marjańska przez całe życie pozostała wierna Częstochowie. Pomimo tego, że od 1945 roku przez sześćdziesiąt lat poetka mieszkała w Warszawie, gdzie toczyło się jej życie rodzinne, przyjacielskie, studenckie i zawodowe – owocujące poezją i prozą, bogate w kontakty towarzysko-literackie – „stołeczność” nigdy nie przesłoniła jej miasta, w którym przyszła na świat jako córka Ludwika i Marii Mężnickich, w rodzinie głęboko zakorzenionej, osiadłej tu od pokolenia pradziadków Ludmiły. W Częstochowie się wychowała, była uczennicą słynnego żeńskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego. Także tutaj, na tajnych kompletach, zdała maturę. A tuż po wojnie wyszła za mąż za Janusza Marjańskiego – kolegę z harcerstwa, którego poznała w 1937 roku. Przeżyli w małżeństwie pięćdziesiąt cztery lata.

Do Częstochowy woziła dzieci i wnuki. Już w bardzo dojrzałym wieku utrzymywała żywy kontakt z Liceum Ogólnokształcącym im. Juliusza Słowackiego, szkołą kontynuującą tradycje jej przedwojennego gimnazjum.

Wspomniana siła charakteru Marjańskiej była źródłem jej wolności twórczej, dzięki której poetka mogła sobie pozwolić na odejście od „modnych” konwencji na rzecz wiersza wyrastającego z tradycji, nierzadko podzielonego na strofy, wyraźnie zrytmizowanego i rymowanego. Ale pisała także wiersze o bliższej naszym czasom organizacji wypowiedzi, w poetyce powszechnie dziś uprawianej, z rymami niedokładnymi bądź bezrymowe, często z zakłóconym rytmem czy zerwaną frazą. W jej przypadku nie jest to przejaw łatwości korzystania z wyeksploatowanej formy. Bowiem te wiersze charakteryzują odkrywczymi metaforami i gęstością semantyczną. Ludmiła Marjańska pozostaje w nich sobą, jest rozpoznawalna, „swoja”, można rzec: samородna.

Marjańską było stać na spojrzenie z dystansu i pozostawanie odrobinę w cieniu – aczkolwiek konieczność wydania własnym sumptem tomików *Zmrożone światło* (1992) i *Prześwit* (1994) to doprawdy skandal. Tyle że wstydzić się powinni redakcyjni „specjaliści” od formułowania kryteriów, wystawiania ocen, kwalifikowania utworów do druku, a także kreowania wielkości i windowania ich na literackie piedestały. Tym bardziej należy podkreślić fakt, że Piotr Matywiecki – krańcowo różniący się od Marjańskiej poetycką ekspresją – oba te tomiki uznał za objawienie.

Jakie to szczęście, że „Słowa żyją dłużej niż człowiek, / który je wypowiedział”, a żywica okaleczonej sosny skamieniała w bursztyn.



BIBLIOGRAFIA I ŹRÓDŁA CYTATÓW

Andrzej Bursa, *Poeta*, w: „Luiza” i inne utwory, Warszawa 1988.

Ignacy Chrzanowski, *Historia literatury niepodległej Polski*, rozdz. IV, *Od roku 1543 do końca XVI wieku...*, Jan Kochanowski, Warszawa 1974.

Emily Dickinson, *I never saw a moor*, www.portablepoetry.com [dostęp 17.03.2016].

Emily Dickinson, ****Nie widziałam nigdy wrzosowisk*, w: Emily Dickinson, *Liryki najpiękniejsze*, przekład Kazimiera Iłakowiczówna, Toruń 2008.

Emily Dickinson, *Przecucie. Ostatnie przekłady Ludmiły Marjańskiej*, Biblioteka Telgte, 2005.

Emily Dickinson, *Skoro nie mogłam mieć Wszystkiego*, w: Stanisław Barańczak, *Od Walta Whitmana do Boba Dylana. Antologia poezji amerykańskiej*, przełożył i opracował Stanisław Barańczak, Kraków 1998.

Emily Dickinson, *The Missing All – prevented Me*, www.americanpoems.com [dostęp 17.03.2016].

Elżbieta Hurnikowa, *O wierszach Ludmiły Marjańskiej*, w: *O Ludmile Marjańskiej. Szkice – interpretacje – wspomnienia*, pod redakcją Elżbiety Hurnikowej, Iwony Skrzypczyk-Gałkowskiej, Częstochowa 2015.

Maria Jentys-Borelowska, „*Ach, tylko być...*” *O życiu i twórczości Ludmiły Marjańskiej*, w: *O Ludmile Marjańskiej. Szkice – interpretacje – wspomnienia*, pod redakcją Elżbiety Hurnikowej, Iwony Skrzypczyk-Gałkowskiej, Częstochowa 2015.

Jan Kochanowski, *Treny*, w: *Dzieła polskie*, Warszawa 1989, ss. 566, 568, 580.

Władysław Kopaliński, *Słownik symboli*, Warszawa 1990, hasło: *Morze*.

Julian Krzyżanowski, *Historia literatury polskiej*, rozdz. *Renesans*. Jan Kochanowski, Warszawa 1964.

Ludmiła Marjańska, *A w sercu pełnia. Wybór wierszy*, Warszawa 2003.

Ludmiła Marjańska, *Moja przygoda z Emily Dickinson*, w: *Emily Dickinson, Przeczucie. Ostatnie przekłady Ludmiły Marjańskiej*, Biblioteka Telgte, 2005, ss. 104-105.

Ludmiła Marjańska, *O sobie*, „Aleje 3. Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy”, nr 33, maj-czerwiec 2001.

Ludmiła Marjańska, *Żywica*, Warszawa 2001.

Henryk Markiewicz, Andrzej Romanowski, *Skrzydlate słowa*, Warszawa 1990, S – hasło 136, s. 591.

Moja Mama i ja, z Marią Marjańską-Czernik rozmawiają Aleksandra Mieczynska i Aneta Nawrot, w: *O Ludmile Marjańskiej. Szkice – interpretacje – wspomnienia*, pod redakcją Elżbiety Hurnikowej, Iwony Skrzypczyk-Gałkowskiej, Częstochowa 2015.

Maria Nasińska, *Nad listami Ludmiły Marjańskiej*, w: *O Ludmile Marjańskiej. Szkice – interpretacje – wspomnienia*, pod redakcją Elżbiety Hurnikowej, Iwony Skrzypczyk-Gałkowskiej, Częstochowa 2015.

Aneta Nawrot, *Ludmiła Marjańska we wspomnieniach*, w: *O Ludmile Marjańskiej. Szkice – interpretacje – wspomnienia*, pod redakcją Elżbiety Hurnikowej, Iwony Skrzypczyk-Gałkowskiej, Częstochowa 2015.

Barbara Ogrodowska, *Zwyczaje, obrzędy i tradycje w Polsce. Mały słownik*, Warszawa 2001, hasła: *Śmierć, Zwyczaje i obrzędy pogrzebowe*, ss. 211-212, 276.

Nowy słownik Fundacji Kościuszkowskiej angielsko-polski, Kraków 2003.

Joanna Papużńska-Beksiak, *Ludmiła Marjańska*, w: *O Ludmile Marjańskiej. Szkice – interpretacje – wspomnienia*, pod redakcją Elżbiety Hurnikowej, Iwony Skrzypczyk-Gałkowskiej, Częstochowa 2015.

William Shakespeare, *Hamlet. Król wicz duński*, przekład Józefa Paszkowskiego w: *Dzieła dramatyczne Williama Shakespeare*, tom II – tragedie, Warszawa 1875, s. 345.

William Shakespeare, *Hamlet, książę Danii*, przekład Stanisław Barańczak, Poznań 1990, s. 52.

William Shakespeare, *Hamlet, Prince of Denmark*, w: *The Complete Works of William Shakespeare*, London, Oxford University Press, New York, Toronto 1962, s. 878.

Iwona Smolka, „*Córka bednarza*” *Ludmiły Marjańskiej*, w: *O Ludmile Marjańskiej. Szkice – interpretacje – wspomnienia*, pod redakcją Elżbiety Hurnikowej, Iwony Skrzypczyk-Gałkowskiej, Częstochowa 2015, s. 40.

Iwona Smolka, „*Światło nad wodami*”, w: *Dziewięć światów. Współczesne poetki polskie*, Warszawa 1997.

Urszula Zaleska, „*Słowa żyją dłużej niż człowiek, który je wypowiedział*”. *Związki Ludmiły Marjańskiej z I Liceum Ogólnokształcącym im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie*, w: *O Ludmile Marjańskiej. Szkice – interpretacje – wspomnienia*, pod redakcją Elżbiety Hurnikowej, Iwony Skrzypczyk-Gałkowskiej, Częstochowa 2015.

Krzysztof Żaboklicki, *Historia literatury włoskiej*, część I Średniowiecze, *Francesco Petrarca*, Warszawa 2008, s. 60.

Elżbieta Hurnik

O WIERSZACH LUDMIŁY MARJAŃSKIEJ I TADEUSZA CHABROWSKIEGO

W dorobku poetyckim Ludmiły Marjańskiej z ostatniego okresu jej życia są – między innymi – dwa tomiki wierszy: *Przez całe życie miłość* (1998) i *Żywica* (2001), które zasługują na szczególną uwagę. Są to zbiory wzajemnie się dopełniające. Ten z roku 1998 przedstawia miłość małżeńską z perspektywy czasu, mówi o trudach tej miłości, o uczuciu, które buduje się i o które się walczy przez całe wspólne życie, poczynając od dnia zaręczyn. W wierszu pod takim właśnie tytułem – *Zaręczyny* – poetka pisze:

„na nieustanne sobą zdziwienie,
na gniew i krzywdę i przebaczenie
wybieram ciebie”¹.

Jednym z najważniejszych wyzwań we wspólnym bytowaniu są ponawiane nieustannie próby dochodzenia do siebie, utrwalania wzajemnych więzi. W wierszu *Milczenie* stawia poetka pytanie: „Jak się porozumieć?”² – bo małżeństwo to spotkanie odrębnych osobowości, odmiennych sposobów myślenia i odczuwania. Tadeusz Gieryski, recenzując ów zbiór przed laty, podkreślił jego nowatorski charakter, nowatorski nie pod względem formalnym (w tym zakresie pozostaje poetka wierna wierszowi tradycyjnemu), ale dzięki nadaniu miłości innego wymiaru. W recenzji tej czytamy:

„Marjańska relacjonuje dzieje [...] miłości małżeńskiej trwającej dziesiątki lat. Łatwo kochać mając 20 lat, lecz co się dzieje, kiedy miodowe miesiące przechodzą,

a włosy zaczynają siwieć. Kiedy partner, z jakim się przeżyło najpiękniejszy okres zapada na nieuleczalną chorobę, traci wzrok i słuch? Erotyka wówczas odsuwa się na dalszy plan, czasem w ogóle poza plan, lecz miłość może trwać dalej, przejawia się tylko w inny sposób”³.

Tom *Żywica*, opatrzony dedykacją: „Pamięci J.”, stanowi zapis przeżyć poetki związanych z chorobą męża (Janusz Marjański zachorował na alzheimera), jego stopniowym odchodzeniem i wreszcie – śmiercią. Maria Jentys-Borełowska, analizując twórczość poetycką Marjańskiej, traktuje obydwa zbiory jako „dwuczęściową historię związku małżeńskiego”:

„od «wybuchu» miłosnej euforii (*Gejzer, Płomień*) uwieńczonej decyzją o zawarciu Ślubu (*Zaręczyny*), przez radosne i bolesne, upojne i gorzkie, przede wszystkim zaś bardzo trudne przewycięzanie wzajemnej obcości w trakcie ponawianych przez półwiecze – z pozoru daremnych, ale jakże istotnych – prób porozumienia się (*Nasze osobne, Rozmowa, Milczenie, Gniew, Po latach, Mój niekochany, Niemożliwe*), po starość, w której «to, co nas dzieliło, dzisiaj nas połączy» (*Druga próba porozumienia*), chorobę, której zarządzeniem wzięła dłoń żony staje się «ratunkową liną» dla zabłąkanego w dżungli domu męża, wreszcie – śmierć”⁴.

³ T. Gieryski, Trudna miłość, „Aleje 3. Częstochowski Dwumiesięcznik Kulturalny” nr 17, wrzesień – październik 1998. Rec. L. Marjańska, *Przez całe życie miłość*, „Twój Styl”, Warszawa 1998.

⁴ M. Jentys-Borełowska, „Ach, tylko być...” *O życiu i twórczości Ludmiły Marjańskiej*, [w:] *O Ludmile Marjańskiej. Szkice – interpretacje – wspomnienia*, pod red. E. Hurnikowej, I. Skrzypczyk-Galkowskiej, Częstochowa 2015, s.

¹ L. Marjańska, *Przez całe życie miłość*, „Twój Styl”, Warszawa 1998, s. 9.

² Tamże, s. 16.

Badaczka stwierdza, że trudno w pełni zrozumieć ów „lament żałobny”, jaki stanowi Żywica, jeśli nie zna się poetyckiego opisu miłości, jej przemian w wierszach zebranych w tomie *Przez całe życie miłość*. Nie sposób się z tą konstatacją nie zgodzić.

Ostateczną próbą trwałości uczuć jest odchodzenie bliskiej osoby, sytuacja, w której niemożliwe staje się nawiązanie z nią porozumienia; więzi emocjonalne przekształcają się w czuwanie nad fizjologicznym wymiarem codziennej egzystencji. Te doświadczenia rejestruje Żywica, zbiór przemawiający prawdą uczuć osoby konfrontowanej z chorobą bliskiego człowieka, jaką jest stopniowa utrata pamięci i fizycznej sprawności:

„Zamknięty w kręgu udręczenia
odchodzi
w swój niepojęty świat
gdzie nie ma wstępu
Mówi obcym językiem
Bełkotliwe samogłoski
wypadają mu z ust
grudkami bólu”⁵

Trudno o bardziej zwięzły i skondensowany opis sytuacji, gdy jedna osoba pogrąża się w chorobie, w niepamięci, w niemożności wysłowienia się, a druga cierpi, gdyż nie może jej pomóc, przedostać się do wewnętrznego świata chorego. Przełożenie na język poetycki przeżycia tak osobistego, intymnego, jakim jest doświadczenie choroby bliskiego człowieka, wymaga środków artystycznych, które obronią wiersze przed dosłownością, banalnymi sformułowaniami, sentymentalizmem. Poetka dąży do oddania codziennego, powszedniego wymiaru choroby, bo to ona zapanowała nad całym życiem bohaterów zbioru Żywica. Posługuje się słownictwem potocznym, jak i metaforą, taką, która przylega ściśle do rodzaju doświadczenia:

„Ta kłoda
powalona wichurą
wciąż jest moim mężem
Czasem dzwigam ją
do pionu
Odzyskuje mowę
Mówi
Jaką masz małą rączkę”⁶

Wyraziste porównanie w pierwszym wersie chorego do kłody wzmacnia forma gramatyczna zaimka osobowego w czwartym wierszu: „ją” – nie „jego”, męża. Z obrazem człowieka porównanego do kłody drzewa kontrastuje wypowiedź zamykająca wiersz, zawierająca zdrobnienie: „rączkę”. W niewielkiej przestrzeni wiersza zbudowany został w niezwykle oszczędny i zwięzły sposób dramat bohaterów lirycznych: silnego mężczyznę cechuje niemożność, bezsiła, drobną kobietę – siła, działanie, niesienie pomocy. Forma ascetyczna wzmaga wymowę utworu; każde słowo ma tutaj znaczenie.

Ostateczne odejście, śmierć bliskiego człowieka okazuje się „straszną wolnością”, która, jak pisze poetka w jednym z wierszy: „na mnie spadła/ jak martwy gołąb”⁷. Przytłaczająca jest bowiem świadomość, że już nie ma komu pomagać:

„Tylko bezradne ręce
nie mogą uczynić
nic więcej”⁸

U podstaw zbioru leżą doświadczenia własne poetki (komentowane także poza tekstami lirycznymi), ale siłą poetyckiego talentu Marjańska nadaje im wymiar uniwersalny, ujmując w słowa doznania każdego cierpiącego człowieka.

Wyjątkowość tomu Żywica na mapie współczesnej polskiej poezji dostrzegli zarówno poeci, jak i badacze literatury. Tade-

18-19.

⁵ L. Marjańska, Żywica, „Czytelnik”, Warszawa 2001, s. 38.

⁶ Tamże, s. 34.

⁷ Tamże, s. 45.

⁸ Tamże, s. 47.

usz Gierymski recenzję zbioru napisaną tuż po jego ukazaniu się, w 2001 roku, zamknął konkluzją:

„Dawno nie czytałem tak bezlitośnie wzruszającej poezji. Dawno? Chyba nigdy!”⁹

Maria Jentys-Borelowska określiła Żywicę, „tom małżeńsko-wdowieński”, jako „najszlachetniejszy spośród klejnotów współczesnej polskiej liryki lamentacyjnej, żałobnej”¹⁰; zawarte w nim wiersze o miłości i śmierci „nie mają sobie równych we współczesnej polskiej poezji. Są zaiste jak krople żywicy-krwi, pełne ciepłych złocistych lśnień-olśnień”¹¹

Wiersze te jednocześnie prowokują do poszukiwań i porównań z innymi zapisami lirycznymi doświadczeń związanych z chorobą i śmiercią towarzysza czy towarzyszek życia. Nie sposób nie wspomnieć tu o *Białym rękopisie* Anny Kamieńskiej (1970), który upamiętnia postać męża poetki, Jana Śpiewaka. Jednakże zbiór powstał po jego przedwczesnej śmierci, wyrósł z cierpienia po tym trudnym przeżyciu (zapoczątkował też, jak piszą krytycy, okres pełnej krystalizacji treści i formy w twórczości Kamieńskiej).

Do utworów będącym przejmującym dokumentem cierpienia związanego z chorobą i odejściem bliskiej osoby już w wieku dojrzałym, naznaczonej cierpieniem, należą wiersze Tadeusza Chabrowskiego zamieszczone w wydanym niedawno zbiorze *Dom w chmurach*. Jest on bogaty w znaczenia; pojawiające się wątki, myśli, refleksje składają się na sumę minionych doświadczeń życiowych i przeżyć duchowych podmiotu, a jednocześnie rejestrują stan obecny – trwanie, podążanie ku temu, co nieznane czy nieuniknione, trwanie poza czasem. W utworze tytułowym poeta pisze:

„Wspinam się pod górę do domu
w chmurach,
moje płuca oddychają coraz rzadszym
powietrzem
[...]
kiedyś cieszyłem się chwilą, która gasła
teraz próbuję przedłużyć życie
Choć wiem, że wkrótce spadnie papierowa
kurtyna”¹².

Tadeusz Chabrowski stracił w późnym wieku swoją wieloletnią towarzyszkę życia, Zofię (zmarła w ubiegłym roku; spędzili wspólnie prawie 49 lat). Przed laty poświęcił jej wiersze opublikowane w tomie *Panny z wosku*; utwory zawarte w zbiorze *Dom w chmurach* pisane były, jak sam przyznaje, w cieniu jej choroby¹³. Postać żony jawi się w *Echach nocy*:

„spoglądam na suchą skórę na łydkach
i brzuchu żony
szminka, którą czasem różowiła wargi
mażę czerwoną krechę na lustrze, które
natychmiast pęka

wyczuło, że zaciśniętą pięścią szukam
odwetu,
na tych, którzy obiecywali szczęście
i życie”¹⁴

Środki, przy pomocy których rysuje poeta sylwetkę żony, są niezwykle oszczędne; wydobywają jedynie takie szczegóły, jak łydki i brzuch, które naznaczone są starzeniem czy chorobą. Szminka, nieodłączny atrybut kobiety, stanowi rekwizyt już niepotrzebny (czasownik „różowiła” – w czasie przeszłym), służy tu do zmanifestowania niezgody na los, jaki przypadł w udziale bohaterom lirycznym wiersza.

Tom zamyka utwór *Przed świtem*, oddający cierpienie poety spowodowane chorobą

⁹ T. Gierymski, „Żywica” *Ludmiły Marjańskiej*, „Aleje 3” nr 36, listopad-grudzień 2001, s. 11-13.

¹⁰ M. Jentys-Borelowska, „Ach, tylko być...” ..., s. 171

¹¹ Tamże, s. 21

¹² T. Chabrowski, *Dom w chmurach*, Biblioteka „Toposu”, Sopot 2016, s. 13.

¹³ T. Chabrowski, [Prywatna rozmowa we wrześniu 2016 roku].

¹⁴ T. Chabrowski, *Dom w chmurach*, s. 38.

żony, ale i bliskością śmierci, rozterkami egzystencjalnymi, poczuciem przemijania. Chabrowski unika wielkich słów i ogólnych pojęć, posługuje się słownictwem potocznym, czasem kolokwializmami: „Wylazłem z łóżka przed piątą”, „wiem, że pod wieczór zgłupieję”¹⁵. O chorobie żony pisze zaledwie w kilku słowach, eksponując przy tym szpitalne realia:

„żona już drugi tydzień na szpitalnym
łożku
karmiona marną owsianką
i rosół z kroplówki”

Własnego cierpienia nie wyraża poeta bezpośrednio, ale przenosi je na otaczający świat, przedstawiając go w ciemnych barwach:

„ciężki, mętny świt w dali
fioletowe pasma pełne czarnych kolein”

W wierszu tym zmanifestowana została niezgoda na los:

„Bóg pewnie nas wymyślił
bo gdzie ten miód wonny, czarny, który
obiecał
gdzie rajske ogrody z jabłkami”

– i na koncepcję cierpienia, które, jak się okazuje, nie uszlachetnia, „niczego nie tworzy, nie leczy ran”. Los ma jedynie do zaoferowania kolejny jasny, ale jednocześnie „straszny dzień”.

Utwór ten zawdzięcza swoją siłę wyrazu równowadze pomiędzy przeżyciami, z których wyrasta, a ujmującymi je słowami; dowodzi, że o wielkich i o ważnych sprawach należy pisać, unikając patosu, wielosłownia, nadmiaru.

Zestawiając w niniejszym szkicu wiersze Ludmiły Marjańskiej i Tadeusza Chabrowskiego, nie próbuję szukać w nich analogii

innych niż te, które tu wskazałam; u podłoża omawianych utworów leży doświadczenie choroby i śmierci bliskiej osoby, doświadczenie fundamentalne, nieporównywalne z niczym innym, wymagające odpowiedniej formy wypowiedzi¹⁶. Tym zadaniom oboje twórcy potrafili sprostać, wzbogacając literaturę współczesną o wiersze uderzające siłą przeżyć i ich artystycznym wyrazem.

Utwory są też formą utrwalenia pamięci o tych, którzy już przeszli na drugą stronę. Wszak słowo poetyckie, jak dowodziła między innymi Ludmiła Marjańska, posiada moc ocalenia przed ostatecznym unicestwieniem:

„Wiersz jak sen
Przywraca życie zmarłym
siadają z nami za stołem
piją herbatę
patrzą w oczy
zwyczajni
zupełnie jak żywi”¹⁷.

¹⁶ Na marginesie warto nadmienić, że Ludmiła Marjańska i Tadeusz Chabrowski znali się osobiście, widywali się w Warszawie podczas spotkań literackich w Warszawie; autor *Domu w chmurach* cenił sobie jej towarzystwo, wyraża uznanie dla jej dokonań [prywatna rozmowa z Tadeuszem Chabrowskim we wrześniu 2016 roku]. Kontakty pisarzy, podobnie jak i fakt, że oboje związani byli z Częstochową, nie wpłynęły na wybór omawianych tu utworów.

¹⁷ L. Marjańska, Żywica, s. 68.

¹⁵ Tamże, s. 56.

Iwona Skrzypczyk-Gałkowska

CZĘSTOCHOWA W ŻYCIU LUDMIŁY MARJAŃSKIEJ

Miejscem szczególnym w twórczości, zwłaszcza prozatorskiej, Ludmiły Marjańskiej jest Częstochowa. Pisarka podkreśla istotę miejsca urodzenia w artykule *Częstochowa – miasto mojej młodości*. Zaczyna go słowami:

Któż nie sięga pamięcią do miejsca, w którym się urodził i wychował? Banalne pytanie. Każdy to czyni, a najczęściej ten, kto to miejsce zdradził, kto je opuścił, szukając czegoś innego. Bo młodym ludziom często wydaje się, że gdzie indziej – to znaczy lepiej, piękniej, a przede wszystkim inaczej. I nie wiedzą jeszcze, że dokądkolwiek pojadą – do większego miasta, do stolicy wabiącej możliwościami, czy nawet do innego kraju – nie uciekną od miejsca urodzenia. Ono zawsze zostanie w nich i jak w wosku odcisnięta pieczęć będą trwały w ich pamięci krajobrazy dzieciństwa i młodości. Któż nie zna literackich powrotów do tej zaczarowanej krainy?¹

Dalej Marjańska przytacza swój wiersz *Miasto młodości* z tomu *Chmurne okna*, w którym pisała między innymi, że śmierć najbliższych powoduje zerwanie powiązań z Częstochową, ale, patrząc z odleglejszej perspektywy, stwierdza, że przeszłość buduje w człowieku inne obrazy od tych, które wywołuje teraźniejszość i które chce się przekazać przyszłym pokoleniom. Zatem czasy, miejsca i pamięć to, według niej, kategorie wiążące się bezpośrednio z ludźmi. Jak wspomina, właśnie w Częstochowie byli / są ludzie, „którzy po wielu latach chcieli mnie odszukać”². Wspominając częstochowski okres w życiu,

Marjańska wyznaje: „[...] im dalej sięgam pamięcią, tym bliższa staje mi się Częstochowa, miasto mojej młodości”³.

Marjańska swój wyjazd z rodzinnego miasta tłumaczyła po latach:

[...] zaskakujące jest dla mnie to, że ludzie, których dziś spotykam, mają do nas żal, że uciekamy z Częstochowy. [...] A my, uciekając, nie chcieliśmy zachowywać w naszej pamięci swoich cierpień i obciążać miasta naszymi zawodami, bolesnymi przeżyciami. Pragnęliśmy zaczynać od nowa – po wojnie, która stanowi doświadczenie niepowtarzalne⁴.

Kiedy w 2003 roku przybyła na I Światowy Kongres Częstochowian, powiedziała: „Przed laty [...] opuściłam Częstochowę, aby mieszkać, pracować i studiować w Warszawie. Rodzinne wspomnienia nie pozwalają mi jednak zapomnieć o tym mieście, gdzie się urodziłam i żyłam przez dwadzieścia przeszło lat”⁵.

W jednym z wywiadów określa znaczący wpływ rodzinnej przestrzeni na siebie i swoje pisarstwo:

Trudno mieszkać u stóp Jasnej Góry, żeby nie zostawiło to śladu gdzieś wewnątrz. Klasztor, religia to dla mnie coś bardzo ważnego, co ujawnia się w mim pisaniu. Natomiast wspomnienia z Częstochowy zawarłam w dwu autobiograficznych powieściach *Pierwsze śniegi*, *pierwsze wiosny* i *Życie na własność*. Teraz

³ Tamże, s. 69.

⁴ *Wiersze, które piszą się same*, rozm. A. Czajkowska, „Gazeta Częstochowska. Tygodnik Regionalny” 1995, nr 11 (191), „Notatnik Kulturalny” (Dodatek Informacyjno-Publicystyczny) nr 3, s. IV.

⁵ *I Światowy Kongres Częstochowian 2003. Materiały pokongresowe*, Urząd Miasta Częstochowy, s. 53-53. <http://www.czestochowa.pl/data/other/wydawnictwo.pdf> [on-line]. [dostęp: 27.06.2015].

¹ L. Marjańska, *Częstochowa – miasto mojej młodości*, „Almanach Częstochowy” 1993, s. 62.

² Tamże, s. 63.

jestem w trakcie wydawania nowej powieści *Ja, Agata*. Opowiada – oczywiście w zbeletryzowanej formie – o życiu pewnej dzielnej dziewczyny, którą poznałam podczas jednej z wizyt w LO im. J. Słowackiego⁶.

Jak wspomina Maria Nasińska, początkowe przyjazdy Marjańskiej do Częstochowy wynikały z pobudek ściśle osobistych – poetka najczęściej odwiedzała cmentarz św. Rocha, gdzie znajdują się groby jej rodziców⁷. Warto zaznaczyć, że do 1987 roku w Częstochowie nie pisano o znakomitej mieszkance – na jej temat milczała lokalna prasa, nie ma wzmianek o niej i jej twórczości w *Bibliografii województwa częstochowskiego*. W 1988 roku Tadeusz Chudy zauważył w artykule *Dwie panie*, że o ile o zainteresowanie życiem i twórczością Haliny Poświatowskiej rośnie w miarę upływu czasu, o tyle „Ludmiła Marjańska – szeroko znana poetka, powieściopisarka i tłumaczka – jest [...] wciąż za mało głośna w swoim mieście rodzinnym”⁸. Autor stawia pytanie, czy postać Marjańskiej znana jest choćby wszystkim uczniom Liceum im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie, którego pisarka jest przecież absolwentką. Brak wcześniejszych więzi z miastem Marjańska komentowała brakiem zainteresowania ze strony władze miasta: „Kontakt z Armią Krajową, rezygnacja ze studiów, późniejsza działalność opozycyjna widocznie wywoływały jakąś niechęć do mnie”⁹.

Pisarka dokładnie zapamiętała swój oficjalny powrót do Częstochowy: „Oficjalne kontakty zaczęły się dopiero w 1987 roku, kiedy zaprosiło mnie Towarzystwo Przyjaciół Częstochowy. Bardzo się bałam tego spotkania po przeszło 40 latach, tym bardziej że organizatorzy obiecali mi niespodziankę – obecność szkolnych koleżanek”¹⁰.

Konkretną datę spotkania znajdujemy w lokalnej prasie. „Gazeta Częstochowska” z 1987 roku zamieściła informację o mającym się odbyć 19 lutego tego roku spotkaniu autorskim Ludmiły Marjańskiej z czytelnikami. Autorka przypomina krótko sylwetkę twórczą pisarki, poświęcając osobny akapit powieści *Pierwsze śniegi, pierwsze wiosny* jako „związaną treścią z Częstochową. Książka ta ukazała się w 1986 roku i była rozprowadzana przez miejscowe księgarnie jeszcze w styczniu br. Pisarka opisuje w powieści życie szkolne, nauczycieli, koleżanki i miasto do 1939 roku i w pierwszych latach okupacji”¹¹. Po spotkaniu z Marjańską notatkę prasową napisał też Tadeusz Piersiak¹². Elżbieta Hurnikowa również wskazuje na te początki:

W latach 80. zaczęła nawiązywać ściśle kontakty z Częstochową, miastem młodości. Została wówczas zaproszona do Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy (przez Augustyna Chojnowskiego), kolejne spotkania miały miejsce w LO Słowackiego. Zapoczątkowały one przyjaźnię z nauczycielami i uczniami, stały się także inspiracją do książki *To ja, Agata*. Jak sama stwierdziła, Częstochowa z biegiem lat stawała się jej coraz bliższa¹³.

Szczegóły związane z „odkryciem” Augustyna Chojnowskiego wspomina również Maria Nasińska, która dodaje, że na wzmiankę o powieści *Pierwsze śniegi, pierwsze wiosny* ówczesny dyrektor Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy natknął się, przeglądając informacje o nowościach wydawniczych. Gdy dowiedział się, że autorka jest częstochowianką, a utwór opowiada o grupie częstochowskich gimnazjalistek, skontaktował się najpierw z wydawnictwem, a następnie z samą pisarką i zaprosił ją do Częstochowy na spotkania z czytelnikami.

⁶ *Wiersze w mojej głowie*, rozm. T. Piersiak, „Gazeta Wyborcza w Częstochowie” 1997, R. 7, nr 1, s. 4.

⁷ M. Nasińska, *Była wśród nas. Wspomnienie o Ludmile Marjańskiej*, „Almanach Częstochowy” 2006, s. 13.

⁸ T. Chudy, *Dwie Panie*, „Płomyczek” 1988, nr 23, s. 6.

⁹ L. Marjańska, *Jeden dzień w Częstochowie*, „Almanach Częstochowy” 2002, [T. 12], s. 152-153.

¹⁰ *Wiersze w mojej głowie*, rozm. T. Piersiak....

¹¹ M.S. [Maria Szczodrowska], *Książka o naszym mieście*, „Życie Częstochowy” 1987, nr 41, s. 8.

¹² T. Piersiak T., *Gabinet poetki, pięknej kobiety*, „Gazeta Wyborcza w Częstochowie” z 20 grudnia 2008.

¹³ E. Hurnikowa, *Ludmiła Marjańska (1923-2005)*, „Aleje 3. Kwartalnik Kulturalny Częstochowy” 2007, nr 64, s. 37-38.

Najbardziej wzruszające, najbardziej osobiste było, oczywiście, spotkanie z nauczycielami i młodzieżą w starych murach Liceum im. J. Słowackiego. [...] – „Ten sam budynek przy ulicy Kościuszki, ten sam numer. [...] Nagle uświadomiła sobie, że w tych dwóch budynkach rozdzielonych (czy połączonych?) podwórkiem zamknął się kawał jej życia [...]. Stała teraz pomiędzy przeszłością a teraźniejszością i nagle zniknęło wszystko, co wypełniało jej późniejsze życie¹⁴.”

Tego dnia zainteresowanie jej „częstochowską” książką było tak duże, że zabrakło egzemplarzy.

Marjańska wyczerpująco opisuje to spotkanie w artykule *Częstochowa – miasto mojej młodości*. Wymienia jego uczestników, między innymi dr. Wiesława Zygałdło i jego żonę Ligię (siostrę okupacyjnej koleżanki pisarki – Krysi Uljańskiej). Cieszy ją, że książka ma tak wielu czytelników w różnym wieku.

Od 1987 roku Marjańska stała się częstym gościem w Częstochowie¹⁵. Wszystkie pobyty Marjańskiej w Częstochowie skrupulatnie odnotowuje zaprzyjaźniona z nią Maria Nasińska w artykule *Była wśród nas. Wspomnienie o Ludmile Marjańskiej*, gdzie zaznacza, że częste kontakty z rodzinnym miastem przyniosły też literacki plon – Marjańska zaczęła pisać do „Almanachu” wydawanego przez Towarzystwo Przyjaciół Częstochowy, którego została honorową członkinią, oraz do kwartalnika „Aleje 3”. Tu, w gościnnych murach Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater” oraz Biblioteki Publicznej im. dr.

¹⁴ M. Nasińska, *Była wśród nas...*, s. 14.

¹⁵ Jak pisze T. Piersiak: „Została mu [Częstochowie] oficjalnie przywrócona w 1987 roku, kiedy spotkała się ze swoimi czytelnikami i przyjaciółmi z dzieciństwa zaproszona przez Towarzystwo Przyjaciół Częstochowy. Odtąd te powroty były coraz częstsze, spotkania coraz serdeczniejsze (także w odniesieniu do „Gazety”, której oddawała swoje wiersze do premierowej publikacji). Źródło: T. Piersiak, *Nie piekła ciasteczek, ale za to piekła indyka. Jaka była Ludmila Marjańska?*,”

http://czestochowa.wyborcza.pl/czestochowa/1.35271.1.5156103.Nie_piekla_ciasteczek_ale_za_to_piekla_indyka_Jaka.html#ixzz4GAPQjtdC [on-line]. [dostęp: 27.06.2015].

Władysława Biegańskiego, poetka brała udział w promocjach kolejnych tomików wierszy. Popierała też młodych twórców i uczestniczyła niemal we wszystkich ważnych wydarzeniach kulturalnych miasta. Zabiegała, aby miasto odwiedził Zbigniew Herbert¹⁶. Jak wiadomo z rozmowy przeprowadzonej przez Andrzeja Kalinina, poetka orientowała się w życiu kulturalnym Częstochowy, znała zarówno pisarzy, jak i wydarzenia kulturalne:

Śledzę z dużą uwagą wszystko, co jest związane, z moim przecież, miastem. Z racji jednak zainteresowań i wykonywanej profesji, najbardziej interesują mnie sprawy literatury. Cieszy mnie ogromnie bardzo wysoki, bo międzynarodowy już, prestiż **Festiwalu Pieśni Sakralnej „Gaude Mater”**. Cieszy, wciąż zyskujący na znaczeniu, **Konkurs Poetycki im. Haliny Poświatowskiej**, czy wreszcie doroczna impreza pod nazwą **„Sacrum w literaturze”**. [...] Znam też sporo miejscowych twórców. Z niektórymi jestem nawet zaprzyjaźniona, czego dowodem niech będzie fakt, że rozmawiamy w Kusiętach. Innych, niestety, znam tylko z tomików wierszy. Moim zdaniem, w Częstochowie mieszka kilku bardzo utalentowanych poetów. Mam tu przede wszystkim na myśli **Waldemara Gaińskiego** [...]. Podobają mi się również wiersze **Ryszarda Sidorkiewicza**. Kilku jeszcze innych poetów, których wiersze czytałam w antologii poezji częstochowskiej pt. **Czarno-białe rysunki**¹⁷.

W 1992 roku, dostrzegając rozwój Częstochowy, powiedziała: „To dziś zupełnie inne miasto, kwitnie humanistyka [...]. Zawsze tu wracam ze wzruszeniem, mam stąd wiele pięknych wspomnień, wielu przyjaciół”¹⁸.

W dniu 23 lutego 1995 roku w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater” odbyła się

¹⁶ *Wiersze w mojej głowie*, rozm. T. Piersiak...

¹⁷ *Zawsze mnie ciągnie do Częstochowy*, rozm. A. Kalinin, „Gazeta Częstochowska” (Tygodnik regionalny) 1995, nr 10, dod. Notatnik Kult., s. II. Podkreślenia w tekście pochodzą od autora.

¹⁸ *Rodem z Częstochowy. Ludmila Marjańska – poetka i tłumaczka*, rozm. S. Podobiński, „Życie Częstochowy” 1992, nr 130, s. 3.

promocja tomiku *Prześwit*. Był na niej obecny Arkadiusz Frania, który w swojej książce przyznał, że dopiero po latach wiersze Marjańskiej objawiły mu swoją wartość, że poezja, z którą się wtedy pierwszy raz zetknął, jest mocna i trwała, „tkana niby z nitek pajęczyny”¹⁹.

W szkicu *Z wierszami przez całe życie...* Maria Nasińska pisze:

W latach dziewięćdziesiątych cała kulturalna Częstochowa nie wyobrażała już sobie życia bez Marjańskiej, ani ona bez Częstochowy. Promocje kolejnych tomików poezji: *Zmrożone światło* (1992), *Prześwit* (1994), *Spotkanie z Weroniką* (1999), *Żywica* (2001), *Córka bednarza* (2002), *Otwieram sen* (2004) odbywały się w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater” bądź w Bibliotece Miejskiej im. Władysława Biegańskiego [...]. Poetka otrzymała nagrodę Prezydenta Miasta Częstochowy (1995), była gwiazdą Wieczoru Ratuszowego (1999) i gościem Kongresu Częstochowian. Swoją obecnością uświetniła kolejne Regionalne Dni Książki w Częstochowie. W Teatrze im. Adama Mickiewicza [...] obchodziła jubileusz 80-lecia i 50-lecia twórczości.²⁰

W 1995 roku Marjańska była w Częstochowie kilka razy, między innymi na zaproszenie Andrzeja Kalinina, o czym napisała Grażyna Folaron, relacjonując, że pisarka spotkała się z władzami oraz mieszkańcami miasta²¹ oraz na zaproszenie Urzędu Miasta z okazji wręczenia Częstochowie Tablicy Rady Europy. Przy okazji drugiego pobytu udzieliła

Andrzejowi Kalininowi wywiadu o znamienym tytule *Zawsze mnie ciągnie do Częstochowy*, opowiadając w nim między innymi o swoich związkach z rodzinnym miastem, żartując, że z wyjazdu na studia do Warszawy czerpała taką samą „fraidę”, jaką mają dzisiaj młodzi ludzie opuszczający rodzinny dom, by studiować. Jednak podkreśla, że nigdy nie zapomniała o swoich korzeniach, w czym skutecznie pomogły jej przyjaciółki ze szkolnych lat²². Jak wspomina w rozmowie z Agnieszką Czajkowską, wraca do Częstochowy głównie ze względu na mieszkających tu ludzi – koleżanki ze szkoły, czytelnicy, lokalni pisarze²³.

W artykule *Częstochowa – miasto mojej młodości* Marjańska skrupulatnie wylicza swoje wizyty w rodzinnym mieście:

[...] w roku 1988 roku na zaproszenie Towarzystwa Przyjaciół Częstochowy; w 1990 roku, zaproszona przez profesor Nasińską z okazji ostatniego dnia nauki klasy, której była wychowawczynią, a w której znalazłam nieoczekiwane „przyszywaną wnuczkę”, Agatę. [...] w 1992 roku byłam znowu gościem liceum im. Słowackiego z okazji 85-lecia szkoły²⁴.

W artykule wspomnieniowym *Janusz Marjański. Mój wrzesień 1939 r.* Marjańska pisze również o wizycie, z jaką przybyła 5 sierpnia 1999 roku, w związku z uroczystością odbioru „Krzyża 85-lecia Harcerstwa Ziemi Częstochowskiej”, która odbyła się w budynku dawnego gimnazjum, a obecnego Liceum im. Henryka Sienkiewicza w Częstochowie. Spotkała wówczas kilku kolegów Janusza sprzed wojny. Notuje: „To spotkanie upewniło mnie, jak ważna jest przyjaźń z czasów młodości, obudziło częstochowskie wspomnienia”²⁵.

²² *Zawsze mnie ciągnie do Częstochowy*, rozm. A. Kalinin...

²³ *Wiersze, które piszą się same*, rozm. A. Czajkowska...

²⁴ L. Marjańska, *Częstochowa – miasto mojej młodości...*, s. 65.

²⁵ L. Marjańska, *Janusz Marjański. Mój wrzesień 1939 r.*, „Aleje 3. Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy” 1999, nr 22, s. 11.

¹⁹ A. Frania, *Motyle Ludmiły Marjańskiej*, [w:] tegoż, *Poświętowska. Marjańska. Cichla-Czarniawska. Trzy szkice typu ziemia-ziemia-ziemia*, Wydawnictwo „e-media”, Częstochowa 2007, s. 33.

²⁰ M. Nasińska, *Z wierszami przez życie – wspomnienie o Ludmile Marjańskiej*, [w:] *Literatura i kultura w Częstochowie: Częstochowa w literaturze i kulturze*, pod red. E. Hurnikowej, E. Wróbel, A. Wypych-Gawrońskiej, Muzeum Częstochowskie, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, Oddział w Częstochowie, Częstochowa 2009, s. 107.

²¹ G. Folaron, *Spotkania z Ludmiłą Marjańską. Kochana Babcia Książkowa w Częstochowie*, „Gazeta Wyborcza” z 24.02.1995.

W 2001 roku poetka brała udział w Dniach Częstochowy²⁶, a 4 stycznia 2004 roku w Teatrze im. Adama Mickiewicza zorganizowano jubileusz 50-lecia pracy twórczej i świętowano osiemdziesiąte urodziny Ludmiły Marjańskiej. Jak donosi „Gazeta Częstochowska. Tygodnik Regionalny” miały wówczas miejsce niecodzienne okoliczności:

Wśród burzy oklasków Ludmiła Marjańska wchodziła po schodkach na przygotowane dla niej na scenie miejsce. Kiedy potknęła się i o mało nie upadła, zgromadzeni zamarli. Starsza pani uspokoiła jednak wszystkich: „Proszę się nie bać, drzewa umierają stojąc – powiedziała uśmiechnięta do zachwyconej publiczności”²⁷.

Spotkanie to wzruszyło pisarkę, która podkreśliła: „Jedną czwartą mojego życia przeżyłam w tym mieście”²⁸. Ówczesny prezydent Miasta Częstochowy, Tadeusz Wrona, wypowiedział przyjęte rzesistymi brawami, znamienne słowa: „Ma Kraków swoją Szymborską, a Częstochowa Marjańską”²⁹. „Pani Ludmiła przekazała miastu pamiątkowe zdjęcia rodzinne, wystawione później w holu w Urzędzie Miasta”³⁰.

Przy okazji powrotów do Częstochowy Marjańska rozważała sprawę dość istotną, zastanawiała się, dlaczego nigdy nie udało jej się poznać Haliny Poświatowskiej; były absolwentkami tej samej szkoły, w 1967 roku wracały do Polski ze Stanów Zjednoczonych na tym samym promie...³¹.

W prywatnym archiwum Marii Nasińskiej znajdują się zdjęcia dokumentujące wizyty Marjańskiej w Częstochowie. Niektóre

posiadają interesujące komentarze pisane ręką Marjańskiej, jak na przykład zdjęcie pisarki z prezydentem Tadeuszem Wroną na Jasnej Górze podpisane: „Pan Prezydent zaprosił mnie obok siebie – (ale to ja, a nie pani prezydentowa!)”. Maria Nasińska dzieli się również informacjami, że podczas wizyt w rodzinnym mieście Marjańska często odwiedzała miejsca, „z którymi zrosło się jej życie”: dom na rogu ulic Siedmiu kamienic i św. Barbary, kościół św. Barbary, Jasną Górę z podjasnogórskimi parkami, cmentarz św. Rocha, II Aleję z umownym miejscem spotkań sympatii „pod zegarem”, domy przyjaciół z lat młodości, zwłaszcza Krystyny Błasiakowej z domu Kaźmierczak i jej męża Mariana oraz Teatr im. Adama Mickiewicza³².

Maria Nasińska uważa, że najlepszy kontakt Marjańska nawiązała z częstochowską młodzieżą. Wspomina, jaką sympatię wzbudziła wśród uczestników ogólnopolskiego zlotu liceów noszących imię Juliusza Słowackiego, także śpiewem i tańcem przy ognisku. Nazwała tę wizytę wydarzeniem przełomowym, gdyż miała okazję przypomnieć sobie miejsca ważne z czasów młodości: „Cudowne 4 dni w mojej szkole i z moją szkołą, [...] wycieczka szlakiem Orlich Gniazd, [...] Złoty Potok [...] z mojego dzieciństwa”, wreszcie Jasna Góra z Mszą świętą, zwiedzaniem Skarbca i biblioteki – wielka radość³³. Od tej pory pisarka wielokrotnie odwiedzała swoją dawną szkołę, swoją obecnością uświetniając jej kolejne jubileusze³⁴. W czasie tych wizyt spotykała się z młodzieżą, której prezentowała swój dorobek pisarski, „[...] dzieliła się wspomnieniami z dawnych lat i wrażeniami z licznych podróży, wsłuchiwała się w głosy młodych ludzi, obserwowała ich życie”³⁵. Tu poznała przyszłą bohaterkę swojej powieści *To ja, Agata*, Agatę Tomasik.

Jak pisze Marjańska, to właśnie Maria

²⁶ L. Marjańska, *Jeden dzień w Częstochowie...*

²⁷ E. Sośniak, *Jubileusz pracy twórczej Ludmiły Marjańskiej. Ludzie ważniejsi od wierszy*, „Gazeta Częstochowska. Tygodnik Regionalny” 2004, nr 2 (632), s. 7.

²⁸ R. Jasiński, *Jubileusz Ludmiły Marjańskiej. Poezja i wspomnienie*, „Życie Częstochowskie” 2004, nr 5 (81), s. 6.

²⁹ M. Nasińska, *Była wśród nas...*, s. 17.

³⁰ *Pani Ludmiła*, „Aleje 3” 2004, nr 46, s. 44; TP [Tadeusz Piersiak], *Babcia książkowa jak Szymborska*, „Gazeta Wyborcza w Częstochowie” 2004, nr 5, s. 3.

³¹ *Wiersze, które piszą się same*, rozm. A. Czajkowska...

³² M. Nasińska, *Była wśród nas...*, s. 16-17.

³³ M. Nasińska, *Z wierszami przez życie...*, s. 105.

³⁴ M. Nasińska, *Była wśród nas...*

³⁵ M. Nasińska, *Z wierszami przez życie – wspomnienie o Ludmile Marjańskiej...*

Nasińska była inicjatorką tych spotkań, będąc przewodniczką pisarki po odwiedzanym po niemal pięćdziesięciu latach budynku szkoły³⁶. Jej zasługi w częstych powrotach Marjańskiej nie tylko do Liceum im. Juliusza Słowackiego, ale i na ulubione przez pisarkę wycieczki (na przykład Szlakiem Orlich Gniazd) wspomina pisarka także w artykule *Opowieść starszej absolwentki*³⁷.

Artykuł ten Marjańska w całości poświęca jubileuszowi 90-lecia „swojego” Gimnazjum i Liceum im. Juliusza Słowackiego oraz 70-lecia Teatru im. Adama Mickiewicza, które miały miejsce 25 października 1997 roku. Dokładnie opisuje tu przebieg uroczystości w filharmonii, podczas której weszła na scenę, by – jako najstarsza – zabrać głos. Okazało się jednak, że wśród gości jest osoba jeszcze starsza, w której Marjańska rozpoznała Lidkę Binertównę, koleżankę ze starszej klasy przedwojennego gimnazjum, zdającej maturę również na tajnych kompletach. Pisarka wyraża równocześnie żal, że tak mało absolwentek z przedwojennych roczników przybyło na spotkanie³⁸. Wymienia nazwisko koleżanki z przedwojennego gimnazjum – Krystyny Kaźmierczak (obecnie Błasiak), u której wówczas gościła, i twierdzi: „To dzięki niej i jej znajomości z poprzednim dyrektorem Liceum, panem Tomaszem Kołodziejczykiem, [...] mogłam po wielu latach odwiedzić gmach przy ulicy Kościuszki 8”³⁹. W dalszej części wspomnienia szczegółowo opisuje przebieg jubileuszu w Teatrze, wspominając wzruszenia wywołane wspomnieniami z dzieciństwa i spotkaniem z koleżanką z dawnych szkolnych lat – Basią Mąkoszanką. Sporo miejsca poświęca opisowi miejsca noclegowego, jakim był Dom Pielgrzyma, oraz wizycie na cmentarzu św. Rocha, po którym brnęła w pantoflach w głębokim śniegu, niespodziewanym w paź-

dzierniku. Wspomnienie kończy przybliżeniem przebiegu prac w Komisji konkursu im. Haliny Poświatowskiej, na zwieńczenie którego przybyła do Częstochowy za miesiąc. Za koniec wypowiada znamienne słowa, że miasto, do którego wraca, zmieniło się, ale jest ciągle tym samym miastem.

Temu samemu wydarzeniu Marjańska poświęca także artykuł pod tytułem *Jeszcze jedno wspomnienie* poświęcony postaci nauczycielki geografii w Liceum im. Juliusza Słowackiego, Joannie Mikucińskiej, której zabrakło podczas jubileuszu 90-lecia szkoły z powodu złego stanu zdrowia⁴⁰.

W 2001 roku ponownie witali Ją uczestnicy ogólnopolskiego zlotu „Słowaczaków”, a w czerwcu 2004 jako gość honorowy odsłaniała pomnik patrona szkoły – Juliusza Słowackiego⁴¹.

Szczegółowy opis więzi łączącej poetkę ze szkołą z lat młodości znajdziemy w poświęconym poetce artykule Urszuli Zaleskiej⁴². Autorka dokumentuje wpisy do książki pamiątkowej liceum, odręczne dedykacje i zdjęcia; wspomina wizyty pisarki w szkole. Zaznacza, że dla uczczenia znakomitej absolwentki od roku 2006 organizowany jest w szkole Powiatowy Konkurs Literacki i Recytatorski im. Ludmiły Marjańskiej. Swoją artykuł tytułuje słowami, które zostały wyryte na tablicy pamiątkowej umieszczonej w dziesiątą rocznicę śmierci poetki obok wejścia do Liceum: „Słowa żyją dłużej niż człowiek, który je wypowiedział”.

Wśród dokumentów poświadczających częste wizyty Marjańskiej w Częstochowie i jej silny związek z miastem jest „Księga pamiątkowa Liceum im. Juliusza Słowackiego

³⁶ L. Marjańska, *Częstochowa – miasto mojej młodości...*, s. 64.

³⁷ L. Marjańska, *Opowieść starszej absolwentki*, „Aleje 3. Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy” 1998, nr 14, s. 3.

³⁸ Tamże.

³⁹ Tamże, s. 4.

⁴⁰ L. Marjańska, *Jeszcze jedno wspomnienie*, „Aleje 3. Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy” 1998, nr 15, s. 3.

⁴¹ M. Nasińska, *Była wśród nas...*, s. 15-16; *Złot Słowaczaków*, „Dziennik Zachodni w Częstochowie” 2001, nr 135 (908), s. 1-2.

⁴² U. Zaleska, „Słowa żyją dłużej niż człowiek, który je wypowiedział”. Związki Ludmiły Marjańskiej z I Liceum Ogólnokształcącym im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie, [w:] *O Ludmile Marjańskiej. Szkice – interpretacje – wspomnienia*, pod red. E. Hurnikowej, I. Skrzypczyk-Gałkowskiej, Muzeum Częstochowskie, Częstochowa 2015, s. 156-159.

w Częstochowie”, do której poetka wpisywała wiersze i komentarze podczas każdego pobytu w szkole. W jednym z nich, datowanym na 3-4 kwietnia 1992 roku, czytamy wiersz dedykowany pani Nasińskiej, która, jak pisze Marjańska, „wywołała” ją z przeszłości i „wróciła szkole”. W innym, z 28 sierpnia 2004 roku, dziękuje za pamięć i częste zaproszenia do rodzinnego miasta. Podaje nazwiska swoich nauczycieli i krótko ich charakteryzuje. Obszernie opisuje wspomnienia i wzruszenia, jakie wywołuje w niej nawet sam widok budynku liceum.

Inną instytucją miasta, z którą Marjańską łączyła nić sympatii, jest Biblioteka im. dr. Władysława Biegańskiego w Częstochowie. To tu od 1987 roku odbywały się spotkania promujące jej utwory. W pamiętkowej „Złotej Księdze” Biblioteki znajdują się jej wpisy dokumentujące kolejne wizyty, między innymi:

Przez całe życie miłość
i wspomnienia z Częstochowy –
o czym niech pamiętają
mieszkańcy tego miasta
i czytelnicy korzystający
z Biblioteki⁴³.

Niedługo przed śmiercią poetka zadecydowała, że przekaże Bibliotece dużą część dokumentacji literackiej, w której znalazły się rękopisy, maszynopisy, korespondencja, albumy ze zdjęciami, bibeloty; wykorzystano je podczas pisania tej rozprawy.

Wcześniej instytucje kulturalne miasta nie wyrażały zainteresowania otrzymaniem kilku cennych przedmiotów i fotografii z rodzinnych zbiorów Marjańskiej. W jednym z wywiadów z 1997 roku pisarka wyraziła rozczarowanie tym faktem:

Mam w domu wiele fotografii z przedwo-

⁴³ A. Boraczyńska, *Kolekcja Ludmiły Marjańskiej (w zbiorach Biblioteki Publicznej im. dr. Władysława Biegańskiego w Częstochowie)*, [w:] *O Ludmile Marjańskiej. Szkice – interpretacje – wspomnienia*, pod red. E. Hurnikowej, I. Skrzypczyk-Gałkowskiej, Muzeum Częstochowskie, Częstochowa 2015, s. 137.

jennej Częstochowy, osobiste pamiętki, dwa popiersia, które chciałabym przekazać rodzinnemu miastu. [...] Od dłuższego jednak czasu muzeum milczy. Nie śmiem się napraszać z moimi pamiętkami. Kustosz Jerzy Krzemieński z Muzeum w Sandomierzu, dokumentujący moją twórczość bardzo się dziwił. Nawet dzwonił do Częstochowy, że ma interesujące częstochowiana pochodzące ode mnie, ale nie znalazł zainteresowania⁴⁴.

Zależało jej też, by wróciła do rodzinnego miasta jej twórczość:

Ludmiła Marjańska zdradziła, że jej marzeniem jest, by w Częstochowie przypomniano jej książki poświęcone temu miastu. by *Pierwsze śniegi, pierwsze wiosny* będące wspomnieniami nastolatki idącej do gimnazjum im. J. Słowackiego w pierwszym dniu wojny i *Życie na własność*, opowiadająca o nauczaniu na tajnych kompletach w Częstochowie stały się pozycjami budzącymi lokalny patriotyzm, sprzyjającymi tworzeniu „małej ojczyzny”.

– Kiedyś napisałam, że Częstochowa to „miasto dzieciństwa, z którym łączą mnie tylko groby najbliższych”, ale to nie jest prawda [...]. Każdej mojej wizycie w tym mieście towarzyszy ogromne wzruszenie, wracają wspomnienia spędzonych tu 20 lat młodości. Spotkania z koleżankami i kolegami z tamtych lat przenoszą mnie do przeszłości, pozwalają spojrzeć na całe długie życie, rodzą refleksje...⁴⁵.

Życzenie Marjańskiej nie spełniło się. W „Życiu Częstochowskim” w styczniu 2004 roku dziennikarz wyraża żal, że:

[...] książek Marjańskiej nie ma w Częstochowie. Ktoś, kto próbowałby kupić którykolwiek z tomików [...], rozczarowałby się – w centrum miasta tylko księgarnia „Matras” w II Alei miała widoczny na półkach jeden

⁴⁴ *Wiersze w mojej głowie*, rozm. T. Piersiak...

⁴⁵ G. Folaron, *Spotkania z Ludmilą Marjańską...*

egzemplarz zbioru „A w sercu pełnia”. A przecież podczas jubileuszowego spotkania padły słowa, że Marjańska to osoba, z której miasto jest dumne! [...] fizyczna nieobecność książek nie da się w rodzinnym mieście ich autorki wytłumaczyć niczym⁴⁶.

Taki sam głos zapisał Tadeusz Gieryski w 2005 roku, poświęcając jeden ze swoich szkiców najnowszemu wówczas tomikowi Marjańskiej – Żywicy: „W witrynach księgarni częstochowskich nie widziałem tej książki. A szkoda. Ludmiła Marjańska z tego przecież miasta pochodzi. [...]”⁴⁷.

Podobnie wypowiada się w artykule *O sobie*: „Dawniej nieczęsto zastanawiałam się nad mijającym czasem, żyłam bardzo szybko, dopiero teraz zaczynam spoglądać wstecz i zdawać sobie sprawę, jaki wpływ wywarło na mnie miejsce, w którym dorastałam”⁴⁸.

Podobne spostrzeżenia zawiera wspomnienie Marii Jentys:

Pytana dziś o miasto dzieciństwa i młodości Ludmiła Marjańska mówi, że wywarło na nią ogromny wpływ, z czego jednak zdała sobie sprawę dopiero po latach. Wtedy niezwykłość Częstochowy była dla niej codziennością, którą chłonęła zmysłami, bezrefleksyjnie⁴⁹.

Silny związek Ludmiły Marjańskiej z rodzinnym miastem zauważali częstochowscy intelektualisci, naukowcy, dziennikarze. Artykuły i notatki prasowe na temat sylwetki twórczej wybitnej częstochowianki pojawiały się głównie w związku z jej wizytami w mieście. Między innymi w 1995 roku dziennikarz „Ga-

zety Częstochowskiej”, podkreśla nieprzerwany charakter więzi Marjańskiej z Częstochową: „[...] nigdy nie zerwała kontaktów z rodzinnym miastem. Przyjeżdża tutaj często, należy do Towarzystwa Przyjaciół Częstochowy, a w Jej utworach uważny czytelnik raz po raz dostrzeże częstochowskie wątki i odniesienia do „naszego podwórka”⁵⁰.

Trwała więź Marjańskiej z miastem urodzenia i młodości wyraźnie akcentował Tadeusz Gieryski, z którym poetka знаła się od lat sześćdziesiątych, wskazując że jest to postawa odróżniająca ją od innych pisarzy wywodzących się z Częstochowy:

Jaka jest pani Marjańska? Jedna istotna cecha odróżnia ją od pozostałych naszych sławnych „emigrantów”. Nigdy nie skrywała, lecz stale podkreślała i podkreśla swoje częstochowskie pochodzenie. Mimo że mieszka w stolicy od wielu już lat, nie zerwała kontaktów z rodzinnym miastem, do którego czuje niesłabnący sentyment. Częstochowę odwiedza, interesuje się nią, miewa w Klubie MPiK autorskie spotkania, należy do Towarzystwa Przyjaciół Częstochowy. W jej twórczości odnajdziemy liczne odniesienia i wątki częstochowskie. Po prostu nie wstydzi się swego rodowodu. Przeciwnie – jak sama mi wyznała i powtórzyła na zebraniu z publicznością – ta chęć powrotu do korzeni, do źródła nawet się nasila z latami⁵¹.

W artykule poświęconym sylwetce Tadeusza Gieryskiego Elżbieta Hurnikowa zaznacza trwałe i systematyczny kontakt pisarki z Częstochową, wyrażający się w aktywnym uczestnictwie w życiu literackim i kulturalnym miasta oraz w utrwalaniu jego wizerunku na kartach książek:

Do osób, które Gieryski darzył szczegól-

⁴⁶ tdc, *Dobry wybór*, „Życie Częstochowskie” 2004, nr 5 (81), s. 6.

⁴⁷ T. Gieryski, *Ludmiła Marjańska i inni*, [w:] tenże, *Miscellanea Literackie*, Biblioteka Publiczna im. dr. W. Biegańskiego w Częstochowie, Częstochowa 2005, s. 85.

⁴⁸ L. Marjańska, *O sobie*, „Aleje 3. Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy” 2001, nr 33, s. 16.

⁴⁹ M. Jentys, *Ludmiła Marjańska „Życie zawsze było ważniejsze”*, „Wiersze o miłości i śmierci”, [w:] tejże, *Pomnożyć serca dostatek: o poetkach, poetach i prozaikach*, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2004, s. 27.

⁵⁰ RoD, *Ludmiła Marjańska w OPK*, „Gazeta Częstochowska” (Tygodnik Regionalny) 1995, nr 7 (187), „Notatnik Kulturalny” (Dodatek Informacyjno-Publicystyczny), nr 2, s. IV.

⁵¹ T. Gieryski, *Krótko o twórczości Ludmiły Marjańskiej*, „Nad Wartą” 1988, nr 6, s. 5.

nym szacunkiem i uwagą, należała Ludmiła Marjańska. Urodzona w roku 1923 w Częstochowie, opuściła ją w 1945 – by po latach powrócić do rodzinnego miasta zarówno poprzez twórczość (autobiograficzne powieści, nawiązania w poezji), jak i poprzez więzy przyjacielskie ze środowiskiem szkoły, do której uczęszczała przez wybuch wojny i w czasie okupacji (Liceum Ogólnokształcące im. Juliusza Słowackiego) oraz kontakty z instytucjami kultury i ze środowiskiem literackim. [...] po zadziergnięciu więzi z Częstochową wybrane teksty – wiersze, prozę, wspomnienia – publikował również na łamach pisma „Aleje 3”. Kiedy ukazał się wybór jej wierszy z lat 1958-1997, dwa z nich zaprezentowano w częstochowskim dwumiesięczniku: *Harmonia mundi*, *** *czego pragniesz*; w roku 2002 ogłoszono fragment książki przygotowywanej do druku [*Utah, czyli mormoni* – przyp. I. S.-G.]. W „Alejach 3” opublikowane też zostało wspomnienie Marjańskiej *O sobie*, w którym mowa jest o domu rodzinnym, latach młodości i późniejszych losach, o miłości i tworzeniu⁵².

W dalszej części szkicu Hurnikowa przybliża okoliczności poznania się i przebieg znajomości Marjańskiej z Gierymskim, podkreśla łączącą ich wspólnotę zainteresowań i wizję świata, co znalazło odbicie w wypowiedziach obojga w pismach literackich: Gierymskiego na temat twórczości Marjańskiej i Marjańskiej o Gierymskim.

Jak silnie „mała ojczyzna” wpisała się w pamięć pisarki, świadczy wypowiedź cytowana przez Marię Nasińską:

Wyprawa szlakiem Orlich Gniazd: Olsztyn, Mirów, Bobolice, wreszcie Ogródzieniec. Ale nawet największe i najbardziej chyba znane w kraju ruiny nie przemawiają do niej tak silnie, jak te, z którymi związane było jej dzieciństwo i młodość. Ba, nawet ruiny

Koloseum mniej znaczą dla niej niż resztki zamkowych baszt w Olsztynie⁵³.

Córka poetki podkreśla, jak ważne rodzinne miasto było dla jej matki:

Przywoziła tu swoje dzieci, a potem wnuki. Mam wiele zdjęć z tych pobytów, między innymi na tle WC na ulicy 7 Kamienic. Przechowywała albumy ze swoich młodych lat, a te przecież spędziła w Częstochowie. Często jako dzieci je oglądaliśmy. Przekazane zostały Muzeum Częstochowskiemu. Zachowała też mnóstwo kartek pocztowych, na których korespondowali jej rodzice, listy i kartki od ojca, wiele z widokami starej Częstochowy. Często zaznaczała, że na przykład ten stolicek jest z gabinetu jej ojca – był adwokatem, ta biblioteczka z domu rodziców. W Warszawie pojawiali się na krócej lub dłużej znajomi z Częstochowy, na przykład koleżanka ze szkolnej ławki Romka Suworow, która przeniosła się w końcu na stałe i Mama załatwiła jej pracę w radiu. Na koniec życia poczuła się bardzo doceniona przez władze miasta. Nadanie honorowego obywatelstwa, uroczystości w Szkole i w Teatrze na 80. urodziny...⁵⁴.

Jak twierdzi Katarzyna Ozimek, pracownik Muzeum Częstochowskiego – Marjańska była dumna ze swojego miasta⁵⁵. Ostatni raz w Częstochowie była na Regionalnych Dniach Książki 15 maja 2005 roku. Za serdeczne przyjęcie w Częstochowie pisarka była bardzo wdzięczna; w jednym z artykułów pisze: „Dziękuję ci za wszystko, moje miasto”⁵⁶.

Po śmierci Marjańskiej rodzinne mia-

⁵³ M. Nasińska, *Była wśród nas...*, s. 15.

⁵⁴ *Moja Mama i ja. Z Marią Marjańską-Czernik rozmawiają Aleksandra Mieczysława i Aneta Nawrot*. Notowała I. Skrzypczyk-Galkowska, [w:] *O Ludmile Marjańskiej. Szkice – interpretacje – wspomnienia*, pod red. E. Hurnikowej, I. Skrzypczyk-Galkowskiej, Muzeum Częstochowskie, Częstochowa 2015, s. 130.

⁵⁵ Ozimek K., *Kobiety w Gabinetach wybitnych częstochowian. Wspomnienia o Kalinie Jedrusik-Dygał i Ludmile Marjańskiej*, [w:] „Rocznik Muzeum w Częstochowie” 2009, z.8., s. 44.

⁵⁶ L. Marjańska, *Jeden dzień w Częstochowie...*, s. 153.

⁵² E. Hurnikowa, *Związki Tadeusza Gierymskiego z Częstochową*, „Rocznik Muzeum Częstochowskiego 2015”, Muzeum Częstochowskie, Częstochowa 2016, s. 18-19.

sto kultywuje jej pamięć. Między innymi w grudniu 2008 roku w Gabiniecie Wybitnych Częstochowian została otwarta wystawa „Ludmiła Marjańska (1923-2005) – *Niezwykła zwykłość*”⁵⁷. Wśród eksponatów znalazło się wiele ciekawych pamiątek: korespondencja Poetki, pochodząca głównie ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Sandomierzu, Biblioteki Publicznej im. dr. Władysława Biegańskiego w Częstochowie oraz pani Marii Nasińskiej, pamiątkowe książki szkolne Liceum Ogólnokształcącego im. Juliusza Słowackiego z wpisami Marjańskiej, młodzieńcze wiersze ze zbiorów koleżanki z młodzieńczych lat – Krystyny Błasiak, rękopisy, zdjęcia ze zbiorów córki Marii Marjańskiej-Czernik oraz meble, które stały jeszcze w gabinecie ojca Ludmiły. Wystawę wzbogaciły portrety Ludmiły Marjańskiej autorstwa Jakuba Salamona⁵⁸. O otwarciu Salonu poświęconego Marjańskiej napisał Tadeusz Piersiak⁵⁹.

Z okazji piątej rocznicy śmierci pisarki 7 października 2010 roku w Szkole Podstawowej nr 53 im. Marii Skłodowskiej-Curie w Częstochowie została zorganizowana sesja popularyzatorska zatytułowana „Twórczość Ludmiły Marjańskiej”. Organizatorami byli: Sekcja Bibliotekarska przy Oddziale Związku Nauczycielstwa Polskiego w Częstochowie, Biblioteka Publiczna im. dr. Władysława Biegańskiego oraz wspomniana szkoła. Patronat medialny nad przedsięwzięciem objęła „Gazeta Częstochowska”. Wśród prelegentów znalazły się osoby z grona bliskich znajomych Ludmiły Marjańskiej: Maria Nasińska – emerytowana nauczycielka języka polskiego w Liceum im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie i przyjaciółka pisarki, Beata Brodowicz-Szymanek – nauczycielka w Ze-

spole Szkół Specjalnych nr 23 im. Janusz Korczaka w Częstochowie, poetka i „przyszywana wnuczka” Marjańskiej, prof. dr hab. Elżbieta Hurnik z Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie – znawczyni twórczości pisarki oraz Barbara Sobol-Borecka z Biblioteki Publicznej im. Władysława Biegańskiego w Częstochowie. Celem spotkania przygotowanego dla nauczycieli było przypomnienie życia i twórczości znanej częstochowianki, zapoznanie zgromadzonych z dokumentami i fotografiami pisarki z prywatnych zbiorów oraz tych, które przekazała ona do Biblioteki Publicznej im. Władysława Biegańskiego w Częstochowie⁶⁰. Informację z tego spotkania zamieściła „Gazeta Częstochowska”⁶¹.

Kolejnym ważnym przedsięwzięciem upamiętniającym znaną częstochowiankę były warsztaty literaturoznawcze „Ludmiła Marjańska – W 90. rocznicę urodzin”, które odbyły się w dniu 4 grudnia 2013 roku w Instytucie Filologii Polskiej Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. W programie znalazły się referaty i komunikaty doktorantów na temat twórczości Ludmiły Marjańskiej.

Również z okazji dziewięćdziesiątej rocznicy urodzin Ludmiły Marjańskiej w Częstochowie zorganizowano szereg uroczystości koordynowanych przez Wydział Kultury, Promocji i Sportu Urzędu Miasta Częstochowy, w które włączyły się: I Liceum Ogólnokształcące im. Juliusza Słowackiego, Instytut Filologii Polskiej Akademii im. Jana Długosza, częstochowski Oddział Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, Biblioteka Publiczna im. dr. Władysława Biegańskiego, Muzeum Częstochowskie oraz Teatr im. Adama Mickiewicza. Program obchodów obejmował trzy dni: 17, 19 i 21 grudnia 2013 roku. 17 grudnia w I Liceum Ogólnokształcącym im. Juliusza Słowackiego odbyła się uroczystość odsłonięcia tablicy upamiętniającej Ludmiłę

⁵⁷ Szerzej na ten temat w: K. Ozimek, *Kobiety w Gabinetach wybitnych częstochowian...*, s. 40-41.

⁵⁸ Za: *Ludmiła Marjańska (1923-2005) – „Ach, ta niezwykła zwykłość”*. Ratusz, Gabinet Wybitnych Częstochowian, grudzień 2008-wrzesień 2009, www.muzeumczestochowa.pl [on-line]. [dostęp: 27.06.2015]. <http://www.muzeumczestochowa.pl/wystawy/gabinety-wybitnych-czestochowian/ludmila-marjanska>.

⁵⁹ T. Piersiak, *Gabinet poetki, pięknej kobiety...*

⁶⁰ R. Sowada, I. Sitek, *Twórczość Ludmiły Marjańskiej*, „Częstochowski Biuletyn Oświatowy” 2010, nr 4, s. 101-102.

⁶¹ I. Woźnicka, *Ku pamięci Ludmiły Marjańskiej*, „Gazeta Częstochowska”, 14-27 października 2010, s. 7.

Marjańską, a w Bibliotece Publicznej im. dr. Władysława Biegańskiego miał miejsce panel dyskusyjny z udziałem Marii Marjańskiej-Czernik. Przyznała ona, że jej mama zawsze pamiętała o Częstochowie, odczuwała też silny związek z dawnymi szkolnymi koleżankami⁶².

19 grudnia 2013 roku w Ratuszu Miejskim odbyła się sesja popularnonaukowa zorganizowana z tej samej okazji. Była ona współorganizowana przez: I Liceum Ogólnokształcące im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie, Instytut Filologii Polskiej Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie i Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza Oddział w Częstochowie, a koordynowana przez Wydział Kultury, Promocji i Sportu Urzędu Miasta Częstochowy. Podczas sesji wręczone zostały nagrody w Konkursie Literackim im. Ludmiły Marjańskiej, wystąpiła grupa teatralna z I Liceum Ogólnokształcącego im. Juliusza Słowackiego, a także miały miejsce: wystąpienie dr hab. prof. AJD Elżbiety Hurnik, komunikaty naukowe doktorantek Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie na temat twórczości Ludmiły Marjańskiej i prezentacja przygotowana przez dr Elżbietę Wróbel, przewodniczącą Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza Oddział w Częstochowie, mgr Marię Nasińską oraz dr hab. prof. AJD Elżbietę Hurnik na temat „Ludmiła Marjańska – sylwetka twórcza”. 21 grudnia 2013 roku w Teatrze im. Adama Mickiewicza odbył się specjalny Salon Poezji oraz wernisaż wystawy poświęconej Ludmile Marjańskiej⁶³.

W 2015 roku w Częstochowie ukazała się książka *O Ludmile Marjańskiej. Szkice – interpretacje – wspomnienia*⁶⁴, której ideą było upamiętnienie życia i twórczości Ludmiły Marjańskiej w dziesiątą rocznicę śmierci pi-

sarki, która utożsamiała się z miastem i czuła się w nim zakorzeniona. Jak pisała w jednym z wierszy: „Początek: Częstochowa...”.



Iwona Skrzypczyk-Gałkowska – nauczyciel języka polskiego w VIII LO Samorządowym w Częstochowie, doradca metodyczny języka polskiego dla nauczycieli szkół ponadgimnazjalnych w Samorządowym Ośrodku Doskonalenia w Częstochowie. Współautorka książki *Lekturowe wy(bryki). Scenariusze lekcji języka polskiego w szkole ponadgimnazjalnej* (2002) i programu nauczania języka polskiego w szkole ponadgimnazjalnej *Generacja Y wśród literackich i nieliterackich tekstów kultury* (2012) nagrodzonego w konkursie na modelowy program nauczania zorganizowanym przez Ośrodek Rozwoju Edukacji. Autorka licznych artykułów naukowych i metodycznych. Współredaktorka książki *O Ludmile Marjańskiej. Szkice – interpretacje – wspomnienia* (2015). Obecnie doktorantka w Akademii im. J. Długosza w Częstochowie.

⁶² T. Piersiak, *Nie piekła ciasteczek, ale za to piekła indyka. Jaka była Ludmiła Marjańska?*...

⁶³ *Ludmiła Marjańska (1923-2005)* <http://slowacki.net/ludmila-marjanska-1923-2005>. [on-line]. [dostęp: 27.06.2015].

⁶⁴ *O Ludmile Marjańskiej. Szkice – interpretacje – wspomnienia*, pod red. E. Hurnikowej, I. Skrzypczyk-Gałkowskiej, Muzeum Częstochowskie, Częstochowa 2015.

Kolejna rocznica śmierci znanej częstochowskiej poetki Ludmiły Marjańskiej jest okazją do rozmowy o jej twórczości i życiu z Panią Profesor Marią Nasińską, która знаła ją osobiście, korespondowała z nią, odwiedzała w domu, jest autorką ciekawego opracowania „Z wier- szami przez życie – wspomnienie o Ludmile Marjańskiej”.

Anna Zagroba: Dlaczego poezja Ludmiły Marjańskiej, jej powieści, których akcja dzieje się m.in. w jej rodzinnym mieście, jest mniej znana i mniej promowana niż twórczość Haliny Poświatowskiej?

Prof. Maria Nasińska: Halina Poświatowska swoimi wierszami o miłości, o własnym prze- żywaniu świata, od początku trafiła do czyteln- ków oczekujących świeżego powiewu w poezji. Liryka osobista, ale wyrażająca powszechne doznania, w połączeniu z legendą, którą ob- rośla biografia autorki, wzbudzała i wzbudza niekwestionowane zainteresowanie. W Czę- stochowie jej pamięć została mocno utrwalona. Najpierw muzeum w Szkole Podstawowej nr 8, która nosi imię poetki. Potem Dom Poezji im. Haliny Poświatowskiej, tablica pamiąt- kowa na domu, w którym się urodziła, ulica jej przypisana, wreszcie ławeczka w Alejach. Do tego konfrontacje poetyckie o zasięgu ogólnopolskim, lokalne konkursy, wycieczki szkolne zwiedzające wystawy w obu muzeach. Natomiast Ludmiła Marjańska, choć w ostat- nich dwudziestu latach swego życia często gościła w Częstochowie ze swoimi utworami, teraz przypominana jest tylko z okazji rocz- nic. W piątą rocznicę śmierci była piękna wystawa w Ratuszu, przygotowana przez Katarzynę Ozimek, a zatytułowana wersem „Ach, ta niezwykła zwykłość”. W otwarciu uczestniczyła córka poetki, a także Augustyn Chojnowski, który w 1987 roku odkrył Marjańską jako autorkę „Pierwszych śnie- gów, pierwszych wiosen”. W grudniu 2013 roku w dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin pisarki, odbyły się trzydniowe uroczystości. Sesja naukowa w Akademii im. Jana Dłu-

gosza i w Muzeum, wystawa i salon poezji w Teatrze im. Adama Mickiewicza, spotkania w I LO im. J. Słowackiego i w Bibliotece im. W. Biegańskiego z udziałem córki poetki, Marii Marjańskiej-Czernik. Na 10. rocznicę śmierci autorki „Prześwitu” powstała książka „O Ludmile Marjańskiej. Szkice – inter- pretacje – wspomnienia” wydana przez Muzeum Częstochowskie.

Po promocji w gronie uczestników powstała propozycja ufundowania ławeczki, która mo- głaby stanąć w Alei 55, na wprost domu, w któ- rym urodziła się Ludmiła Marjańska. Dobrze by też było powrócić do pomysłu nazwania jej imieniem jednej z ulic w Częstochowie.

Jak dotąd jedynym trwałym i widowym znakiem związku Ludmiły Marjańskiej z Czę- stochową jest tablica pamiątkowa na gmachu I LO im. J. Słowackiego, dawnym gimna- zjum, do którego uczęszczała przed wojną. To wszystko za mało, aby postać pisarki i jej twórczość nie odchodziły w cień zapomnienia.

Czy Pani zdaniem są jakieś podobieństwa w poezji Ludmiły Marjańskiej i Haliny Poświatowskiej?

Liryka często karmi się podobnymi motywa- mi. W przypadku Ludmiły Marjańskiej i Hali- ny Poświatowskiej są to: fascynacja urodą świa- ta, miłość, świadomość przemijania. Różnice widoczne są w sposobie ekspresji – to sprawa osobowości, talentu, doświadczeń życiowych. W poezji Poświatowskiej jest młodzieńcza pasja życia, niezgoda na przemijaniem i smu- tek graniczący z buntem. Wiersze Ludmiły Marjańskiej utrzymane są w tonie smutnej refleksji, zrozumienia istoty życia.

U obu poetek jest jednak wyraźne przeciwstawianie rzeczywistości i tego, co niewiadome:

„tutaj są głosy ptasie
i zapach pękającego drzewa
(...) ciemna jest druga strona życia” –
to Poświatowska,

a Marjańska:
„Tu cień i słońce
tam ciemność
Szczęście – zobaczyć przed końcem
różę wysokopienną”.

Przyroda, natura pojawia się w wierszach bardzo wielu poetów, również Ludmiły Marjańskiej. Słynie z takich motywów m.in. ks. Jan Twardowski.

Ludmiła Marjańska podziwiała twórczość ks. Jana Twardowskiego, którego знаła osobiście. Sama bywa nazywana przez krytyków „poetką pejzażu”. Przyroda, której obrazy maluje, plastycznie operując barwami i światłocieniem, jest obecna we wszystkich tomikach. Poetka rzadko jednak poprzestaje na obrazowaniu tego, co widzi, co ją zachwyci czy wprawia w podziw. Częściej pejzaż – nadmorski, sandomierski, olsztyński, ich wzgórz z basztami – staje się pretekstem lub sposobem wyrażenia tego, co się wymyka bezpośredniemu nazwaniu, co jest nieuchwytnie i ulotne.

Co jeszcze wyróżnia jej poezję?

Afirmacja życia, dostrzeganie urody świata, pełnia egzystencji – miłość i cierpienie, świadomość upływającego czasu – to motywy, o których powszechnie się mówi. Moją uwagę zwraca rola pamięci i przeszłości. W ostatnich wierszach z cyklu „Rekolekcje kreteńskie” poetka pisała:

„Pamięć otwiera się jak muszla
rozcięta nożem skojarzeń” i

„Przeszłość wrasta w nas
twardo jak pień palmy”.

To przecież powrót do młodości zaowocował dwiema powieściami: „Pierwsze śniegi, pierwsze wiosny” i „Życie na własność”, a do spraw rodzinnych wraca poematem „Przed wiekami i przed chwilą” oraz wieloma innymi wierszami. Rzadko też mówi się o tym, że Ludmiła Marjańska była miłośniczką muzyki poważnej i że muzyka przeniknęła do jej poezji, stając się wyrazem uczuć od radości i oczarowania, po smutek ostatecznego pożegnania ze światem (wiersz *** „*I muzyka, muzyka*”).

Czy ma Pani jakieś ulubione wiersze Ludmiły Marjańskiej?

Jest ich wiele, zresztą stale odkrywam nowe. Oto niektóre z nich: „Na Gromniczną”, „Clelia”, „Wielki Kanion Kolorado”, „Jezioro”, „Za małe serce”, „To co istnieje”. Czasami są to fragmenty brzmiące jak aforyzmy, np.:

„Największą sztuką radość
Wbrew i przeciw życiu”.

Ludmiła Marjańska zaczęła pisać bardzo wcześnie, lecz najlepsze utwory powstały chyba, gdy była już pisarka dojrzałą?

Ludmiła pisała już jako pensjonarka, młodzińcze wiersze nie zostały jednak opublikowane. Debiutowała w 1953 r. wierszem „Ethel” na łamach „Twórczości”. W latach 1958-1986 wydała sześć tomików poetyckich. Największe zainteresowanie wzbudziły jednak wiersze późne, tworzone przez poetkę dojrzałą, bogatą w przeżycia i doświadczenia życiowe. Tomiki „Zmrożone światło (1992)” i „Prześwit” (1994), Piotr Matywiecki nazwał „późnym objawieniem”. Kolejne: „Żywica”, „Córka bednarza” i „Otwieram sen” ugruntowały pozycję Marjańskiej, poetki rozumiejącej świat i ludzi, patrzącej na upływający czas ze spokojem, skłaniającej czytelnika do refleksji i zadumy.

Znamy związki poetki z jej rodzinnym miastem, ale pojawia się też w jej wierszach Sandomierz. Dlaczego?

Sandomierz był miejscem wyjątkowym

w biografii Ludmiły Marjańskiej. Nazywała go „azylem, gdzie zawsze szukam ucieczki od Warszawy”. Cisza, spokój sprzyjały pisaniu. Ośrodkiem życia kulturalnego jest tam Muzeum Okręgowe z prężnie działającym Oddziałem Literatury. Z inicjatywy kustosa tego Oddziału Jerzego Krzemińskiego odbywają się w Sandomierzu spotkania poetów, wydawane są druki bibliofilskie. Widoki na Góry Pieprzowe, na skarpę wiślaną, lessowe wąwozy, zabytkowa architektura, legendy przeniknęły do wierszy Marjańskiej, o czym świadczą choćby tytuły: „Krajobraz sandomierski”, „Śliwa w sandomierskim sadzie”. I jeszcze jakże wymowna strofa:

„O Sandomierzu można nieskończenie
ale zachwyty w słowa nie zamienię
czar mógłby prysnąć”.

Czy może Pani przybliżyć nam jeszcze tytułową postać książki „To ja, Agata”, która ma swój pierwowzór w Częstochowie, a Pani zna tę osobę.

Agata była uczennicą I LO im. J. Słowackiego w latach 1987-1990. Poetka poznała ją w czasie spotkania autorskiego, zainteresowała się wysoką, jasnowłosą dziewczyną, poruszającą się o kulach. Z czasem zaprzyjaźniła się, uznała za przybraną wnuczkę, pomagała przetrwać długotrwałe, trudne leczenie po kontuzji, jakiej doznała w czasie zawodów sportowych w poprzedniej szkole. Agata pisała listy do Babci Marjańskiej, a Babcia odwiedzała ją, gdy przebywała w warszawskim szpitalu. Poznała też koleżanki i kolegów z klasy Agaty, uczniów z jej klasy. Tak zrodził się pomysł napisania powieści o współczesnej młodzieży.

W jaki sposób zachęcić młodych ludzi, aby poznawali jej twórczość?

Pisarza poznaje się przez jego spuściznę. Dobrze by było, gdyby pojawiły się nowe wydania powieści i tomików poezji, bo daremnie ich teraz szukać w księgarniach, a i w bi-

bliotekach należą do rzadkości. I oczywiście jak najczęściej przypominać (np. konkursy recytatorskie, literackie w szkołach, jak w LO im J. Słowackiego, bo autorka „Pierwszych śniegów, pierwszych wiosen” zasłużyła na pamięć twórczością i trwałą pamięcią o Częstochowie.

Na koniec zapytam jeszcze, jakie cechy charakteru Ludmiły Marjańskiej były najbardziej ujmujące według Pani?

Była postacią niezwykłą, damą w wyglądzie i sposobie bycia. Obdarzona talentem, świadoma swego uroku – nie miała w sobie nic z wyniosłości. Była otwarta, ciekawa ludzi i świata, życzliwa, przyjazna, z poczuciem humoru. Łatwo nawiązywała kontakty z ludźmi z różnych środowisk i w różnym wieku. Uśmiech, pogoda ducha, ujmujący sposób bycia zjednywały jej przyjaciół. Sama wyznawała zasadę:

„Bez ludzi nie istnieję
(...) Ich bliskość jest jak woda
jałową ziemię użyźni
i dojrzeją w ogrodach
owoce dla moich bliźnich”.

Anna Zagroba – ur. w 1966 r. w Sosnowcu, z wykształcenia socjolog. Pracowała jako dziennikarz, marketingowiec, samorządowiec. Z przekonania ekolog, angażuje się w działania w obronie przyrody. Założycielka Stowarzyszenia „Mieszkańcy dla bezpieczeństwa”, które włączyło się w ogólnopolską akcję „Tiry na tory”. Jest inicjatorką utworzenia strefy ciszy wokół tzw. „ptasiej wyspy” na zbiorniku porajskim.

Podejmowała próby ograniczenia w Polsce używania fajerwerków. Od dwóch lat zajmuje się pisanem wierszy, działa w „Klubie pod strofą” przy Gminnym Ośrodku Kultury w Poraju. Jej poezja trafiła na łamy ogólnopolskich periodyków.

LUDMIŁA MARJAŃSKA – BIBLIOGRAFIA UTWORÓW OPUBLIKOWANYCH W CZASOPISMACH „ALEJE 3” I „ALMANACH CZĘSTOCHOWY”

„Aleje 3”

nr 22 lipiec/sierpień 1999

Marjańska L., *Noc w Jasmin Village; Z Tunezji; Z Luxoru; Morze Czerwone; Egipt*, s. 8.

nr 33 maj/czerwiec 2001

Marjańska L., *O sobie*, s. 16–19.

nr 34/35 lipiec/październik 2001

Marjańska L., *O wielkości świata*, s. 21–22.

nr 37 styczeń/luty 2002

Marjańska L., *O potrzebie prywatności i nowoczesnych wynalazkach*, s. 24.

nr 38 marzec/kwiecień 2002

Marjańska L., *Utah czyli Mormoni (Notatki amerykańskie)*, s. 9–13.

nr 39 maj/czerwiec 2002

Marjańska L., *Niewolnica korespondencji*, s. 10.

nr 40 lipiec/sierpień 2002

Marjańska L., *O trudności wyboru najważniejszych wierszy*, s. 7–8.

Marjańska L., *Odkrycie Północy; Korweta z Kaszmiru; Radość podróży*, s. 10.

nr 41 wrzesień/październik 2002

Marjańska L., *O wierszopisaniu i związanych z nią problemach*, s. 19–20.

nr 42 kwiecień/czerwiec 2003

Marjańska L., *** (*Jaka wspaniała samotność*); *** (*Jeszcze widzę*), s. 13.

Marjańska L., *Świat w pigułce – Lotnisko we Frankfurcie nad Menem*, s. 14.

Marjańska L., *Przylot – Kennedy Airport*, s. 14–15.

nr 43 lipiec/wrzesień 2003

Marjańska L., *Zegary*, Wisławie Szymborskiej: *** (*„Jacyś ludzie” to my*); *** (*I to co ocalało ma zostać zburzone*), s. 17.

Marjańska L., *Nowy Jork – Winda*, s. 34–35.

nr 44 październik/grudzień 2003

Marjańska L., *Zapiski Amerykańskie. Hotelowe refleksje*, s. 13–14.

Marjańska L., *O polskiej literaturze współczesnej bardzo osobiście*, s. 22–23.

nr 45 styczeń/marzec 2004

Marjańska L., *Zapiski Amerykańskie. Spotkania z malarstwem ... w Ameryce*, s. 14–15.

„Almanach Częstochowy” 1993

Marjańska L., *Częstochowa – miasto mojej młodości*, s. 62–69.

Marjańska L., *Strumień czasu; Życiorys; Mówią: genealogia* (fragment); *Przed wiekami, przed chwilą* (fragm. 3), s. 76–78.

2002

Marjańska L., *Jeden dzień w Częstochowie*, s. 147–153.

Marjańska L., *Jezioro; Codzienne obrządki; Nad brzegiem*, s. 154–156.

2004

Marjańska L., *Rodzinne wspomnienia*, s. 123–130.

2005

Marjańska L., *„Pan Tadeusz” po latach czytany*, s. 167–169.

Marjańska L., *Pokolenia*; *** (*Cóż ja wiem?*); *** (*Ciągłe zdziwienie*); (*Listy do siostry*), s. 170–173.

Weronika Kowalik

EPITAFIUM DLA CHWILI WKRÓTCE MINIONEJ

Wyśniesz ją jak pączek róży
 Pobudzony do rozkwitu
 Jak motyli skrzydeł trzepot
 W akacyjowym, letnim cieniu
 Przywrzesz ustami domknąwszy
 powieki
 Zbudzą się zmysły, zatraca gdzieś
 dłonie
 Zapomną wspomnienia
 W ciepłym milczeniu.
 I razem na trawie
 W zielonym uścisku
 Z myślami zbłąkanymi
 Wyśnij ją.
 I niech to ja będę wreszcie

Dziś będę lepsza
 Nie pogryzę
 Nie potraktuję jak papieru
 nożyczkami
 Nie okrzyczę
 Nie wypomnę błędów
 Spróbuję się uspokoić i
 Przebaczyć.

Nie skrzywdzę już
 się

Rozkładają przede mną kartki
 Białe i czarne
 Weroniko, które są białe
 Które są czarne
 Czy jeśli położymy jedno na drugie
 Będą już szare?

Weroniko, pytamy cię,
 Dlaczego jesteś taka,
 a nie jak myśleliśmy, że będziesz
 Dlaczego nie śpisz znów
 Dlaczego błędzisz i zbaczasz z drogi
 Dlaczego nie jesteś jak kiedyś
 Dlaczego wczoraj nie jest jutrem
 A rano wieczorem

I cmy tylko wciąż wracają
 Płomień świecy jest dla nich magnesem
 Tylko ty patrzysz już na to inaczej
 Dlaczego tak, Weroniko?

Dlatego skrępowana
 uciekasz wzrokiem
 Dlaczego, dlaczego, dlaczego
 I wróć, wyjaśnij, wytłumacz!
 Niech nam będzie wreszcie lżej

Abyśmy mogli nie usłyszeć
 Aby nie pomóc ci tak samo.

Weroniko?

EPITAFIUM DLA CHWILI WKRÓTCE MINIONEJ

Znów brak ci czasu
 I właśnie to jest najgorsze
 Potem będzie za późno
 Gdy stanę się czasem przeszłym.
 I gorąco pożalowanej
 Imię poprzedzi westchnienie,
 Zwilgocą też kilka par oczu
 Łzy pośpiesznie wytarte.
 I odwrót; na swych niedostatkach
 Skupiwszy ponownie westchnienia
 Zapomną w codziennym zabieganiu
 I to musi zostać wybaczone.

Kiedy więc nie masz czasu
Bo życie to szaleństwo
Trudno o stan skupienia,
Wszystko jest tymczasowe,
zapęta się, potem rozwiązuje
Schowaj chusteczkę do kieszeni
(na wszelki wypadek)
Pomnij, że się przyda
(a niewątpliwie może)

Gdy stanę się czasem dawnym
stanę się godna pożalowania

Ptaki wygrzewają się na słońcu.
Na gałęzi.
Na drzewie.
Na Ziemi.
Na moich oczach.

Tymi oczami widzę też ciebie.
Na moich dłoniach spoczywa serce
Wyciągam je ku tobie
A ty udajesz, że nie patrzysz
A ono spada i się roztrzaskuje

Wystraszone ptaki odlatują.

Jest druga trzydzieści.
Znów nie śpię.

Jako ptak zrywam się do lotu

Niczego już nie chcę
Niczego nie oczekuję
Nie czekam z sercem w oknie
Drżącymi dłońmi nie otwieram koperty
Nie myślę, nie pragnę, nie modłę się
Tak jak robiłam wczoraj, ubiegłego wieku

Mętym spojrzeniem obejmuje mnie
Samotnie niezmiernie przepaść z klifu

Nie chcąc
Bez przekonania
pozwalam jednak sobie skoczyć

Chciałabym umrzeć z samotności
Z zasady nikt by wiedzieć o tym nie mógł
Pozwoliłabym sercu pękać cicho
Wewnętrzny krwotok, kilka łez
to wszystko

Ten chłopiec przestępuje nerwowo
Z nogi na nogę
Zbliżam się do niego i
Widzę, jak pospiesznie dopala papierosa.
W dłoni trzyma zwiędłą różę
Karmazynowa czerwień kapie na ulicę

Jestem już tak blisko, że zaciągam się
tym dymem
Spojrzenia splatają się, a za nimi
dłonie
Słońce nie miało dziś odwagi
Przebić się przez chmury

Nie jest pięknie.
To okropne okoliczności
sprzyjające zakochaniu.

Ale ponieważ piękno wyrażalne jest
w niedoskonałości
W tej chwili niezrozumiałego zachwyty
nad zwiędłą różą

Zakochuje się bezzwłocznie
Natychmiastowo i patetycznie.

Weronika Kowalik – ur. 8.1.1998 r.
w Częstochowie, absolwentka VII LO im.
M. Kopernika w Częstochowie, obecnie stu-
dentka I roku Psychologii Stosowanej Uni-
wersytetu Jagiellońskiego, debiutowała na ła-

mach „Galerii” opowiadaniem „Zamknięte na oścież”, które nagrodzone zostało I. miejscem w VIII Powiatowym Konkursie Literackim im. Ludmiły Marjańskiej w Częstochowie, późniejsza laureatka kolejnej edycji tegoż konkursu, jej publikacje epickie oraz liryczne pojawiły się dwukrotnie w magazynie młodzieżowym „Cogito”. Pasjonatka

literatury zmuszającej odbiorcę do wysiłku w interpretacji, z subtelną ironią i dystansem patrząca na komiczną w swej powadze rzeczywistość. Z duszą barwy zielonej herbaty, pachnącą jaśminem.

Małgorzata Franc

W POSZUKIWANIU WŁASNEJ POETYCKIEJ DROGI. O WIERSZACH WERONIKI KOWALIK

*Weroniko, pytamy cię,
Dlaczego jesteś taka,
A nie jak myśleliśmy, że będziesz
(*** Rozkładają przede mną kartki...)*

Zadawanie pytań, odnajdywanie odpowiedzi, mozolne i uparte poszukiwanie własnej drogi, określanie własnego ja, są to motywy dobrze znane w poezji i literaturze, najbardziej pewnie dzięki szekspirowskiemu „*Być albo nie być*”. Jednakże wraz z upływem czasu każde pokolenie dąży do znalezienia odpowiedzi na nurtujące je pytania różnymi środkami. Pamiętamy ruch hipisowski, dzieci kwiaty, miłość i pokój zamiast wyniszczającej nienawiści i wojny. Każde pokolenie ma swój czas i dysponuje własnymi środkami wyrazu. W poezji Weroniki Kowalik, oprócz motywu poszukiwania i swoistego buntu młodego pokolenia, rozumianego jako brak zgody na rutynę świata, brak zgody na lot ćmy, która spala się w płomieniu świecy, możemy dostrzec różnorodne formy wyrażania myśli poetyckiej. Odnajdziemy więc delikatną formę porównań, prowadzącą nas do zaskakującego zakończenia:

*Wysniesz ją jak pączek róży
Pobudzony do rozkwitu
Jak motyli skrzydeł trzepot
W akacjowym, letnim cieniu
(*** Wysniesz mnie...)*

Charakterystyczne dla tej poezji zaskakujące puenty będą nam towarzyszyć przez całą lekturę cyklu wierszy, który sam w sobie jest pozytywnym zaskoczeniem, biorąc pod uwagę wiek poetki i jej duchową dojrzałość.

*Dlaczego skrępowana
Uciekasz wzrokiem
Dlaczego, dlaczego, dlaczego
I wróć, wyjaśnij, wytłumacz!
Niech nam będzie wreszcie lżej*

*Abyśmy mogli nie usłyszeć
Aby nie pomóc ci tak samo.
(*** Rozkładają przede mną kartki)*

Wiersze Weroniki Kowalik są przejrzyste, jasne. Układają się zwięźle, tworząc regularne kolumny, jednak prawdy w nich ukryte są tajemnicze i nieodgadnione, tak jak

tajemnicza i nieodgadnione jest wszystko to, co przynosi nam życie, w jego różnych odsłonach. Na początku i na końcu naszej drogi, w poszukiwaniu i odpoczynku, w radości i w zadumie. Do zadumy właśnie skłania nas wiersz *Epitafium dla chwili wkrótce minionej*, który jako jedyny w tym cyklu jest obdarzony przez autorkę tytułem. Pojawia się tam motyw egzystencjalny i eschatologiczny, który przypomina nam, jak kruche i ulotne jest życie.

*Znów brak ci czasu
I właśnie to jest najgorsze
Potem będzie za późno
Gdy stanę się czasem przeszłym.
(...)
Gdy stanę się czasem dawnym
stanę się godna pożalowania
(Epitafium dla chwili wkrótce minionej)*

Jednocześnie poetka nie zamyka się całkowicie w smutnych rozmyślaniach, dostrzegając nieprzemijalność przyrody, upatrując w niej trwałość i pewność lotu.

*Ptaki wygrzewają się na słońcu
Na drzewie
Na Ziemi
Na moich oczach.
(...)
Jest druga trzydzieści
Znów nie śpię*

*Jako ptak zrywam się do lotu.
(***Ptaki wygrzewają się na słońcu)*

Podsumowując, autorka *Epitafium dla chwili wkrótce minionej* i innych wierszy w swoich poszukiwaniach poetyckich odnalazła już własną drogę. Drogę, która, jeśli zechce nią podążać dalej i na niej pozostać, pozwoli jej odkryć niejedną życiową prawdę i tworzyć tajemnicę.



Ludmiła Mariańska, foto: Piotr Dłubak

Bożena Gorska

ludzie przechodzą w ciszy
kładą ręce na trumnie
wydarte ziemi szczątki
żegnają przed triumfem

z jego imieniem na ustach
ginęła tamta dziewczyna
rozstrzeliwana za to
że zachowała się
jak trzeba

ludzie przechodzą w ciszy
kładą ręce na trumnie
jak pielgrzymi co dotykają
sarkofagu męczennika

a kiedy stara kobieta
z czułością przytuliła
małeńki ryngraf
do jego ryngrafu
Ta z Jasnej Góry
ucalaowała Oblicze
Tej z Ostrej Bramy
24.04.2016

Do przyjaciół Francuzów

Za Gdańsk?
Czemu za Gdańsk?
Nawet za Paryż
nie chcecie umierać.

Umrzecie za nic.
Albo
za Wandę.

18.08.2016

Agnieszka Jarzębowska

A Litwa cała zielona jak u Mickiewicza.
Jeszcze tu znajdziesz ślady sienkiewiczowskich zaścianków,
drewnianą plebanie, kościół w Wodoktach.
W Birżach, w szklanej gablocie, pośród litewskich starych książek
spozrzeżesz *Gramatykę polską dla dzieci*.
W Mitrunach ruiny dworu, ledwie parę cegieł, bo dach miedziany przydał się komuś, kiedyś.
W Kiejdanach w jednym z domów modlitwy żydowskiej sklep i tablica dwujęzyczna na ścianie.
Tynk się sypie. W oknie na rynku mała dziewczynka w długiej białej sukience przygląda się tym
poetom, co stoją przy pomniku Janusza Radziwiłła, (tego, co wiecie...)
Na Litwie ciągle ślady.
Jeszcze znajdziesz Polaków z takim „l”, co łzę wyciska;
parę mogił Butrymów, Świrskich, Wasowskich. Sawickich, których potomek już Savickiene.
Zostanie po nich tyle, co w ciszy prośby o modlitwę, w epitafiach.
Przyłączysz się do chóru recytujących Inwokację w Wilnie
na dziedzińcu Klasztoru Bazylianów przed Celą Konrada zamienioną na hotel, który splajtował.
Tam przecież nic nie ma, obejrzyś atrapę celi. I będzie środa literacka, jak niegdyś.
Bo miłości i tęsknoty
nie zasypiesz ziemią.

Barbara Rosiek

PISANE PRZED ŚMIERCIA z tomu *Wiersze zebrane*¹

GŁOWA

Widzę zestaw sztucznych myśli
na różne okazje
dla psychiatry – niech zostawi na wolności
albo nie zapina w pasy bezpieczeństwa
na oddziale *abnormal mentale*

bywa zmęczona naturalnie
po nieprzespanych nocach lub walce o słowo

gdy wypowiadam – kocham
– nie wychodzi to zbyt dobrze
nawet na Boga się wścieka po kolejnej operacji

bywa niebezpieczna dla otoczenia
(czasami)

lepiej pozbieram polne kwiaty
wtedy już nic nie muszę tłumaczyć

ZDOLNA DO WSZYSTKIEGO

Tak myślałam
mniej czułam po prochach
mniej pamięłam
(trudno się wraca do domu po trzech
dobach niewiedzy)

kochałam
nigdy nie przekroczyłam granicy obojętności

pomocne dłonie rozsypywałam na wrzoso-
wiskach

zabijałam doskonale siebie
doskonale innych broniłam przed śmiercią

nie poddawałam się prozie życia
w której nie umiałam zaistnieć

Byłam boska w urojeniach
doskonale nie pojmowałam siebie
(jeżeli istnieje ludzka doskonałość)

Przemijałam
ot tak sobie
i jakoś to będzie rzucałam
całemu światu

całkowicie nieodpowiedzialna
chora mentalnie
(pępek świata)

Bóg postawił sprawę jasno – mam wytrwać
przekonać do tego smutną poetkę?

chciałam przeżyć ostatnią wiosnę

cuda boskie to moja specjalność

BEZDOMNOŚĆ

Na śmietniku dusz
przykryta kolorową gazetą
(po deszczu odchodzi druk)
zapomina o głodzie miłości

żebrałam Panie Boże

nie o litość dla pokonanej
nie o nowe serce

pragnęłam odejść z niewoli
nie potrafiłam

tak kochałam
że zabroniono kochać
choroba duszy jedna na milion

mały procent ludzkości
wszechświat Droga Mleczna
rytm obolałej krzywej pracy mózgu
to więzienie dla niepoczytalnej

Bywam
na pastwiskach łąk zielonych
czasami z upadłymi mleczami wzrastam
nie chwast nie roślina
człowiek
zachodnia cywilizacja bytu
podchodzę już spokojnie do umierania
bo żyję żyję

cała zanurzona w twojej postaci
wymawiam słowa dane od narodzenia

Kocham – szepczesz
w łóżu zanikających gwiazd
obłożona mądrymi księgami
wyobrażam sobie miłość

to nic – powiadam
jesteś zawsze w moim sercu
jak zastawka czy aorta
biologizm określa byt
filozofia mnie przekracza
czytam upadłymi wieczorami
o szczęściu które nie zostało
darowane
tylko wywalczone siłą ducha

RODZINNY OBIAD

Jest inspiracją do wiersza
przy stole kochane postacie
czuwający aniołowie

pomiędzy posiłkami
z kuchni ukochane mamy
nuta zadumy uśmiechy

wdzięczne ptaki wyśpiewują tony

dusze połączone i wielkie jednocześnie
jak rycerze którzy skończyli bój

teraz wyciszenie po dniu pracy
róże już pachną w Ogrodzie

czerwiec 2007 jest szczęśliwy
jak każda chwila spędzona razem
deser – lody waniliowe
i truskawki zabajone śmietaną

cichy zmierzch snuje powoli swoją opowieść
my bliscy coraz bliżej szczęścia
zgodni jak pszczele rój
wyciszeni spokojni o przyszłość

MÓZG

Panoszy się, poprzez nienaturalne myśli za-
włada
duszą, zabiera pamięć, choruje, samotność
sprowadza na mowę, niczym kamień toczy
nienaturalne gesty, zabiera wolną wolę, za-
pomina,
że istnieje życie, wsłuchany we wnętrze głosów
paranoika głoduje i miłość zabiera dla przy-
jaciół,
dla dobrych lekarzy jest zagadką, dla siebie
samego
też. Tydzień to wieczność, liczy palce w na-
trętnych
gestach, zaburza sen, nie chce pamiętać,
że choruje
samotny w pustej przestrzeni bytu.
Zabiera czas innych... trudny przypadek...
woła
o pomoc milczeniem, jest, jest zaburzonym
twarem
wyobraźni.

JA

Zdobyłam świat taki niewielki
jakbym miała uchronić przed śmiercią siebie
jestem zagubiona niczym ptak egzotyczny
w klatce
to dobrze że bywam w Kosmosie
nieprawdopodobnych zdarzeń
jaka bywa we mnie miłość
trochę zagubiona trochę zaparta
to nijak się nie do sporządzenia testamentu
Alicja pragnie mnie widywać
ja nie pragnę już nic
napisze jeszcze jedną książkę
i mogę odejść

nie chcę tak

MY NAME IS LUCA

Południowy wiatr ociepla Ogród
dokarmiam ptaki w styczniowy poranek
myśli błędą po bezkresach wyobraźni
kuszę swoim wzrokiem
to życie by nabrało sensu istnienia
misja już skończona
trzeba biec dalej
zrozumieć siebie w tę niepogodę duszy
wyrwać z korzeni początek
zapisywać wierszem samotność
nie potrafię już konać co noc dzielnie
przesypiam kłopoty
to proste te drobiazgi wskazówki nawyki
drażnią
żeby choć imię zmienić na wysypisku
ludzkich knoń
nie bywam bezbronna

Przemijanie
wtłoczone w los każdego człowieka
daje siłę
z każdym rokiem wygrywam
tyłu już ubył
czy Bóg z zastępem aniołów
uwierzy w modlitwę zranionej?
rany zagojone
nie odbudujesz ciała
perfekcyjnie niszczonego przez lata
wyzwolona dusza jest jak kosmos
i w kosmosie dokończy żywota
przemijanie jest darem



Barbara Rosiek – w 2016 r. została odznaczona przez Ministra kultury i Dziedzictwa Narodowego Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze *Gloria Artis*”

¹ B. Rosiek, *Wiersze zebrane*, Mawit Druk, Warszawa 2016.

Marcin Zegadło

WIERSE NOWE

CORAZ CZEŚCIEJ NOC. JUŻ SIĘ NIE BOIMY

dla Ł. i P.

Pocałuj mnie proszę, Mała Myszko, Loczku, Okruszku. Tak jakby miało nie być: tanich lotów, morskich głębin, słońca które odbija się od śniegu. Ja jestem ten wymodlony. Mam tutaj taką małą plamkę, widzisz? Wygląda jak rozgnieciona ćma, z której sączy się światło. Wiem, że robisz mi dużo zdjęć, patrzysz na mnie kiedy zasypiam. Na wznak. Ponieważ tak będzie - kiedyś. Że ja na wznak, a ty nade mną z kwiatuskami. Mała Myszko, Loczku, Okruszku. Śniło mi się, że pakujesz moje rzeczy do starej walizki. Potem poszliśmy razem do kościoła. A plamka odfrunęła burą ćmą do nieba. Do widzenia plamko. Wcale cię tutaj nie potrzebujemy. Wiem, że niedługo znów będą dłużyć we mnie nożem, rwać mięso jak dzikie owoce. Miałem tutaj taką małą plamkę – mówię. A lekarz się dziwi, bo to jest motyl nocny, z którego sączy się żółte światło.

Częstochowa, 21.04.2015 r.

ZŁE DZIECI PODGLĄDAJĄ ŻYCIE. PLACEBO

dla Ł. i P.

To jest moje boże ciało. Z plamką siejącą, która znaczy: Śmierć, jest daleko lecz w drodze. Moja Mała, będę musiał zostawić przestronność i światło w kredycie, natrzeć się ziemią. Jestem teraz taki niezadowolony i gotowy na przykazania. Bolesne aplikacje i okna, parapety, swobodny lot – w ogólności mam się z plamką na własność. Moje boże ciało. A lekarz mówi, że to są niedobre komórki. Trzeba je zamknąć na kłódki. Dotykam. Moje boże ciało, bolesne. Pojedziemy na ostatnią wycieczkę. Daleko. Rzeka nam zaszumi i zniknie. Pijana w zygzakach, głupia rzeka. Uciekam. Ty ze mną uciekasz. Mamy dziewczynkę na zawsze. Więc zrób mi zdjęcie i kiedyś jej pokaż. Dziewczynka ma oczy jak kamień w pierścionku. Głęboki jak ciepła woda. Może trochę szkoda dziewczynki. A lekarz mówi: powtórzymy badania, opisujemy plamkę, która znaczy: *Droga z której wypadam jak rzęsa. I ginę.*

Częstochowa, 05.06.2015 r.

ŻYCIE W POPRZEK CIAŁA

Nie ma ciebie beze mnie. A ja sobie gasnę. Sufit nade mną gwieździsty. Moje serce miga na obrazku. Potargane kreski. Daję słowo. Nigdy więcej dnia bez miłości. Tyle dni bez miłości wcześniej, a teraz mówią do mnie fotografie kobiet, że niezły ze mnie chuj. A ja sobie gasnę. Moje serce miga na obrazku. Pode mną rozstąpi się ziemia. Otchłań pana czeka nic więcej – mówi lekarz, ale trochę mówi na okrągło, że to są złe komórki, trzeba je naświetlać. A wtedy nastanie jasność. To są moje kostki. Nie ma ciebie beze mnie, a ja mam z lekarzem pogadanki o budowie człowieka. Więc odwołaj się proszę do autora, żeby wyprostował tę historię, bo najpierw stworzył ciebie i mnie, później wymyślił plamkę która sieje, dał mi serce które słabo miga na obrazku, a na koniec dorzucił jakieś dziecko, które jest według niego nasze. A ja nocą śniłem dziewczynkę. Miała oczy jak bursztyń w pierścionku. Zawsze kiedy myślę, że się zapadam i gasnę – ona do mnie przybiega. Lekarz mówi, że mam się tego trzymać. Ale mów trochę na okrągło. Że nie ma ciebie beze mnie, że nigdy więcej dnia bez miłości. Daję słowo.

Częstochowa, 03.07.2015 r.



Marcin Zegadło, ur. w 1977 r., autor pięciu tomów wierszy: *Monotonne rewolucje* (Stowarzyszenie Literackie im. K. K. Baczyńskiego, Łódź 2003), *nawyki ciał śpią-*

cych (Biblioteka Studium, Zielona Sowa, Kraków 2006), *Światło powrotne* (Wydawnictwo Kwadratura, Łódź 2010), *Cały w słońcu* (Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Biblioteka Arterii, Łódź 2014) oraz *Hermann Brunner i jego rzeźnia* (Wydawnictwo FORMA, Szczecin 2015). Publikował m.in. w Studium, Odrze, Kresach, Czasie Kultury, Arteriach, Red, Pograniczach, Portrecie, Gazecie Wyborczej. Jego proza była publikowana m.in. w Chimere, Akcencie oraz Antologii współczesnych polskich opowiadań 2011 oraz w internetowym magazynie literackim Helikopter. Otrzymał Nagrodę Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie kultury w 2016 r. Mieszka w Częstochowie

Wiesława Owczyrek

ŻYCIE WEWNĘTRZNE

POEZJA

ścieżkami wiersza wędrować
ulotne przemierzać pasaże
słowami przestrzenie malować
słowami zatrzymać bieg zdarzeń

lekkie konstrukcje zabłysną
wnet siła ich wiązań ożyje
i trwać będą i wzrosną
i blask ich nigdy nie minie

GOŚĆ

Dzisiaj
przyszedł mi do głowy pewien wiersz.
Zapukał delikatnie w me czoło
napomykając,
że chciałby ze mną zamienić słowo.
Udałam, że mnie nie ma.
Postuka, postuka i pójdzie – tak myślałam.
Lecz moje codzienne krzątanie
zbyt już było zakłócone
tym ciągłym pukaniem,
które wdzierало się nachalnie
przez skórę, przez kości,
aż po strukturę umysłu.
Łomocząc już pięściami,
wyważając niejako drzwi
i zapory,
nie bacząc na moją niechętną minę
i w tej kwestii stanowcze opory,
gość dopiął swego.
Musiałam przyjąć nieproszonego
gościa, który
rozejrzawszy się wokół
wygodnie się rozsiadł
i podając mi kartkę papieru
prosił,
bym skreśliła go nie na straty
zapisując na dobry początek

pierwszy wers:

Dzisiaj
przyszedł mi do głowy pewien wiersz...

W „SECESJI”

ta pani w wielkim kapeluszu
to podobno poetka,
na poręczy krzesła
kołyszą się jej wiersze
i srebrzysta torebka

zagląda tutaj malarz, co maluje
niebo w obłoki albo
w różnobarwną tęczę.
wypił kawę i wyszedł,
zostawił swoje serce

za firanką jesień z parasolem
waha się, czy wstąpić
na ciastko i wino.
cicho szumi ekspres.
po tęczowym niebie
wysrebrzone wiersze
powolutku płyną

ŻYCIE WEWNĘTRZNE

Świat równoległy nie przylega
ściśle. Jest przywilejem, za który
ona płaci. Kiedy ją połyka,
za kurtyną z niewidzialnych nici
światła miast nie oślepiają.
Tam cicho jest, spokojnie.

Po dnie morza wędruje wśród
zdziwionych skrzydlic, o tajemnice
ich zazdrośna. Głucha na wołanie
syren, niechętnie myśli o powrocie
i wzrok odwraca od zdeptanej ziemi.
Tutaj bywa i tam. I klucz pomiędzy.

Anna Jędryka

WIERSE OLSZTYŃSKIE

RÓŻA I BEZ

Dzika róża bez oplata
Ciernistymi ramionami,
Oplątuje ciekim pędem,
Ozdabia go listeczkami.

Zawsze o majowej porze
Bez liliowo barwi kiście,
Róża, wielce dumna z niego,
Wypuszcza zielone liście.

Zachwycona blaskiem kwiatów,
Upojona słodką wonią,
Jeszcze mocniej krzew przygarnia,
Stając się jego osłoną.

A gdy czerwiec świat otuli,
Z bu już spadną wszystkie kwiatki,
Wówczas róża w pełnej krasie
Rozchyli różowe płatki.

Wtedy znów bez wypięknieje
Pod urokiem pnącej róży,
Zaplątany w wiotką gałąź,
Czar i powab swój przedłuży.

Gdy przeminie czas kwitnienia,
Kwiaty będą sobie wierne,
Róża na dorodnych liściach
Złoży listki swe misterne.

Podczas suszy, podczas burzy
Pozostaną w tym duecie,
Bo łatwiej jest w życiu razem,
Niż samotnie żyć na świecie.

RÓŻE

W nocy przyszedł mróz,
zmroził pąki róż:
te jesienne – herbaciane,
te czerwone – zakochane
i niewinne białe róże,
i różowe, małe, duże,
zmroził w nocy mróz...

Mróz swe żniwo wziął,
piękne róże ściał.
Głowy smętnie pozwieszały,
jakby różgami dostały,
gęsty śnieg przysypał róże
i te małe i te duże,
a mróz w nocy ściał...

Spadły płatki róż,
bo je zmroził mróz.
Leżą płatki kolorowe:
białe, żółte i bordowe,
te jesienne – herbaciane,
te czerwone – zakochane
i nie pachną już...

W OLSZTYNIE PADA DESZCZ

Dziś w Olsztynie pada deszcz,
Taki smutny, chłodny deszcz,
Cały las od zimna drży,
Po gałęziach płyną łzy,
Bo w Olsztynie pada deszcz...

Olsztyn jest zasnuty mgłą,
Taką gęstą, szarą mgłą,
Mgła rozciąga się wśród drzew,
Mgłą spowity każdy krzew,
Bo w Olsztynie szara mgła...

Już dobiega końca dzień,
W las się wkrada nocy cień,
Deszczem płacze czarny las,
Drzewa mokną cały czas,
Bo majowy pada deszcz...

OLSZTYŃSKI LAS

Mieszkam teraz w jurajskim Olsztynie,
Tutaj życie spokojnie mi płynie,
Rankiem ptasia rodzina mi śpiewa,
A wieczorem tulą do snu drzewa.

Gdy się cichy wiatr wedrze w konary,
To melodię zaszumi dąb stary,
Gdy wiatr mocniej poruszy drzewami,
Sosny dywan uścielą igłami.

Kiedy słońce do lasu się wkradnie,
To las wtedy wygląda najładniej,
Wśród gałązek figlują promyki,
Jakby rzucał ktoś złote kosmyki.

A gdy deszyk osiadzie kroplami,
Smutne drzewa pokryją się łzami
I ślą słońcu głębokie westchnienie,
By spuściło nań ciepłe promienie.

Kiedy zima zaskoczy las cały
I na drzewach osiadzie puch biały,
To igielki i tak są zielone,
Chociaż mają śnieżystą koronę.

Bo las zawsze ma swoje uroki,
Nawet gdy go sen zmorzy głęboki
I gdy w mgiełce wycina ażury,
I gdy suną nad nim ciemne chmury.

Lecz gdy burza się zbiera nad lasem,
To las tętni i straszy hałasem,
I ogromny huk echem się niesie -
Nie jest wtedy przyjemnie być w lesie.

A gdy burza ucichnie, opadnie,
Wówczas w lesie tak świeżo, tak ładnie!
I żywicę, i grzyby czuć czasem,
Lecz najczęściej - las pachnie lasem.

Jacek Gierasieński

KIEDYŚ NADAM IM TYTUŁY

znam kilka drzew zaprzyjaźnionych
często wieczorem
w obecności podlewanej działki
popelniam ważność rozmów
przybitym czołem
w ich konary
zdaję sobie sprawę
z nieobecności kłamstw
że każdy wstyd im opowiem
że każdą uczciwość
że kiedy pójdę
pójdą za mną
ubrane
w gałęzie myśli

okradasz mnie
z marzeń
usypałem sobie
dwie garście
własnych kombinacji
pieściłem je od zawsze
a ty palec
po palcu codziennie
odgryzasz
do tego stopnia że
już w jednej ręce
nie widzę swego łokcia
tęsknię za tą ręką
nie krwawię
zapominam oddychać
sercem
w zębach trzymam
jutrzeńki

umarłem matko
już dawno
twój obiecany świat
zadzierzgnął owe obietnice
siedzę w sobie
maluję pamięć kredkami
tamtego piórnika
myślę że chciałaś
okłamać swoją niewygodność
pokolorować
własne wczoraj
uверить w życie
i jak anioł wzlecieć
ponad
takie to matko
nasze nie życie

chciałbym uверить
w twoją miłość
chciałbym ją zgłębić
całując doskonałość
twoich ramion
jeszcze raz uwidocznić
usiąść w korytarzach wspomnień
odnowić pamięć
i wracać
cofać czas
z kolan wstać
i już nie prosić
układając spokój
na kolejność
naszej poprawności
na znajomość wiersza
w dłoni zapisanego

wspomnienia
mają swoje twarze
bardziej
lub mniej rozmazane
zazwyczaj
późnymi wieczorami siadają
na podłodze głowy
porozumiewamy się
bez słów
ufni w swoje istnienie
i tylko czasami
uwalniamy łzę
po sobie
wierni
na poduszce snu

ostatni dzień wiersza
ustanowi ciszę
nie będzie śmieszyło
nie będzie bolało
drzewa i koty
przejdą przez ulicę
bliżej
że będzie można
wąchać zapach ziemi
całować powietrze
że w tatuażu dłoni
cała
naga prawda

Barbara Strzelbicka

CZTERY WIERSZE O MIŁOŚCI

TRAMWAJ

widziałam cię w tramwaju a może
to nie byłeś ty nie wiem. rozpoznałam
twoje pochylenie głowy i cień zarostu na twa-
rzy
byłeś ze mną choć całkiem niepodobną
i w innej
postaci obejmowałeś mnie ramieniem a ja
byłam dla ciebie odwrócona od całego świata

potem wysiedliśmy i ja zostałam
widziałam przez okno jak
oddzielasz się od siebie jak opuszcza cię
ten którego kochałam i zostajesz
bez skrzydeł zgarbiony i smutny
anioł mojej miłości zdążył wrócić zanim
odjechałam

teraz cię już nie rozpoznam

WYGNANIE

– idź stąd – powiedział – za dużo wiesz
i nie mogę być dla ciebie tym
kim chciałem być
zgubiła cię ciekawość –

spojrzałam
stał przede mną niemal przezroczysty
kontur jego sylwetki był ledwo widoczny
kulił ramiona ze strachu
że został rozpoznany
na jego twarzy powleczonej cienką skórą
wykwitł brzydki grymas
którego nie zakryła tarcza
ujęta nieporadnie zbyt małymi rękami

nie był już tajemnicą

nie musiałam odwracać oczu
żeby widzieć dalej
kontury się rozmyły pod wpływem wilgoci
ktoś płakał ale nie na pewno
bo może to deszcz spływał
po szybie między nami

odeszłam nie chcąc widzieć jak ucieka
w mięśniach jego nóg czaiła się
gotowość do biegu

nie bałam się rodzić w bólach

DZISIAJ

dzisiaj cofnę czas. nie pójde na wernisaż
nie spojrzę ponad głowami nikt
nie uśmiechnie się do mnie
nie będę rozmawiała i moja ciekawość
nie zostanie zaspokojona jak wtedy
wrócę sama do domu z niezmienionym
stanem uczuć. zamiast na koncert
wybiorę się do kina tak jak planowałam
nie podam nikomu numeru telefonu
żeby potem nie czekać nie czekać nie czekać

to takie proste zrobić pętlę
skoro to nie powinno się zdarzyć
zacisnąć najpierw odciać dopływ powietrza
światła krwi poczekać aż umrze
jak narodził na zdrowej tkance a potem
pozbyć się zaschniętego strupka
to proste
jeśli umie się zapominać
klik – i już

PROJEKT

przez chwilę zobaczyłam siebie w łańcuchu
pokoleń
podążających ku celowi którego nie znałam
jak więc mam go spełnić – pomyślałam
trzeźwo

może to nie jest ważne
tak na pewno nie jest
cel będzie spełniony chcę tego czy nie
moje zaangażowanie lub jego brak
nie zostaną dostrzeżone
istnieję tylko w granicach statystycznego błędu
projekt – życie – realizuję w ramach
przedsięwzięcia kosmicznego

otrzymałam wiele predyspozycji
na przykład do nieśmiertelności
o czym czasem myślę wyniesiona
amplitudą pychy
tak – moim przeznaczeniem jest doskonałość
cokolwiek to znaczy

miłość i inne środki przeciwbólowe
które dostałam w spadku
są łaską wszechświata

Arkadiusz Frania

Z tomu:

ZBIERACZE LAWENDY¹

* * *

minął ciemny przechodzień pod zgąśłą latarnią
choć nie dasz głowy
że był tylko człowiekiem
że miał w sercu tylko ludzkie troski
że czas prowadził jego kroki do domu zielo-
nych firanek

bóg położył palec na jego czole
i zajaśniało
jakby ukryty w ziemi prąd całego świata
płynął właśnie w tej jednej niezmierzonej przez
zegary chwili
przez wszystkie jego żyły mięśnie i myśli

* * *

dotknij skały jak człowieka
skała stanie się
pierwszą wiązką światła
i niekończącym się w mrokach pobrzaskiem
wody

dotknij człowieka jak boga
człowiek obdarzy
niejedną dobrą myślą na bezsenną noc
śmielszą niż lampka i proszki
pożegnalną kromką chleba z marmoladą
przed wyjazdem z kotliny w przyszłość
która czai się w lesie czarnych drzew i żółk-
nących gniazd

dotknij boga jak skały
bóg wskaże ci drugiego człowieka

* * *

zegarki chodzą w cały świat
na jednym „moskwa” na drugim „nowy jork”
na innych „kapsztad” „la paz” „tokio”

strefy południki obszary pola
kratki na mapie politycznej
strzępią się granice państw
masywy górskie i rzeki dzielą i łączą
narody plemiona osiedla

wszystko by uchwycić wieczność
jak geparda w pogoni za strusiem

nieznacznie rozstrzygam się
w kleszczach sekund
gdy patrzę na souvenir przywieziony z egiptu
sfinksa czuwającego przed piramidą

* * *

odpuść mi wszystkie moje wiersze
 te napisane te których się wstydzę
 te których nie poprawię
 te niezatrzymane
 wychylające się za parapet semiotyki
 te istniejące jedynie w napięciu mięśni
 w takcie odkładanego na komodę długopisu
 te młode jak szczaw
 jak stary lis chytre

odpuść mi boże moich wierszy
 słowa stracone źle użyte
 stojące w niewłaściwych miejscach
 słowa zdobyte last minute z wyobraźni

odpuść mi panie
 i pozwól nagrać świat na słowa

* * *

lubię jak czas mija
 wychładza prędkość we mnie
 im jestem starszy tym mniej się spieszę
 tym wolniej się spieszę jeśli już to raczej do tyłu
 niż do przodu
 jestem oszczędniejszy w słowach i ruchach

kiedyś pędziły przez głowę hordy słów i flotylle
 obrazów
 czekałem aż ten nienazwany ale bardzo ważny
 dotknie mnie ciepłym palcem
 żeby śniły mi się stworzone rzeczy

dziś od pisania ciekawsze wydaje mi się
 niepisanie
 zjedzenie jabłka lub ogórka kiszzonego

po siedmiu latach milczenia chciałbym wydać
 tomik
 i zastanawiam się czy nie zaczekać jeszcze kilku
 przecież na biurku leży tyle czystych zeszytów
 że do końca życia nie powyrywam wszystkich
 wierszy

* * *

piszę
 piszę wiersz
 piszę pierwszy wiersz po dwóch latach nie-
 pisania
 wierszy

idzie mi trudno
 słowa stawiają opór
 jakbym doszedł do muru i nie umiał znaleźć
 dłuta i młotka żeby przebić się na drugą stronę
 tego samego więzienia

litery wyrazy załączki zdań
 magazyn metafor i porównań zakurzony
 zatrzęsnięty w sobie poruszam się po omacku
 po ziemi którą kiedyś uprawiałem

nie wiem
 może zapomniałem
 może tylko zapomniałem
 którą samogłoską zakończyć wers
 na pewno za chwilę nadpłynie jasna chmura
 i spadną jedynie trafne i niepowtarzalne figury
 stylistyczne

w niepewności graniczącej z rozpaczą
 chciałem zejść do następnej linijki
 ale nagle spadłem
 na sam dół kartki

¹ A. Frania, *Zbieracze lawendy. Wybór wierszy*, Norbertinum,
 Lublin 2016.

Sergiej Morejno

KOLOR: CZARNY

...Boże Sodomy i Babilonu, wiem, że jesteś silniejszy od wszystkich, że faktycznie jesteś wszechmocny, proszę, nie chciej okazywać swej siły w ten sposób, nie szukaj we mnie odpowiedzi, czy zostawić go w Twym ogrodzie...

Taki spokój, że myśli gęstnieją jak przegotowany dżem – jak miejscowy dżem z orzecha włoskiego, fig i morwy – i zdają się być przyklejone do puszki mózgowej tylko z jej zewnętrznej strony. Własne i cudze. Gdyby myśli Medei naprawdę ułożyły się na jej wysokim, czystym czole, to zlizawszy je, można byłoby przesunąć ekwiwalent tego południa w stronę niepokoju. Czyż gęsta, sprężysta słodycz morwy nie tai w sobie ostrego i cierpkiego niepokoju, i czyż nie z tego powodu owoce morwy przyciągają tak zagadkową istotę jak jedwabnik?

Klepie Aleksa złożoną gazetą w czoło, po czym rozkłada ją i czyta: „Omawiamy reformę sądów: ...jakie rodzaje spraw powinny być rozpatrywane za pośrednictwem Sądów Ostatecznych... ciekawe... aha, podlegają rozpatrzeniu przez Sądy Ostateczne według miejsca zamieszkania – jeszcze ciekawiej; o proszę – obie skargi uznaje się za będące we właściwości Sądu Ostatecznego!”

– Tak jest napisane?

– Oczywiście, że nie! Jest napisane, że Sąd Ostateczny rozwiązano na czas wakacji.

– Lubię, gdy żartu nie podkreśla się śmiechem na końcu. Dopiero wtedy naprawdę można zrozumieć, że jest w nim szczypta prawdy.

– Zdążyłeś polubić?

– Zdaje się, że tak.

– Kalamburami to już wcześniej mówiłeś? Czy dopiero ze mną?

Mężczyzna bierze ze stołu serwetkę, obraca ją w rękach.

– Wyobrażasz sobie, całkiem zapomniałem jak się z niej robi okręcik. A powiadają, że pamięć palców zachowuje się najlepiej. Ileż to się tego zrobiło w dzieciństwie!

– A ja pamiętam, jak – kobieta odbiera mu serwetkę, zaczyna składać – Ooo! Teraz tak i jeszcze tak. Nie?

– E, to nie okręcik, to po prostu jakiś zbiornikowiec. Do tego nie trzyma się kupy. O, widzisz, rozleciał się.

– To znaczy, że nie pamiętam – mówi kobieta, rozwija serwetkę i wyciera nią nos. Potem mnie serwetkę i odkłada do popielniczki.

Pojawiają się napisy: „Jak układaliśmy okręcik”, reżyser ---

Aleks podnosi czajnik i patrzy pytająco na Medeę, ta potakuje, więc on dolewa herbaty do jej filiżanki – udaje, że dolewa, bo płynu we francuskiej maszynce tyle, co na palec. Krótkometrażówki skończyły się, na ekranie telewizora w paradnym szyku idą dziewczyny w rozwianych strojach, co zasadniczo kłóci się z brakiem wiatru i spokojem, wypełniającym – jak dobrze wiadomo Aleksowi – ulice, parki i domy tego miasta, a jednocześnie półpastą kafejkę w pomarańczowym designie, w której Medea już od kwadransa rozważa jedno jedyne zagadnienie: czy prawdopodobieństwo natknięcia się tu na znajomą twarz jest dostatecznie małe, by odważyć się pocałować Aleksa.

Tak przynajmniej myśli Aleks. Wydaje mu się, że ruchy jej palców, warg, jej poglądy odzwierciedlają pewną prawidłowość, przypominającą ruch po orbicie, stykającej się w jednym z punktów z jego, Aleksa, ustami czy choćby policzkami. Dziewczęta znikają z ekranu, Medea zdejmując okulary.

Wreszcie przestaje być podobna do nauczycielki z Playboya – to znaczy, do dziewczyny z Playboya ubranej w klasyczny uniform nauczycielki. Kontrast pomiędzy różem naprężonej na piersi bluzeczki a czernią oprawek znika, wrażenie, że ona kpi delikatnie z niego, przepadło. Aleks postanawia nie czekać na pocałunek, przysuwa jej talerzyk z ostatnim największym, choć może nie najlepiej wypieczonym placuszkiem, ale ona jest najedzona – uśmiecha się, odłamuje kawałeczek i podaje Aleksowi. Ten otwiera usta i Medea delikatnie wkłada tam chleb, po czym palcem strząsa okruszki z kącików jego warg. Aleks próbuje pocałować wymykającą się dłoń.

– Bardzo lubię chleb – mówi Medea – ten, i w ogóle chleb. Nasze wioski – pewnie widziałeś – one są tak jakoś usytuowane, że albo cisną się do samego wzgórza, albo stoją w głębokim jarze.

– Agorafobia? – pyta Aleks – Niby skąd? – zastanawia się, czy zawiadomić Medę o tym, że folwarczny system Hymny był rezultatem polityki krzyżaków, ale przypomina sobie, że ona przecież studiowała w Hymnie i dlatego na pewno to wie.

– Nie wiem. Może dlatego, że tylko w takich miejscach występuje jakaś gleba? Nie kamienie, a ziemia, na której rosną drzewa?

– No, tak – Aleksowi zachciewa się jeszcze chleba i gotów jest zgodzić się ze wszystkim. Tym bardziej, że Medea jest mądra i nie wygaduje głupstw.

– Dawniej – gdy gdzieś jechaliśmy, w ogóle, gdy gdzieś jechaliśmy, staraliśmy się jak najwcześniej wyjechać z miasta. Wtedy, jeśli jedziesz tak rano-raniutko, widzisz, jak tu i ówdzie w zagrodach pojawia się dym. Takie cienkie strużki... To kobiety zaczynają piec chleb. Ten obrazek mam ciągle przed oczami – jeszcze ciemno, a już gdzieś tam pojawia się biały dymek. Widać, tam kobieta zbudziła się...

Wychodzą, a ściślej, wspinają się z poziomu pomarańczowej sutereny na ulicę, gdzie

Aleks kolejny raz doznaje znajomego, choć trudno wytłumaczalnego słowami uczucia. Lekka kwaskowatość, jakby dotknęło się językiem blaszek płaskiej baterii. Sumeryjski krój pisma odezwym miasta do mieszkańców, krzyżykowy haft jego wiejskiego ubrania, mrówczy wzorek klinowego pisma na wietrzących ścianach – i to, co można by nazwać niestandardową reprodukcją dźwięku: kłujący szept, gardłowy szloch, ochrypły dźwięk – wszystko to powtarza: tu jest wschód. W tym miejscu jest on w oczywisty sposób bezsilny, z całym swoim arsenałem zachodniej logiki, doświadczenia, charyzmy. Więc maleńkie dłonie Medei gniotą jego wolę, jak się ugniata we wsi ciasto, zanim się je nałoży na gorącą płytę pieca.

Jeśli wiejskie kobiety są pięknym mirażem zrodzonym ze słów Medei, to miejskie są nieskończenie piękne z definicji – jako miraż. Można – póki Medei przy tym nie ma – w zamyśleniu wyobrazić sobie mieszkanki miasta. Przybliżając się i oddalając udawać, że oglądasz w witrynach manekiny – choćby i rzadkiej urody, ale jednakowe. I że to, co pozostanie w pamięci po takim spacerze, to jakieś nie z tej ziemi rytmiczne kołysanie smukłych nóg na nieskończenie wysokich obcasach, obojętne wszystkim, co związane z pożądaniem, bodźcem i reakcją (czy tak poruszają się wskazówki w marsjańskich zegarkach?); ziemskie kobiety najzwyczajniej takie nie bywają.

Na samym wierzchu czoła Aleksa myśli zaczynają skwierczeć i czujna Medea z pewnością to słyszy. Kto wie, a może ona rozumuje jak wiejski piekarz: nuż się uda i łamliwe brązowe pączuszki uczynią go lepszym. Kiedy przekraczają skrzyżowanie, które wręcz tonie w oszałamiającym zapachu kawy, na tyle kuszącym, że jednocześnie wpada im do głowy ominąć jeden cykl zielonego ludzika na sygnalizatorze, ona marzycielsko wzdycha: „Ale pachnie kawą! Chętnie poszukałabym miejsca, gdzie ją przygotowują – a gdy są już po przeciwnej

stronie – wiesz co, kawa w tej dzielnicy nie jest zbyt dobra...”

„Czy kiedykolwiek widziałeś, jak się śmieje wielka ryba? Ja widziałam dziś rano: te ryby- różne, przeróżne – tłoczyły się w maleńkim basenie z płytką wodą, kruszyłam drobiny białego chleba, a jedna z ryb, najbrzydsza, wypłynęła dzierżąc w ustach inną zdechłą rybę i demonstracyjnie poczęła ją zjadać. Gdy się zdziwiłam, ryby zaśmiały się. Obudziłam się, a on zatelefonował. Śniąc ci się sny?”

Pejzaż przypomina akwarium ze spuszczoną wodą. Jasnoniebieski szal Medy mieni się jak egzotyczna rybka wśród śmieci na dnie. Aleks trzyma w ręku jej kurtkę, dlatego zdaje mu się, że jego dłonie cały czas leżą na jej ramionach. A ona prowadzi go bulwarem, którego środek w całości zastawiają drewniane i betonowe dekoracje – prowizorycznie połączone platformy, tafle, pokrzywione fragmenty ogrodzeń i okapów. To szczątki po letnich kawiarniach i restauracjach (wyjaśnia Medea). One też syczą, krzyczą: i tu dotarła jesień. A naprawdę: skrzypią wszystkimi swymi pordzewiałymi zawiasami i wspornikami.

Liście drzew poschły, ale nie wysuszyły ich nadchodzący listopad, tylko żar minionego sierpnia; zwiędły tak, jak się wędnie od nadmiaru słońca, a nie z braku wilgoci (oba zjawiska bez wątplenia mają ze sobą coś wspólnego. Bez wątplenia, nawet tu, w tej krainie cudów – bo jeśli księżyc potrafi pociągnąć za sobą wody morza, to tym bardziej większe od niego słońce, zachodząc, może unosić stąd życiodajne wody; słoneczny odpływ). Tak samo w mieście panuje dawny żar, ale teraz jest to pokrywający ziemię żar kosmiczny, żądający ziemię już nie promieniami, a dotykiem (tak suchy lód parzy przytkniętą do niego rękę).

„Gdy, często nocami, wracał do domu, najpierw szedł oglądać dom, który remontowaliśmy za jego pieniądze: sprawdzał, co i jak zaplanowano, jakie zakupiono mate-

riały – zamiast pytać o dzieci” – mówi Medea, przywracając Aleksa do codzienności, do tego wciąż jeszcze rozgrzanego świata, po którym jakby nie, ale jednak, przebiega delikatną zmarszczką cień jej będącego daleko męża. Spomiędzy burych, czerwonych raf sterczy, sądząc po napisach Pizza Pizza w oknach, szklana meduza jakiejś pizzerii. Za nią, jak szkielet morskiego jeża czy rozgwiazdy, wznosi się diabelski młyn.

– Czas na nas?

– Nie – chwytając za końce szala, rozrzuca je na boki i w górę (błyszczą bransolety) i na powrót składa ręce na piersi; czyżby od tego robiło się cieplej – niepojęte, ale piękne. – Nie, pozwól mi najpierw zamarznąć.

W kawiarni, zdaje się, już palą.

– Weźmiesz chaczapuri po adżarsku? Czy może nie lubisz chaczapuri po adżarsku? A może wcale nie wiesz, co to jest?

Surowe jajko rozpląwa się po tłustej parującej powierzchni pieczonego ciasta. Różowy lakier na paznokciach wskazujących palców Medy jest odrobinę ciemniejszy, niż na pozostałych palcach, i odrobinę czerwieńszy – ciemnoróżowy, i to działa na Aleksa. Ona podskubuje kęski ciasta i pożądlawie macza je w żółtku.

– ...Jej strefy erogenne – oczy koloru miodowego.

– Chcesz powiedzieć, że po to, by ją rozbudzić, trzeba długo i uporczywie patrzeć jej w oczy?

– Miód – mówi Aleks – nazywałem ją Miód, a sam byłem Puchatkiem. Od dzieciństwa zjednoczonym ze swoim totemicznym zwierzątkiem. Ale nie wiadomo, czy w dzieciństwie Kubuś Puchatek był po prostu ulubioną zabawką, która potem zlawszy się w jedno ze mną stała się totemem, alter ego, czy też na odwrót. W każdym razie ona nie była miodem, i cukrem też nie była.

– Przecież i ja nie jestem miodem. Jestem – Medea! – odsuwa od siebie talerzyk i siada na krześle prosto jak żołnierz. – To wszystko twoje.

– A sen był koszmarem: śniło mi się, że jestem sam na diabelskim młynie, który zatrzymał się i nie rusza. Kosz, w którym siedzę, huśta się jakby ktoś specjalnie go rozhuśtywał. Wtedy obracam się i patrzę za siebie poprzez otwór w koszu, bo z przodu nikogo nie ma! A tam wisi sznur albo lina, która biegnie w górę, pewnie do nieba, a do niego przywiązana jakaś staruszka, długie siwe włosy, po mojemu w koszuli nocnej... I była – martwa, a do jej ręki przywiązany był jak bydlę miś! I rozumiesz – choć z oczu Medy wyziera groza, Aleks nie znajduje w sobie siły, by się zatrzymać – rozumiesz, niedźwiadek, to z pewnością ją.

– Opowiedz lepiej, jak ci minął wieczór wczorajszy?

– Czy aby nie powinienesz być powiedzieć „Jak ci minął wczorajszy wieczór?” – gotowość Medy do pouczania i uczenia się jest porażająca.

– Czy chociaż tu wolno bezkarnie naruszać zasady gramatyczne? „Wczoraj” – to rzeczownik, oznacza „wczorajszy dzień”, a dzień musi posiadać wieczór.

– Tylko że tu nie trzeba niczego naruszać. Ale, jeśli już tak chcesz, niechby, w drodze wyjątku, „wczoraj” było rzeczownikiem. Tak jak „wieczór”. Tylko, czy „wczoraj” – to ona? Rodzaju żeńskiego?

– Proszę bardzo – jeśli *ty* tak chcesz. Chcesz, i „dzień” zrobimy żeńskim? Jak „sień” – dla ciebie wszystko!

– Wtedy *wczoraj* poszłam do restauracji w *dzielnicy* urodzin kuzyna. I piłam tam whisky. Ponieważ wszystkie kobiety piły wino, a tylko jedna, b-b-bardzo efektowna, piła wódkę, postanowiłam pić whisky, żeby podkreślić, że to nic, że tylko ja jestem tu sama.

– Dobrze, że jesteś silna i szczęśliwa.

– Silna kobieta – to teraz w modzie.

– Ale rzecz nie tylko w tym.

– A w czym? – delikatnie, ale z nutką okrucieństwa w głosie pyta Meda.

– W tym, że okresowo rzucamy was na pastwę losu. Amazonka – jakież to ele-

ganckie – wykołowuje Aleks – Odwieczny trend. Dlatego i dziś modny.

– We wszystkim, prócz kondycji fizycznej, kobiety i tak są od was silniejsze – już całkiem miękko mówi Meda – Tak twierdzą lekarze. I prócz umysłu. My myślimy logicznie, a wy tak spontanicznie, jasno... No i whisky działa na nas silniej.

Wstawszy od stołu, Meda kieruje się ku wyjściu. Przed drzwiami ściąga szal z ramion, żeby zwiwnym ruchem zawiązać go na głowie, po czym niechętnie na powrót opuszcza ręce (anioł składa skrzydła?), oczekując, że tymczasem Aleks poda jej kurtkę. Po raz pierwszy *dzisiaj* widzi Medę od strony pleców. Pomiędzy łopatkami i trochę – choć w ogóle, znacznie – niżej bluzka składa się z rzadkich pasemek materiału przyszytych na krzyż, odrobinę nie dbale – jak gdyby ktoś próbował połączyć końce rozerwanego na pół ubrania, ale nie miał na to czasu ani podręcznych przyborów. Te czarne pasemka bębnią się po nim, niby młoteczki marimby, wydobywając taką melodię, że kiedy wychodzą, a ściślej, schodzą z rafy koralowej na parkową dróżkę, Aleks, idący z tyłu za Medą, kompletnie nieoczekiwanie dla siebie kompletnie atawistycznym ruchem kładzie swą rękę za pasek jej dżinsów i czuje, jak w tym już i tak prawie nieruchomym świetle na chwilę zamierają: czas, Medea i jego własny puls.

Uniośł pokrywę notebooka, po czym najpierw otworzył wszystkie swoje skrzynki pocztowe i komunikatory i zaczął czytać, odpowiadać, pisać listy, zostawiać wiadomości. Na niektóre z nich w tym samym czasie nadchodziły odpowiedzi, po chwili odpowiedzi – własne i cudze – spłotły się w pocieszną karuzelę, sprawiającą wrażenie równoczesnej komunikacji z bliższym i dalszym światem: „jakże uwielbiam bezdusność hoteli sieciowych ani cienia przeszłości ani wspomnienia tylko czystość światło i nieskazitelne recepcjonistki day without your messages brzmi równie dziwnie jak

ta fraza wygląda były święta internet nie działał jedziemy do polski w każdym razie jeśli nie masz nic przeciwko temu żeby spotkać się u nas nie mam twojej mobilnej morfiny uspakaja i łagodzi ból czy nie zawsze mam problemy z internetem nie specjalnie go nie mam inaczej zabiera zbyt dużo czasu mam słabą wolę niestety przy tym jak dawniej nie palisz dlatego jeżdżę do biblioteki która nie zawsze jest czynna za pana parra wielkie dzięki kto wie a może jesienią przyjadę co i jak się odbywa czy oglądasz piłkę nożną dzień dobry czy mogę prosić o spotkanie w biurze oczy które nie płaczą starzej się...”

W tym bałaganie pierwszeństwo miały jej loginy, ona również nie spała i jej słowa zostawiały ślad na każdym z jego słów, i po jakimś czasie zaczęło mu się wydawać, że słyszy tę samą muzykę, co ona.

„Moje ręce na twych ramionach albo tam, gdzie skrzydła aniołów.

Oczywiście wszystko rozumiał, stary lis...

Jak to dodrze, że jesteś tak sławny, tyle ciebie w sieci, że nie mogę tego pominąć!

Mam jeszcze pytanie – jak się zachowują suki? Od wczoraj zadaję sobie to pytanie. Powiedziałeś mi – tylko nie bądź jak suka – a ja nie wiem, jak to jest. No, wiesz – żeby nią nie być.”

Stopniowo Aleks dotarł do listów wysłanych do niego za dnia. Na dnie katalogu leżał list od niej, odkrył go już dawno, ale nie otwierał, odstawiając do rezerwy, na koniec. List okazał się obszerny, on nigdy nie pisał takich listów. Najpierw po prostu skupił się na zwrotach i motywach w korespondencji, stanowiących, chcąc nie chcąc, część jego codziennej pracy. Podczas czytania czasem robił przerwę, żeby dokonać w sieci czegoś pożytecznego, ale w istocie kontynuując czytanie, jak gdyby wina w butelce zostało tyle, co na palec, a więcej butek by nie było, pił i myślał, że trzeba by zwolnić, bo inaczej zostanie z niczym. Między innymi zdążył

przedyskutować ze swoim najlepszym przyjacielem skandal na temat pedofilii, który rozgorzał w Hymnie. Skandal żarzył się przez dwa kolejne tygodnie, ale jakoś nie zapłonął pełnym ogniem. Kolega też pił i stwierdził krótko: „Żyjemy w tak porządnym kraju, że nie ma z kim tak po prostu się przespać”.

„Od dzieciństwa mam taki zwyczaj – kiedy mi smutno czy nie mam z kim pogadać, czy zmęczy mnie czytanie, długo patrzę w okno. Dużo się zmieniło od czasu, gdy byłam mała, ale dziś poczułam zmianę ostrzej i boleśniej. Jakby to nie było dziwne, rośmieszyło mnie to.

Wcześniej przez moje okno na dziesiątym piętrze widziałam pół miasta, jednak najbardziej cieszyło mnie, to co słyszałam – latem pisk oszalałych jaskółek, wiosną wrzask marcujących się kotów (na marginesie, gdy pierwszy raz je usłyszałam, poprosiłam mamę, by poszła szukać porzuconego niemowlaka), jesienne deszcze stukające kroplami, a zimą śnieżną (lub bezśnieżną) ciszę. Teraz, gdy jestem bliżej ziemi, na wiele rzeczy nauczyłam się patrzeć z dołu do góry. W rezultacie pory roku przestały cokolwiek znaczyć i określać, prócz doboru ubrań. Koty już mnie nie denerwują, przywykłam do ciszy (okolica cicha), deszcz słyszeć lepiej, gdy pobrzmiwa do taktu z tykaniem zegarów, a wrony zastąpiły jaskółki.

Przez moje nowe okno widać trzy wielkie drzewa. Nie wiedzieć czemu te trzy monstra (bez listowia wyglądają jak monstra) przyciągają wrony, są ich setki, bez przesady, wiele setek. Kiedy one zlatują się na swoje wronie posiedzenia, by rozwikłać ważne wronie sprawy, wydaje się, że trzem drzewom wyrastają wielkie czarne liście, które nigdy nie opadają, tylko ulatują w górę. Kiedy wyrabano drzewa w parku, żeby oczyścić miejsce pod budowę rezydencji bogaczy, na drzewo w pobliżu domu przeniósł się dzieciół, potem odleciał,

a przelotem (przeskokiem) wpadła do nas wiewiórka (chudziuteńka, w ogóle niepodobna do tej książkowej).

Teraz, gdy to piszę, pewnie jesteś już po posiłku – syty i szczęśliwy. A ja mam, jak zwykle, poranną przewlekłą chandrę, która jednak szybko minie, ponieważ przez noc otrzymałam wiele listów (a to dlatego, że sama dużo piszę). A jeszcze, mimo chłodu, wyszło słońce. To cieszy, bo to słońce i ono nie może nie cieszyć”.

– Był tam sobowtór twojego męża – zdecydował się w końcu Aleks – na śniadaniu. Tutaj. Szalenie podobny do tego ze zdjęcia, ale teraz mi się zdaje, że to nie on.

– Pewnie, że nie on.

– Więc OK. Więc wszystko w porządku.

– Przez cały ten czas on siedział w zupełnie innym miejscu.

– Wybacz mi głupie sugestie.

– To normalne.

– Był bardzo zdenerwowany.

– Wyobraź sobie, nawet mi to schlebia.

Z jakiego powodu był zdenerwowany?

– O, tak wszystko ci schlebia! Wierzysz w swoją władzę nad wszystkimi – i to jest cudowne!.. Ale nie wiem – z jakiego powodu.

– Ja też nie wiem.

– Nasz wzrok spotkał się może pięć albo sześć razy, w ogóle. A czemu plik do ciebie idzie tak powoli?

– A dlatego, że od ciebie idzie powoli.

– Widzisz, wiesz wszystko, wystarczy tylko o tym nie zapominać.

Na więcej nie było go stać, ale zanim finalnie zamknął pokrywę, przebiegł oczami jeszcze jedno – bezmyślną i stworzoną w pijackim widzie wiadomość od najlepszego przyjaciela podpisaną „niKKtoś”: „Piszę do ciebie z piekielnego raj, Chwała baju-baju. Jestem sam, ale nie całkiem. Mamy tu zebranie. Zastanawiamy się, co zrobić z wami, kabaczkami. U nas ciemna noc i jak jeden taki tu śpiewał, wiatr buczy w przewodach. Głowa do góry, chłopczyku. Wiktorio to poważny człowiek. Rozu-

miesz mnie. Masz przed sobą jeszcze trochę życia, przecież nie dokończyłeś swojej powieści. A jakby co – czekamy na ciebie w naszej wschodnio-polskiej Walhalli...”

Zasypiając pomyślał, że Miód jest jak karta dostępu w tym hotelu. Otwiera wiele drzwi, ale zanim ruszy winda albo zapadka się podniesie, trzeba zdążyć ją wyciągnąć.

Świtało, a ściślej nie zmierzchało.

W porcie lotniczym większość kobiet wyglądała wyzywająco. Aleks już wcześniej przypuszczał, że tak będzie. Wszak o piątej rano twarze i chód kobiet gotujących się wzbić w niebiosa pokrywał i odświeżał pewien fluor, przydając im prawie beczelną seksualność nieswoistą dla ziemian. Powiększone oczy, przesadnie czułe wilgotne uśmieшки adresowane zarówno do asysty, jak i do personelu, przenosiły w niebiańskie wyżyny także i jego samego – niewyspanego, nieogolonego, lekko skacowanego.

Ciekawie było obserwować domniemanych pasażerów klasy biznes; te ich ubrania jak fale kaszmiru, jasne lica lakierowanej skóry walizek, które jako bagaż ręczny taszczyli niby juczne muły, radujący oczy mosiądz i chrom różnego rodzaju rączek i klamerek. A przecież wszystko to kryło w sobie też niejaką grozę: tak jakby duma polujących chyłkiem lwów przemieściła się na stado antylop pasących się bezpiecznie w oczekiwaniu na inne, lepsze pastwiska, przepięknych w swej skrajnej niewinności.

Próbował sobie wyobrazić, jak, przechodząc kontrolę przed lotem, odwiązują szaliki i wyciągają ze spodni drogocenne paski, jak kobiety zrzucają z siebie stosy biżuterii, zdejmują szpilki na poślaczanych obcasach, ściągają platynowe zegarki z szafirami i układają w plastikowe łódki płynące niekończącą się wstęgą przez Letę aparatu rentgenowskiego.

W strefie bezcłowej wysoki mężczyzna, przypominający męża ze śniadania w hote-

lu, popadał w nerwowość spotykając wzrok Aleksa. Sprzedawcy, spełniając wymyśloną przez siebie powinność gościnności, zachowywali się asertywno-uprzejmie, czym, oczywiście, zbijali z tropu większość pasażerów. Jednak Aleksowi, który nie życzył sobie tak łatwo żegnać jej ziemi, ich nachalność była po prawdzie na rękę. Zgodził się, by drobna, młoda kobieta wręczyła mu piękną firmową torbę, do której w konsekwencji, po krótkich targach, powędrowała butelka miejscowej wódki. Sobowtór męża także wybrał wódkę, ale podwójną i na dodatek z innej półki. W porównaniu ze sprzedawczynią wyglądał jak olbrzym. Odpowiednio też otrzymał torbę podwójnego rozmiaru.

Kiedy zapowiedziano wejście na pokład, Aleks stanął w kolejce zaraz za nim – gotów był się założyć, że i tak będą mieli miejsca obok siebie. Tamten długo nie potrafił umieścić prawidłowo palca w detektorze linii papilarnych, aż Aleksowi chciało się chwycić go za nadgarstek, żeby przestał drżeć i żeby poczuć, jak straszna siła się w nim kryje. Gdy samolot rozpędzał się niczym uparty byczek przez nierówny teren i każda mulda, każda wyboina pasa startowego przekształcała się w wibrację gigantycznej konstrukcji, wymuszała przy tym ostrożne, a jednocześnie szybsze i coraz szybsze przeszukiwania mętnych od nocy fałd mózgu w poszukiwaniu jakiegoś punktu zaczepienia, w pamięci Aleksa, niczym lampki wyświetlacza „palenie wzbronione” i „proszę zapiąć pasy”, słabo zamigotały ostatnie słowa *niKKtosia*: „Gdyby co, nie zapomnij chwycić za miecz, lepiej nie zapomnij chwycić za miecz”.

...Ale w sercu nie czuł chłodu.

Przetłoczył Bogdan Knop



Siergiej Morejno / Сергей Морейно – urodził się w Moskwie (1964), mieszka w mieście Saulkrasti na Łotwie. Z wykształcenia jest matematykiem. Rosyjski poeta, prozaik, tłumacz. Członek Stowarzyszenia Pisarzy na Łotwie od roku 1991. Wydał ponad 30 książek: wiersze, eseje, proza, komentarze, tłumaczenia z łotewskiego, niemieckiego i polskiego (m.in.: «Стихотворения для Гроша» [„Dziesięć wierszy dla Grosza”] Wojciecha Pestki i «На крыльях зари за край моря» [„Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada”] Czesława Miłosza; wkrótce ma się ukazać «Мецца Лядзинского» [„Msza Ładzińskiego”] Romana Honeta). W roku 2008 otrzymał rosyjską „Nagrodę Rosyjską” i łotewski „Srebrny Kałamarz”, w roku 2016 nagrodę szwajcarską Domu Tłumaczy „Looren”. W majowym numerze „Odry” ukazał się przekład jego opowiadania „Kolor: biały” w tłumaczeniu Bogdana Knopa.

Lech Brywczynski

ZGUBA

Dramat w jednym akcie

motto:

Wszystko, co się zdarza, ma swój sens.
(Paulo Coelho)

Autor milcząco potakuje. Narrator głośno wyciera nos chusteczką. Wszyscy to słyszą, poza Michałem. Dlaczego? Nie wiadomo.

OSOBY:

Michał – obecny duchowo i cieleśnie, z czego jednak niewiele wynika.

Narrator – obecny tylko głosem. Mówi sam do siebie i nie dba o to czy ktokolwiek go słucha.

Autor – nawet głosem nie jest obecny. Próbuje ogarnąć wszystkie rozłazące się wątki, ale nie liczy na sukces w tej materii. Niecierpliwie czeka na chwilę, kiedy będzie mógł wreszcie pociągnąć za sznurek i spuścić kurtynę.

Zwykłe mieszkanie, w nim zwykłe meble i sprzęty domowe. I na dokładkę zwykły lokator, który właśnie w tej chwili do mieszkania wchodzi. Jest zmęczony, oddycha ciężko. Kładzie torbę z zakupami na kuchennym stole, potem otwiera lodówkę, by wyjąć z niej puszkowe piwo. Zamyka lodówkę, siada na krześle. Otwiera puszkę, pije łapczywie.

Narrator (znudzonym tonem, pozbawionym pozytywnych emocji): Michał... Kim on właściwie jest? Człowiekiem wybitnym? Nie, tego nie da się o nim powiedzieć. To przeciętniak w każdym calu, a w dodatku nudziarz. Harry Potter nazwałby go mugolem, bo faktycznie nic magicznego ani uduchowionego w sobie nie ma. Żeby chociaż był miły! Gdzie tam, to gbur, jakich mało. Może przynajmniej jest w jakiejś dziedzinie pożyteczny, robi coś dla innych? Nic z tego – myśli tylko o sobie. Ten egoizm nie przynosi mu zresztą korzyści, nie umie przekuć go na konkrety. Słowem: aspołeczny typ, płytki i prymitywny. Człowiek-porażka. Dno.

Narrator: Chodzi teraz po kuchni i czegoś szuka. Czego? Nie wiem i mało mnie to, by rzecz prawdę, obchodzi. (ziewa) Nie będę tu długo siedział, mam ciekawsze rzeczy do roboty.

Michał (sam do siebie, chodząc nerwowym krokiem tam i z powrotem): Gdzie to jest? Gdzie? Powinno tu być... Że też ja zawsze muszę coś zgubić... A tak mi to potrzebne!

Chaotycznie miota się po kuchni, przegląda zawartość kolejnych szuflad i półek.

Michał: O, batonik! Skąd się tu wziął? (rozrywa opakowanie, zbliża batonik do ust, ale w ostatniej chwili powstrzymuje się przed ugryzieniem) Wygląda niezbyt świeżo... (odsuwa batonik od ust, przygląda mu się podejrzliwie) Nic dziwnego, od dawna nie zaglądałem do tej szuflady... (wącha batonik, krzywi się z niesmakiem) Chyba spleśniały. Tfu!

Z odrazą rzuca batonik na podłogę, wyciera dłoń o ubranie. Podchodzi do szafki, otwiera ją, wyciąga z niej teczkę z dokumentami.

Michał: Może tutaj to będzie, kto wie... (siada na krześle, przegląda dokumenty): Ojciec zawsze mi powtarzał: „zostawiaj rzeczy w tym samym miejscu, potem łatwiej będziesz mógł je znaleźć”. A ja? Nigdy o to nie dbałem. Tak to jest, kiedy się nie pamięta o naukach z dzieciństwa. Jak w tym przysłowiu: „kto nie słucha ojca i matki, ten...” Co tam było dalej? Ten straci... Ten nigdy... Nie pamiętam. Ale

na pewno nic przyjemnego. *(z kwaśną miną spogląda na trzymane w dłoniach dokumenty)* Do niczego nie będą mi już potrzebne. Po co je tak długo trzymałem?

Wstaje, idzie na środek kuchni. Wysypuje na podłogę całą zawartość teczek, na koniec wyrzuca także i teczkę.

Michał: Trzeba będzie to wszystko potem wyrzucić.

Spogląda na duże, portretowe zdjęcie, wiszące na ścianie. Portret przedstawia piękną, młodą kobietę w stroju z belle époque. Podchodzi do zdjęcia, uśmiecha się.

Michał: Witaj, Nora! Wyglądasz dziś piękniej niż kiedykolwiek... Co mi powiesz, najdroższa? Masz dla mnie jakieś dobre słowo? *(po chwili)* Milczysz jak zawsze... Patrząc z portretu, widzisz wszystko, ale nie mówisz nic. *(rozmarzony)* Przypadkowo natknąłem się na to zdjęcie w internecie, pisało na nim: Eleonora. Samo imię. Żebym przynajmniej wiedział, kim byłaś, kiedy żyłaś, jakie miałaś nazwisko... Od razu się zakochałem. *(gładzi portret dłonią)* Ten wydruk komputerowy nie jest najlepszy, ramki też są liche. Nie pasują do piękna, które otaczają.

Cofa się o kilka kroków, wciąż wpatrując się w portret.

Michał: W tych oczach można się utopić. A te włosy, fantazyjnie wystające spod kapelusza, te delikatne dłonie, ta figura! Klasa! Teraz już takich kobiet nie ma.

Narrator: Żenada! Facet w sile wieku, któremu zdjęcie zastępuje kobietę. Co za upadek! *(po chwili)* Nie powiem, ładna bestyjka... Przynajmniej ma chłopina gust. *(śmieje się)* Niech się cieszy, że ma ją na obrazku, bo gdyby ożyła, to nie poświęciłaby mu nawet minuty!

Kopnęłaby go w sam środek... *(nie kończy zdania, bo chwytając go nagły atak kaszlu)*

M i c h a ł nieruchomieje na chwilę, nastuchuje.

Michał: Czasami mam takie dziwne uczucie, jakby ktoś tu był... Jakby mnie obserwował... Chyba nie ma tu ukrytych kamer? *(wzrusza ramionami)* Nie, nie, to jakaś paranoja. Bzdury! Nikt mnie nie podgląda.

Narrator: I tak sobie mów. Będzie ci łatwiej żyć. *(śmieje się)*

M i c h a ł zaczyna przeszukiwanie kolejnej szuflady. Wszystkie przedmioty bierze po kolei w dłonie, przygląda się im, potem niektóre wyrzuca na podłogę, a inne odkłada na miejsce.

Michał: O, moja legitymacja! Jaka to była partia? *(kiwa głową)* Konserwatyści! Udawali pobożnych ale do kościoła nie chciało im się chodzić. Chyba że jakaś kamera telewizyjna była w pobliżu. Nawet modlitw na pamięć nie znali. *(z oburzeniem)* Chciałem, żeby mnie wystawili w wyborach do Sejmu, ale nie, byłem dla nich „zbyt liberalny”. Hipokryci!

Rzuca legitymację na podłogę. Stoi przez chwilę, zamysłony, a potem znów zagląda do szuflady.

Michał: O, przecież to stara komórka Joasi! Miała ją wyrzucić, ale jak widać zapomniała... *(wyciera telefon z kurzu)* Tak się ucieszyła, kiedy dałem jej ten telefon na dwunaste urodziny! *(przysuwa sobie taboret, siada, bawi się telefonem)* Jak ten czas leci... Mieszka teraz daleko, bilety drogie. A ona aż tyle nie zarabia, żeby mogła mnie odwiedzić... Dobrze, że czasem zadzwoni albo napisze. *(wyrzuca komórkę na stertę szpargałów na podłodze)* Co można poradzić? To normalne, że dzieci dorastają i odchodzą z domu... *(przegląda zawartość kolejnych szuflad)*

Narrator: Pospiesz się, chłopie! Nie marudź!

Michał: Następna legitymacja... Liberalowie! Ci wystawili mnie w wyborach na radnego, ale na szarym końcu listy. Bo byłem zbyt konserwatywny, jak na ich partię.

Rzuca legitymację na stertę śmieci, a potem powraca do swoich poszukiwań. Znajduje kopertę ze zdjęciami, wyciąga jedno z nich i uważnie mu się przygląda.

Michał: Nie wierzę, zdjęcie naszej klasy! To było ze trzy miesiące przed maturą... (z rozrzewnieniem) Tyle wspomnień! Byliśmy całkiem niezłą paczką... (przygląda się kolejno postaciom, widocznym na fotografii) Ewa ładnie tu wyszła. Kiedyś poszedłem z nią do kina. Specjalnie kupiłem bilety w ostatnim rządzie. Całowaliśmy się przez cały seans... (wzdycha) Może gdybym ją teraz spotkał, coś by z tego wyszło? (z kwaśnym uśmiechem) Nie, na pewno nie... Srebro na głowie, złoto w kieszeni i żelazo w spodniach – takie są oczekiwania kobiet wobec facetów w moim wieku. A ja? Spełniam tylko jeden warunek: jestem już siwy.

Spogląda raz jeszcze na zdjęcie, a potem drze je na kawałki i dorzuca do sterty śmieci.

Narrator: Nuda, nuda i jeszcze raz nuda... (ziewa przeciągle)

Michał: Szlag by to wszystko... (do portretu) Ty musisz mi wystarczyć, Nora. Żyć w twoich czasach, z taką kobietą jak ty, to byłoby jak piękny sen... Pójść z tobą do kawiarni, przegadać cały wieczór na tematy egzystencjalne. W pośpiechu napisać wiersz na serwecie, żeby tylko nie uronić swoich myśli. A potem spacer i powrót do domu. Alkohol w rozsądnych ilościach też mógłby być. I oczywiście miłość – w każdym wymiarze, także fizycznym. (podchodzi do portretu, całuje wizerunek Nory) Ale najbardziej łączyłoby nas to, co nieuchwytnie i duchowe – poezja, filozofia... Tak, moją duchową krainą marzeń jest Młoda Polska.

Milczy przez chwilę, potem podchodzi do pufa, stojącego obok okna. Przykłada. Podnosi wieko pufa, wsuwa rękę do środka, by sprawdzić zawartość.

Michał: Może tutaj to znajdę? Zobaczmy... Cholera! Co to? (z grymasem bólu wyciąga dłoń z pufa) Żeby tak głupio się skaleczyć! Tutaj nie powinno być żadnych ostrych przedmiotów, skąd to... (spogląda na krwawiący palec, liże go, zagląda do pufa, ostrożnie wyciąga ze środka mały, metalowy przedmiot) No tak, to Górską Odznakę Turystyczną! Ona ma taki szpikulec... Pamiętam, jak prezes PTTK mi ją przypinał. Tatry, Pieniny, Beskidy... Biegało się kiedyś po górach, biegało! Nie to co teraz, kiedy człowiek ugrzązł na amen w życiowej szarżynie... Szkoda gadać.

A u t o r, kompletnie niezainteresowany akcją swojej sztuki, zastanawia się nad sposobami dekonstrukcji dramatu scenicznego poprzez rozzerwanie więzi bohaterów z czasem i przestrzenią, a także zanegowanie ich osobowości. Dochodzi przy tym do wniosku, że M i c h a ł niezbyt się do tego nadaje; jego osobowość jest zbyt mialka, żeby można ją było zanegować. Skąd się wzięła owa mialkość i kto był temu stanowi rzeczy winien? Autor obiecał sobie, że zastanowi się na tym później, od razu przyjął jednak aprioryczne założenie, że on sam na pewno żadnej winy nie ponosi.

Tymczasem M i c h a ł zainteresował się kuchenną szafką, stojącą w kącie. Wsuwa dłoń za szafkę, najwidoczniej wyczuwa coś palcami, ale nie może wyciągnąć. Wsuwa dłoń coraz głębiej, aż w końcu osiąga sukces. Wita znaleziony przedmiot okrzykiem zdziwienia.

Michał: Mój raport! Analiza lokalnego rynku ubezpieczeniowego! Ile ja się go naszukałem... (ze złością) Teraz się znalazł, akurat teraz? Tyle pracy w niego włożyłem, a kiedy trzeba było go dać szefowi i spijać śmietankę, to przepadł. Zsunął się między szafkę a ścianę, tak po pro-

stu. Co za pech! Robert skorzystał z okazji: zebrał te cząstkowe dane, które mu wcześniej wysłałem, przerobił i wręczył szefowi, dając do zrozumienia, że mój zaginiony raport też był jego dziełem. Szuja! *(z pasją gniecie raport, bezskutecznie usiłując przerwać go na pół)* I przez to awans mnie minął.

Wyrzuca raport na środek pokoju. Gniewnie sapiąc podchodzi do kredensu, sprawdza zawartość kolejnych półek.

Autor zastanawia się czy najlepszym sposobem na skrócenie sztuki nie byłoby wyrzucenie niektórych mebli; wtedy M i c h a ł miałby mniej szuflad i półek do przeszukania.

Michał: Nasze zdjęcie ślubne... Iwona ma teraz swoje życie, nawet nie wiem, z kim teraz jest i gdzie mieszka. *(zbliża do oczu jedno ze zdjęć)* Tutaj ona mi zakłada obrączkę. Przez lata jej nie zdejmowałem...

Po chwili wahania dorzuca ślubne zdjęcia do sterty szpargałów.

Michał: Po rozwodzie sprzedałem obrączkę, ale jeszcze długo miałem na palcu ślad po niej, taki rowek... Teraz śladu już nie ma, palec jest gładki. Ani obrączki, ani żony... Zero zmar-twień, zero radości.

Narrator *(ziewając przeciągle):* Nie mógł sobie kogoś znaleźć? Jaki problem? Nawet taki leszcz jak on powinien sobie z tym poradzić.

Michał: Niektórzy durnie pytają, czemu sobie nikogo innego nie znalazłem. Jakby nie wiedzieli...

Narrator: Durnie? Ja sobie wypraszam... *(ziewa raz jeszcze)*

Michał: Może powinienem poszperać na Facebooku i przygruchać sobie jakąś babę?

N a r r a t o r i A u t o r lubią to.

Michał *(kiwa przecząco głową):* Jestem bez szans. Niby coś tam sobą reprezentuję: intelekt, wrażliwość, uczucia... Ale to są tylko przyprawy, które mogą wzbogacić smak dania głównego. Kiedy tego dania brak, to przyprawami trudno się najeść...

Narrator *(zasypiając):* Naoglądał się programów kulinarnych i plecie bzdury.

Michał: Tylko na ciebie mogę liczyć, Nora. Właśnie dlatego, że cię nie mam, nie mogę cię stracić.

M i c h a ł wyciera nos chusteczką i wraca do swoich poszukiwań. N a r r a t o r śpi, natomiast A u t o r a ogarnia narastające poczucie zażenowania z powodu duchowego ekszibicjonizmu postaci, którą stworzył.

Michał: Jeszcze jedna legitymacja! Socjał-demokraci na rzecz wolności i czegoś tam jeszcze... *(kiwa głową)* Mają serce po lewej stronie, a portfel po prawej. Współczują najuboższym, po pieniądze na kampanię wyborczą idą do tych, przez których tamci są biedni. *(z żalem)* Chciałem zostać radnym, ale nie wystawili mnie na listę. To znaczy wystawili, ale na takim miejscu, że...

Macha lekceważąco ręką, rzuca legitymację na stos szpargałów. Otwiera barek.

Michał: Tutaj raczej tego nie znajdę. Wódki w tym barku też od dawna nie ma, a szkoda. Chętnie walnąłbym sobie kielicha... *(wyjmuje z barku kopertę, wyciąga z niej jakiś dokument)* A co to takiego? Rachunek za prąd! *(czyta uważnie)* Sto pięćdziesiąt złotych? Do kiedy? Cholera jasna, termin płatności dawno minął... Żeby mi tylko światła nie wyłączyli! *(spogląda raz jeszcze na rachunek, a potem składa go i wsuwa do koperty)* Trzeba to będzie szybko załatwić. Chyba zostało mi tyle na koncie...

Nerwowym ruchem chowa kopertę do kieszeni marynarki, zamyka barek. Zdejmuje torbę z zakupami ze stołu, kładzie ją na podłodze. Spogląda na leżącą na blacie gazetę, bierze ją w dłonie, pobieżnie przegląda, a potem zgniata i rzuca na podłogę.

Michał: Więcej reklam niż tekstu, nie ma co czytać.

Ze zdziwieniem stwierdza, że na blacie pod gazetą coś leży. Sięga po to, jego twarz rozjaśnia się w uśmiechu.

Michał: No i proszę, jest nareszcie moja zguba! W końcu znalazłem! (z triumfem podnosi rękę, w której trzyma znaleziony przedmiot) Mój bilet miesięczny... (wyciera bilet wierzchem dłoni, przygląda mu się) Jeszcze przez dwa tygodnie będzie ważny. Warto było poszukać.

Oddycha z ulgą. Chowa bilet do kieszeni, spogląda na portret Nory, a potem na leżącą na podłodze stertę szpargałów. Wychodzi.

Narrator: (ziewa przeciągle:) Co się dzieje? Chyba się trochę zdrzemnąłem... Coś przeoczyłem? (po chwili) Gdzie jest Michał? Wyszedł? Znalazł to, czego szukał? Nie po to zmarnowałem tyle czasu, żeby się nie dowiedzieć. Idę za nim.

Słychać tupot szybkich kroków Narratora, przechodzących w bieg.

KURTYNA

(Spuszcza ją A u t o r, który wreszcie znalazł pretekst, żeby zakończyć przedstawienie. Wersja oficjalna głosi, że pobiegł za Narratorem i Michałem, żeby poznać ich dalsze losy. Wersja nieoficjalna, ale podobno prawdziwa: poszedł się upić.)



Lech Brywczyński – ur. 28 I 1959 r. w Elblągu, gdzie mieszka do dziś. Studiował chemię i historię,

Był m.in. zaopatrzeniowcem, agentem ubezpieczeniowym i tłumaczem literatury fantasy (przełożył z angielskiego trzy powieści Michaela Moorcocka). W latach 1991-92 był wydawcą miesięcznika „Echo Elbląga”, a od 1992 r. do 1997 r. – dziennikarzem „Kuriera Elbląskiego”. W późniejszych latach współpracował m.in. z „Dziennikiem Bałtyckim”, z dwutygodnikiem „Regiony” i z „Magazynem Elbląskim”. W 2000 r. otrzymał II nagrodę w wojewódzkim konkursie poetyckim „O Ostródzki Laur Zielonego Liścia im. Michała Kajki”, a w 2003 r. zajął I miejsce w „Turnieju Jednego Wiersza o Laur Dojrzały” podczas VII Elbląskich Spotkań z Poezją. Jest autorem blisko 40 dramatów jednoaktowych, ma także na swoim koncie kilka opowiadań. Jego dramaty zostały opublikowane dwukrotnie: w 2002 r. ukazał się zbiór „Dramaty jednoaktowe”, w 2011 r. – zbiór „A jak Ajakos” (książka otrzymała tytuł Elbląska Książka Roku 2011).

MĘŻCZYŻNA NA GODZINY

(Poszerzona wersja opowiadania *Teatr samotnych*)

„Gdzieś już widziałam tę twarz – przypominała sobie. – Jest proporcjonalna, są w niej spokojne, ciekawe oczy i usta, które mogły być kiedyś kuszące, ale dzisiaj, w jego wieku, kolorem upodabniają się do reszty. Wygląda na takiego, który zbyt serio przeżywa nasze spotkanie, choć dla mnie jest ono tylko wieczorną zabawą”.

– Ładnie powiedziane, nawet bardzo. Każde zdanie wykute na pamięć, wystudiowane przed lustrem. Brawo, dało się tego słuchać – kobieta wyciągnęła z torebki chusteczkę obszytą koronką, przetarła nią okulary, które ze sztuczną starannością ułożyła w srebrzystym futerale. – Takie spotkania są dla mnie niezłą zabawą. Bo wy, panowie, te samce na godziny, pompujecie się na nie, żeby trzymać fason, być *trendy*. Bawią mnie skrywane spojrzenia rzucane ku atrakcyjnym kobietom przy innych stolikach, zakłopotanie dłoni czy niepotrzebne sprawdzanie pustych kieszeni. Udając luzaków, boicie się, czy nie stopnieją wam te sopolki w spodniach. Prawda? Bo nigdy nie wiadomo, jak skończy się taki wieczór? Co jeszcze się w nim wydarzy? – zadowolona spojrzała w stronę baru, uśmiechnęła się i dokończyła: – Ale od czasu do czasu wolę to niż orgię z telewizorem.

– Zapłacę – powiedział mężczyzna.

– Spokojnie. Monologując swoje trzy po trzy, chwilami wyglądałeś nawet znośnie – badała go wzrokiem. – Dawno nie miałeś kobiety. Masz to wypisane na twarzy. Tak, bardzo dużymi literami – mówiła powoli, bezbarwnie. – Jesteś takie wystrzelane wieczorne bawidełko. Zużyta skorupa, do której ponad pięćdziesiąt lat temu wiano wiadro poruszającego się czerwonego paskudztwa.

– To wszystko prawda – powiedział z ironią. – Na kupionych za grosze frajerach używasz sobie, jak na workach do boksowania. To doładowuje twoje akumulatory. Muszą być sprawne, żebyś nie zapadła się do tego bagna, w którym tkwisz.

– Brawo! Mocno powiedziane, bardzo mocno. Podoba mi się. To zapewne miało być grzmienie dzwonu, czy tak? Miało być, pomięty chłopcze, ale wyszedł ledwie brzęk dzwonka od roweru – zdjęła pierścioneł, przyłożyła go do oka jak monokl albo zegarmistrzowską lupę. – Dobrze jest, panie dzwonnicy, rozróżniać, przy jakich okazjach bije się w dzwon, a kiedy wystarczy tylko potrząsnąć dzwoneczkiem. I jeszcze jedno: nasze spotkanie, o którym masz szybko zapomnieć, to grymas pozłacanej ropuchy. Tak, dobrze słyszałeś – p o z ł a c a n e j!

– Bardzo dobrze słyszałem. Zapamiętam to po wsze czasy. Wreszcie przedstawienie skończone – sięga po filiżankę z resztkami kawy. – Tutaj, przez roztargnienie, zamieniono figurki. Przy tobie miał siedzieć bożek z odpowiednią rzeźbą mięśni, który całowałby twoje rączyny, które wciskałyby banknociki za koszulkę księcia, do rozporka i w inne sekretne miejsca. Tak miało być?

– Dokładnie. Skąd ty to wszystko wiesz?

– Masz, proszę – raptownie pochylił się ku kobiecie. – Chlastaj po tym służalczym pysku. Poniżej się tchórzy, którzy się poddają. Za szybko podniosłem przed tobą ręce do góry. Tego nie wolno robić, póki w tym czerwonym paskudztwie, tam, w środku, coś jeszcze krąży. – wstał, jakby szykował się do wyjścia. – Dlatego rozejdźmy się jak najszybciej.

– Chcę jeszcze napić się wina.

– Muszę przy tym asystować?

– Zgodnie z umową.

Zamilkli. Po podaniu wina kobieta skręciła papierową serwetkę w rulonik i umoczyła ją w kieliszku. Sięgnęła po następne i powoli, z namysłem znaczyła je czerwonymi kropkami.

– Nie przejmuj się. Mam w sobie taki zakalec, który nazywa się nieufność. Każdego wieczoru kładę się z nim spać, a rano przełykam go ze śniadaniem. Podobają ci się moje obrazy? – wzięła w palce poplamione serwetki, uśmiechnęła się do nich. – Nie przyszłam tu na rekolekcje dla sentymentalnych panienek.

– Wiem. Potrzebujesz dobrze rzeźbionych sterydów i pistoletu o kalibrze co najmniej dwudziestu centymetrów.

– To jeszcze czasem jest prawdziwe. A ty, naiwniak, uparłeś się, żeby odgrywać dzentelmena i przekonywać tego babiszona po drugiej stronie stolika, że za pieniądze na kilka godzin spotkała kogoś przyznanego. Gościa z innej planety – przedarła pokropkowane winem serwetki i wrzuciła je do wina. – Popatrz, oto ofiara uczyniona dla sztuki – pije wino omijając pływające w kieliszku bibułki. – Przecież musiałeś obiecywać sobie to i owo po spotkaniu paniusi z kasą? Może to miało być kilka wyjść do lepszych knajp? – pochyliła się w jego stronę. – „Wytrzymam”, zarzekałeś się. „A może namówię ją na jakiś wyjazd”, marzyłeś sobie.

– Do Florencji.

– Wreszcie mówisz do rzeczy. Ale dlaczego tam?

– Czy zawsze musi być „dlaczego”? Jest to dla mnie nadzwyczajne miejsce. Tylko tyle.

– A więc ja mam rację, krnąbrny, siwający chłopaku, bo ja znam się na rachunkach – uniosła ręce, jakby uciszała wszystko wokół. – Powiem ci więcej: biednych nie kochają. A wiesz, dlaczego? Bo przy

bogatych o wiele łatwiej jest udawać miłość. Nawet wielką miłość!

– Dzięki za złote myśli, ale chodźmy już.

– Dokąd zamierzasz pójść, mężczyzno na godziny? Nie zostawisz mnie. Kupiłam ciebie i, co moje, muszę wyssać do ostatniej kropli. Do ostatniej – akcentowała sylaby. – Nie jestem rozrzutna i dlatego mam trochę więcej od innych – pochyliła głowę, potarła dłonią czoło. – Dzieci mi w domu nie płaczą. Nigdy nie płakały – suwała kieliszkiem po stoliku. – Przed laty namawiałam niedomytego oberwańca, żeby mi zrobił dziecko. Niestety, za pierwszym razem mu nie wyszło. Potem chował się i nie chciał już próbować – Uniosła kieliszek. – Ja wtedy też byłam niedomyta i nie mogłam mu kupić nawet roweru.

– Przepraszam za oberwańca.

– Nudny jesteś. Jak się zabierasz do... no... jak się kiedyś zabierałeś do kobiety, dajmy na to, w lepszych czasach dla twojej fajki, to też najpierw przepraszałeś? – wydeła wargi. – Ja bym z takim nie mogła.

– U ciebie to norma: pani inkasuje i pani wypłaca. A jak się chłopczyk nie sprawi, to nie dostanie... – zawiesił głos – na odstresowanie się... z młodymi panienkami.

– Teraz to już przegiąłeś, ty... palancie na godziny – poderwała się gwałtownie, zacisnęła pięści. – Powinnam ci zdefasonować twoją nijaką, służalczą gębę.

Jest wzburzona. Nie wie, co robić. Sięga do jego dłoni. Nieruchomieje przez chwilę, waha się, ale – zaciskając zęby – zgietymi w szpony palcami ryje paznokciami po skórze. Zaskoczona brakiem reakcji mężczyzny, zagryza palce. Obserwuje różowe ślady, na których wykwitają krople krwi.

– Oddaj mi – krzyczy – zrób tak samo! Nie siedź jak mumia! – wyciąga ku niemu rękę. – Rozkazuję ci!

– Jedna z chińskich mądrości mówi: usiądź nad brzegiem rzeki i czekaj, aż będzie płynął trup twojego wroga.

– Możesz sobie siedzieć nad tą twoją rzeką do... do usranej śmierci. Po mnie to spływa – sięga po kieliszek z winem, ale widząc pływające w nim papierki, bierze ten, z którego pił mężczyzna. – Myślisz, że mnie to zaboli? Że się zmartwię. Nie, mnie nigdy nic nie boli. Mnie już dawno temu wszystko wyboleło. Wszystko! – przeczesuje palcami włosy. Niespodziewanie pochyła się, przyciąga zadrapaną dłoń mężczyzny, zaplata ją palcami, zamyka oczy i zbiera wargami czerwone krople. – Żebyś się mną nie zakażył – mówi szeptem i skrywa w niej swoją twarz. Najpierw delikatnie, jakby to były ręce dziecka, a potem coraz mocniej i mocniej, aż do wstrząsu całego ciała. Uspokaja się. – O, Boże – szepce – zdarzyło mi się to, co dopada czasem dziewczyny na dyskotekach, te najmłodsze. Teraz muszę napić się wina – woła kelnera. – Koniecznie!

– Przepraszam, ale minęła już pora zamknięcia lokalu – wydukał nieśmiało chłopak.

– Wiem, ale dla mnie jest to bez znaczenia. Proszę o całą butelkę wina. Na razie tylko proszę. Młody człowieku, przekręć klucz w drzwiach, bo ja kupuję tę budę na czas nieokreślony. Jeśli zechcę, to nawet do rana. Zapisz to sobie. „Bywałam z lepszymi – zamyśliła się – mieli napakowane w spodniach, ufryzowane, pomalowane na blond czupryny i bycze karki. Ale nigdy, przy żadnym, między ludźmi, nie zdarzyło mi się zmoczyć majtek”. Kelner podaje wino. – Proszę, rozlej – łapczywie wypija kilka łyków. Po dłuższym milczeniu podniosła wzrok i zapytała: – Jak trafiłeś między papery tamtych z „matrymonia”?

– Po co chcesz to wiedzieć, skoro zaraz pójdziemy stąd?

– Nigdzie nie pójde. Płacę i proszę się wyświadczyć, bo nie dostaniesz rozgrzeszenia.

– Z czego mam się spowiadać? Z banału? Z chwili słabości i głupiej ciekawości? Tobie, dla której religią są papierki bankowe? Łasisz się do nich, rozczulasz nad nimi.

– Nie wstydzę się tego – demonstracyjnie obejrzała dłonie. – Akurat dzisiaj mam taki grymas, żeby zasiąść w konfesjonale – poprawiła się na krześle. – Czasem za obiekt mojej przewrotności biorę to, co mnie niewiele interesuje. Wystarczy?

– Czyli przewrotność do kwadratu.

– Może, ale nie pozwól czekać do rana.

– Dobrze, niech ci będzie – spojrzał na zadrapania na dłoni i zaplótł palce. – Pękło mi zdrowie, kurowałem się miesiącami. Moja kobieta skrzyła pod inny adres. Dopadł mnie strach. Na przeżywanie depresji i psychologa nie było mnie stać. Któregoś dnia wszedłem do nich. Niczego nie ukrywałem, ale ani jedna kobieta nie była zainteresowana. Pozbierałem się, odżyłem i zapomniałem. Zadzwonili trzy dni temu. Poprosiłem o czas do namysłu, wahałem się, ale ciekawość wygrała z logiką. Tylko tyle. I stąd twój dzisiejszy ambaras.

– Nie zadręczaj się. Kiedyś mężczyzna był samcem i wojownikiem. Dzisiaj pozostał tylko dawcą nasienia, ale dobre i to. Jestem wspaniałomyślna – daję ci rozgrzeszenie.

– Skąd u ciebie nagle tyle łaskawości?

– Nie ciesz się, u mnie nie dostaniesz nic za darmo. Wszystko odpracujesz – dopiła wino. – Mówiłeś wcześniej, że w studenckich czasach, kiedy bawiliście się w teatr, pusta scena udawała kawiarnię. Odwróć to – niech pusta kawiarnia udaje dla nas teatr?

– Młodość lewituje w nas szufladami pełnymi pomysłów, ale dzisiaj nie jestem pewien, czy tak było naprawdę, czy może to od kogoś słyszałem.

– Słyszałeś to od siebie – wskazuje na niego palcem – od tego faceta, który siedzi tu smętny, z poranioną ręką – dopija wino. – Popatrz, jak to jest z ludźmi. Byłeś męski i wart zainteresowania, dopóki walczyliśmy. Od czasu, gdy przeżyłam przy tobie coś dla mnie ważnego, nieoczekiwanego, zamiast poczuć się potrzebnym, może nawet dumnym, stałeś się byle jakim, zmiętym smutasem.

Mężczyzna bez słowa odszedł w głąb zacienionej kawiarni. Przystawał przy stolikach, przyjrzał się dekorującej wnętrze maszynie do szycia, chodził wokół starej kamery fotograficznej.

„Pewno się obraził. Może za bardzo go niszczyć; wojowanie nie jest jego mocną stroną. Za grzeczny; tacy najczęściej obrywają – mówiła do siebie. Ci z «matrymonia» po raz pierwszy podrzucili mi gościa, z którym mogę się poboksować. Lubię takich. Poprzedni to byli eleganci z odzysku, udający pawianów; na okrągło międlili kilka wyuczonych banałów i ślina im ciekła na myśl o zakrapianej kolacji. Jeden to cały czas plótł rymowanką, choć sepleniał jak moja zmywarka. Brzuch mnie rozboleł od tych jego miłości, piękności, aniołów, sztołów i innych dziwactw”. Mężczyzna powrócił i usiadł przy stoliku.

– Nie mogłam się doczekać – śmiała się. Muszę przecież nadal wysysać z ciebie soki, bo inaczej słabnę – starała się być przymilna. – Co widziałeś między tymi rupieciami? Czy były tam duchy?

– Oczywiście. Wkrótce tu przyjdą i będą straszyć.

– Ale ty je przegonisz, obronisz mnie przed nimi.

– To nie było przewidziane w umowie. Ze swoim walecznym charakterem sama dasz sobie radę.

– Nudne to. Myślałam, że będzie ciekawiej.

– Nie czas na ciekawość, jest przecież godzina snów, która sączy w nasze głowy magiczną chemię. Może stąd w wyobraźni biorą się duchy?

– Nie wierzę w duchy.

– Ale przy maszynie do szycia słyszałem ciche popiskiwanie. Może to był duch, a może jakaś zbłąkana mysz – zaplótł ręce na piersi. – Takie to są nocne wariacje, halucynacje i mistyfikacje – spojrzał ku lampie, uśmiechnął się. – Może nie jesteśmy jedynymi aktorami w tym teatrze? Może gdzieś obok są jeszcze inni samotni?

– Boże, jak ty ładnie mówisz. Mogłabym tego słuchać i słuchać – objęła dłońmi twarz. – Może znowu jestem zwyczajną ropuchą, która czeka na zaczarowanie?

– Naczekasz się, oj, naczekasz...

– Nie jesteś ciekawy, skąd mógł pochodzić ten głos, który słyszałeś? Nie chciałbyś usłyszeć go jeszcze raz? – pochyliła się ku mężczyźnie. – A może ty kłamiesz? Jesteś czarownikiem i potrafisz nawet włamać się do mojej kasy?

– Ty znowu o pieniądzach, a miało być o teatrze. Dobrze, chodźmy w odwiedzin do maszyny do szycia. Ona wygląda jak martwa, ale przed laty ktoś szył na niej palta i spodnie. Popatrz, tutaj, pod stopką, jest świeżo przesyty materiał. A więc ona wciąż żyje. Żyje dotąd, póki jest między ludźmi, póki nie zabije jej trąd śmietnika.

– Uważasz, że my, po latach, dajemy jej życie?

– Ja wciąż przechowuję w domu taką pracowitą maszynę, którą moja mama dostała w prezencie ślubnym od swojej babci – pogłodził wytarty korpus maszyny. – Był czas, że dzięki niej mogliśmy przetrwać.

– Poczekaj, przyniosę wino... – wraca, podaje mu butelkę. – Napij się, w naszym teatrze można z butelki.

Mężczyzna oparł się o krawędź blatu maszyny, poruszył jej kołem pasowym i powiedział spokojnie:

– Ponad sześćdziesiąt lat temu, na tej maszynie, żydowski krawiec Abram, za to, że nie wywieziono go do obozu, szył niemieckim dostojnikom najelegantsze garnitury w Generalnej Guberni. Trwało to do któregoś popołudnia zimą 1944 roku. Wtedy odwiedził go doktor Klaus. Zbliżał się front. Sturmbannführer Hopfer, jego przełożony, człowiek precyzyjny i odpowiedzialny w najdrobniejszych szczegółach, za powierzona mu do spełnienia misję oznajmił, że na krawca czekają jego bliscy. Wytęsknili się, bo mistrz igły dostał w prezencie od Führera dwa i pół roku życia. Pięknego,

bo pracowitego życia. A cóż może być bardziej godne?

– Żydzie – powiedział Niemiec, starając się nie oddychać zaduchem pracowni – ja i moi koledzy nie będziemy już szyć u ciebie ubrań.

– Doktorze Klaus, cóż to za mężczyzna bez garnituru szytego na miarę? – krawiec udawał, że nie wie, o co chodzi. Zaraz jednak ciężko opadł na stół przy maszynie, jakby tylko ona mogła uchronić go przed losem. – Nawet jak ma się tak piękną figurę, jak pan doktor – przekonywał – to przód marynarki musi mieć podkład ze sztywnego płótna przepikowanego najlepszą kaliską włosianką.

– Front blisko – powiedział Niemiec.

– Tak też myślałem – Żyd przytakiwał. – Zbliża się koniec mojego fachu. Moskale idą, oni nie znają się na elegancji. Oni się znają na Syberii. Na tym zawsze znali się najlepiej. Wiozą ją nam w waciakach – krawiec rozpaczliwie budował barykadę, która by mogła osłonić go przed kulą. – Doktorze Klaus, nie można obrażać boskiego oblicza, wysyłając do niego żydowskiego krawca z centymetrem na szyi i przy amerykańskiej maszynie do szycia marki Singer. Wy, Niemcy, jak nikt inny kochacie technikę. I to jest piękne.

– Milcz, Żydzie – przerwał oficer.

– Drogi doktorze, trzeba panu wiedzieć, że dobry krawiec zawsze ma przygotowany strój na spotkanie z Najwyższym. Ja również – drżąc i ledwie oddychając dokończył: – Pozwoli pan, że go założę?

– Tylko szybko – ponaglił Niemiec, bo chciał to już mieć za sobą i po chwili wahania usiadł na środku izby. Przypominał sobie pierwszy uszyty przez Żyda sztuczkowy garnitur. Dwa lata temu zabrał go, jadąc do Drezna na urlop. Błyszczał w nim na balu, bo dobry tancerz, a takim był doktor Klaus, szczególnie cenił sobie dobrze skrojone i uszyte z talentem ubranie. Wówczas bawił się po raz ostatni w swoim

rodzinnym mieście, które wkrótce przestało istnieć. Ocknął się z chwili wspomnień, krzyknął na Żyda. Nikt nie odpowiedział. Sięgnął po parabelkę i kopniakiem otworzył małe oszklone drzwi z połówką brudnej franki. Pośrodku izby, na kablu od lampy, wisiało odświeżone ubranie krawca. Do akсамitnego kołnierza przypięta była kartka, na której Żyd nagryzmoilił: „Znów przydała się dobra krawiecka robota”. Czarne ubranie zakołysało się od wystrzelonych ku niemu kul i doktor Klaus, rozglądając się i nie chowając pistoletu, wyszedł na świeże powietrze.

– Dziękuję ci za uratowanie żydowskiego krawca – powiedziała kobieta. – Pozostał wśród żywych z jego amerykańską maszyną do szycia, chociaż ten niemiecki doktor bardzo chciał, żeby dołączył do swoich, którym już wcześniej jego ziomkowie ofiarowali wolność przez komin – sięgnęła dłonią do jego twarzy i delikatnie odwróciła ją ku sobie, spojrzała mu w oczy. – Przeczytałeś gdzieś o tym czy sam wymyśliłeś?

– Nie pamiętam. Chodźmy już stąd, jest późna godzina – przeszli do stolika. – Zostawmy mroczne kąty. Na dzisiaj wystarczy.

– Mam pójść do pustego domu i w zimnym łóżku czekać na leniwego księcia snu, a potem zapraszać go kolejnymi porcjami prochów? – ożywiła się. – Przeżyłeś kiedyś miłość albo może wierzyłeś w nią tylko?

– Nie zadaje się takich pytań facetowi wynajętemu na godziny.

– Wiem, to nieelegancko. Zapytałam, bo nawet przyzwyczaiłam się do ciebie, tak jak się można przyzwyczaić do psa sąsiada. Tylko tyle.

– Setnie dziękuję ci za tę kość, ale nie wiem, czy pozwolisz mi ją oblizać?

– Łaskawie pozwalam – powiedziała, zapatrzona w jakiś punkt na ścianie. – Bywa, że czasem, kiedy skończę już codzienne wojowanie, to zawiązują mi się w supeł te wszystkie czerwone części w środku i wtedy pytam sama siebie, czy za te moje pozgar-

niane z różnych stron pieniądze będę mogła sobie kupić jakąś oszukaną miłość?

– Na pewno. Mówiłaś niedawno, że bogatych łatwiej jest kochać.

– Spina mnie to jak kleszcze dentysty przy rwaniu zębów. Ale nie robi mi się od tego mokro w majtkach. Nie lubię solo – zdejmuję zegarek, masuje ślad po nim, ogląda go. – Czujesz się czasem skopany przez Boga i Los?

– Przez ciebie też nie czuję się skopany.

– W samotności nie wwiercasz się między te swoje czerwone śmieci wierząc, że znajdziesz tam to, czego wszyscy szukamy: tę grudkę złota na szczęście, które przecież każdemu się należy?

– Znalazłem, ale była fałszywa, z tom-baku.

– Zdarza ci się, że kiedy masz oczy zachłapanie codzienną breją i nie chcesz niczego ani nikogo widzieć, to wracasz do wspomnień z dzieciństwa? Myślisz o czymś, co cię kiedyś cieszyło?

– Przepraszam, czy noc jest najlepszą porą na prowadzenie przesłuchania?

– Oczywiście, praktykują to wszystkie policje na świecie. A ty jesteś w moim kryminale. Jeśli chcesz być wolny, musisz jeszcze cierpieć.

– Znaczą, że jestem w matni.

– Więcej: ciężko harujesz w moich kamieniołomach.

– Nie mam wyjścia?

– Jedyńm jest inny kamieniołom, o bardziej zaostrzonym rygorze.

– Poddaję się – westchnął, uniósł i opuścił ramiona. – Nie byłem rozpieszczany. Mieszkaliśmy na przedmieściu. Z kawałków drewna strugałem klipy i łódki, pływające po deszczu, w ulicznych rynsztokach. Któregoś popołudnia ojciec przyprowadził zgruchotany rower, ale zrobił z niego cacko. Nawet pomalował na zielono. Jeździłem nim z chłopakami za miasto. Wariowałem z radości.

– Koloryzujesz? Patrząc na ciebie trudno w to uwierzyć.

– Dostałem swoje i zmiękle – rozchylił koszulę. – Wiesz, gdzie robią takie tatuaże.

– Wiem, o więcej nie pytam – sięga do złotego naszyjnika, chwilę przeciąga go w lewo i w prawo. – Mnie ciągnęło do błyskotek, najbardziej do tych ze złota. Na sąsiedniej ulicy, w takiej ciupce przy bramie, była pracownia jubilerska. W jej wąskim oknie wisiała stronica wycięta z zagranicznego pisma, ze zdjęciem dużego, złotego pierścionka, nad którym była złota korona. Ubzdurałam sobie, że w tej klitce ktoś wyrabia takie piękne rzeczy.

Często gapiałam się na pierścionek i koronę, aż któregoś jesiennego dnia zebrało mi się na odwagę i weszłam. Skłamałam, że jest mi zimno i zapytałam, czy mogę się ogrzać. Przygarbiony nad stołem człowiek pozwolił. Siedziałam na stołku prawie bez ruchu, ale nigdzie nie widziałam ani pierścionka, ani korony. Za jakiś czas żona jubilera przyniosła mu obiad w aluminiowych menażkach. Podzielił się ze mną kartoflanką. Czekałam, aż zrobi tak samo z prażuchami okraszonymi słoniną, ale on przyjrzał mi się, powiedział, że mam ładne oczy i pokazał mi takiego pająka ze złotych drucików, który miał zamienić się w broszkę. Zgłodniałam i pragnęłam tylko tych prażuchów. On jednak sięgnął po skórzany woreczek wiszący na gwoździu. Poruszył nim kilkakrotnie, jak grzechotką, dał mi do ręki i powiedział, że to jest jego skarb. Skrzywiłam się, wydułam wargi, no bo kto to widział, żeby kawałek zeszytej skóry był skarbem; od prażuchów pachniało skwarkami.

– Dziadek się ucieszył, że znalazł słuchacza.

– Może tak było? Nie wiem. Temu jubilerowi, kiedy tworzył swoje cacka z przyniesionego przez ludzi złota, zawsze zostawały drobiny złotego pyłu. Zmiał je i gromadził w skórzanym woreczku. Pod koniec życia, z tych okrucichów chciał zrobić złotą różę i zostawić ją bliskim. Wierzył, że po-

zostanie w niej on i jego dusza. Woreczek zapełnił się do połowy, ale przyszła wojna i głód był coraz większy. Jubiler wyprzedził się ze wszystkiego. Pozostały mu tylko złote opiłki, zbierane przez połowę życia. Zawartość skórzanego woreczka stała się szansą na przeżycie, nawet krótkie. Przetopił je na grudkę złota i wymienił ze szmuglerzem na trzy kilo słoniny i trochę masła, które okazały się zbawienne. Tamtego handlarza w czasie kolejnego szmuglu złapali Niemcy. Za to stawiali wtedy pod ścianą. Przeżył, bo wykupił się tą samą grudką złota, którą nosił przy sobie.

– Niewiele tego uzbierałem od wojny – wziął z moich rąk woreczek. – Nie wystarczy nawet na stokrotkę – powiedział i opuścił głowę. – Ale moi bliscy żyją. Ty, mała, możesz w to nie wierzyć, ale zapamiętaj, że miałaś w dłoni czyjś skarb – i wieszając woreczek na gwoździu, dodał: – Chciałbym, żebyś miała w życiu swoje skarby. Dużo skarbów – kobieta sięgnęła po wino. – Pamiętam, że ten woreczek bardzo rozgrzał mi dłoń. Wiele lat później wróciłam na tamtą ulicę. Chciałam odkupić albo tylko dotknąć pierwszego i ostatniego skarbu, jaki miałam w rękach. Ale pracowni nie było, ktoś zamurował dawne drzwi. Nikt nie pamiętał o jubilerze – zakotyła kieliszkiem. – Dolej mi jeszcze wina. Czy w dzieciństwie miałeś w ręku jakiś skarb? – upiła kilka łyków z kieliszka. – Czasem myślę o niespełnionym marzeniu starego jubilera – odstawiła kieliszek i klasnęła w dłonie. – Wiesz, wydaje mi się, że jedynym miejscem, gdzie mogłabym zobaczyć złotą różę, są te miniaturowe sklepiki jubilerów-artystów na moście Arno we Florencji. Pojedźmy tam. Jeśli spotkamy złoty kwiat, to chociaż napatrzymy się na niego. Może komuś z nas przyniesie szczęście?

– Nadal bawisz się moim kosztem.

– Mówię serio. Wiem, że w samotności najczęściej mającą ci się gołe baby i tamto miasto. Niezwykłe miasto. Zapraszam cię do niego.

– Rozumiem, chcesz przez to jeszcze raz przypomnieć, że cały ten wieczór jest na niby i prawdziwe jest w nim tylko zadawanie sobie bólu.

– Ty to powiedziałaś. Czy w czasie naszego spotkania nie było ani jednej dobrej chwili?

– To były tylko maski. Za progiem tej kawiarni zderzymy je z siebie.

Kobieta wstała zdenerwowana. Przeszła wokół stolika, poprawiła krzesła. – Wiem, na takim wyjeździe mógłbyś czuć się jak utrzymanek, ale nie to byłoby najważniejsze – mówiła głośno i szybko. – Ty pojechałbyś tylko z dziunią, z którą trzymalibyście się za ręce i patrzyli sobie w oczy. Ze mną: w podróży, knajpie czy muzeum przeproszałbyś wszystkich wokół, że ty – ekscelencja, masz przy sobie takiego babsztyla. Zawsze taki byłeś. Szedłeś do łóżka tylko z tymi, które sobie wybrałeś. Masz wypisaną na twarzy pogardę dla gorszych. Zawsze kalkulowałaś: ta ma nogi za wąskie o dwa centymetry, za wysoko albo za nisko nosi tyłek, a może jeden cycek ma większy od drugiego? Żadna z tobą nie mogła wytrzymać.

– Wolisz takich, którym wszystko jedno. Zapiją się, odwróć oczy do ściany albo zakryją jej twarz gazetą i ważne jest tylko to, żeby ona była ciepła i ruszała się od czasu do czasu?

– Jesteś śmieszny, buntowniku bez powodu, ale powiedz mi jeszcze, co byś zrobił, gdybym znowu moimi paznokciami zostawiła ci ślady na drugiej ręce? A potem przytuliła się do niej i jeszcze raz poczuła to ciepło płynące po udach?

– Zażądał dodatku za pracę w warunkach szkodliwych.

– Odgrywasz się, świetnie. Mówisz jak zawodowiec. Gdybyś nie nosił w spodniach tego patyka po lizaku, to mógłbyś znaleźć robotę w tym fachu.

– A skąd wiesz, że ten patyk nie potrafi zamieniać się w trzonek od młotka?

– Wiem, bo przejrzałam twoje milczenia. Jesteśmy tu ze sobą kilka godzin i, przyznaj, czy choć przez sekundy chciałeś zobaczyć

mnie naga? Nie jestem Wenus, wiem to aż do bólu. Ale jestem kobietą. Czy pomyślałeś, że czasem płaczę, zapijam samotność albo leżę chora z głową zaplątaną myślami o śmierci? – pochyliła się nad mężczyzną. – Obrzucałam cię... brudami..., ale wyobrażałam sobie, jak wyglądasz, kiedy jesteś nagi. Nie przeszkadzało mi, że przypominałeś oskrobany grzyb, a między nogami dyndał ci ten patyk po lizaku. Byłam pewna, że gdybyś chciał odejść, to nie pozwolę, zatrzymam cię siłą. Nie kupię sobie ciebie, rozumiesz, ale zatrzymam! Choćby na krótko.

– Niczym mnie nie zatrzymasz. Dość mam twoich pyskówek i bajek o nieszczęściu. Zadzwonię po taksówkę – wstaje, odchodzi od stolika. – Niech cię zawiezie do męskiego burdelu. Tam poczujesz się najlepiej.

– Chłopcze, w burdelu ani ja, ani ty, nie zostawimy tego, co boli – podchodzi do niego, staje mu za plecami. – Bo samotność to cierń, który rozrasta się w nas i kolcami pokrywa ciało. To nie moje palce, ale one skaleczyły twoją dłoń. Patrzałam, jak pokrywała się czerwonymi kropelkami i myślałam, że złapiesz mnie za rękę, ściśniesz do bólu, może ją nawet wykręcisz. Nic się takiego nie stało; twoja krwawiąca ręka leżała martwa, jak kawałek mięsa. Sięgnęłam po nią, zlizawałam czerwone ślady i wtuliłam w nią twarz. Potrzebowałam tego. A za kilka chwil zdarzyło się coś, czego w publicznym miejscu nie przeżyłam z żadnym z tych, którzy mieli napakowane w spodniach – pochyliła się ku ramieniu mężczyzny. – Na pewno widziałeś to, ale nie spojrzaleś na mnie ciepłej, może czulej, tylko wciąż, jak na tandetny towar z supermarketu.

– Wystrzelałaś już przeznaczoną na dzisiaj amunicję? – odwrócił się do kobiety i spojrzał jej w twarz. – Może powinniśmy otrzepać ręce z prochu i wywietrzyć dym po strzelaninie.

– Chciałabym cię zabić, zamordować, ale jeszcze poczekam. Mam cię dość. Idę poszukać lepszego miejsca.

„Dobrze, że kończy się moja «randka w ciemno». Ale tragedii nie ma; ręka się zagoi, o reszcie się zapomni. Bo, jak mawiał mój świętej pamięci tato: rozumu uczyć się trzeba do końca życia. A gdy go zapytałem, czy warto i dlaczego tak długo, odpowiedział: żebyś odchodził z tego świata z honorem. Hm... z honorem. Przecież to dzisiaj zapomniane i egzotyczne słowo”. Kobieta wróciła i usiadła przy stoliku.

– Co tak szybko? – zapytał.

– Katastrofa. Nawet duchy nie raczyły mnie postraszyć.

– Mogłaś się nie obrażać, tylko poczekać.

– Miałam czekać do rana? – sięga do futerału z okularami i kilkakrotnie otwiera go i zamyka. – Ty jesteś dla nich swój. Aktor z aktorem się dogada. Ja nie studiowałam i nie bawiłam się w teatr. Bawiłam się w życie – staje przed mężczyzną. – Mam do ciebie ostatnią prośbę. Słowo daję, że najostatniejszą: zrób mi zdjęcie tym starym aparatem.

– To niemożliwe. Nie lubię fotografów i fotografowania się.

– Nie możemy zostawić widowni bez finału – i dodaje prosząco: – Zrób to dla mnie.

Całuje go w czoło: – Żebyś miał dobre pomysły – w nos: – Żebyś wyczuł klimat epoki – w usta, najdłużej: – Żebyś to wszystko pięknie opowiedział – gładzi go po twarzy. – Idź już, oni na ciebie czekają. Przygotuj nocne studio.

– Za wiele ode mnie wymagasz.

– Trudno, dodaję za pracę w niebezpiecznych warunkach.

– Wreszcie słyszę od ciebie konkrety – uśmiechnął się. – Znaczy to, że dał mi coś ten wieczór, nie jestem taki tępak, jak ci się wydawało.

Odszedł.

„Nie mogę się doczekać tej fotografii. Cała trzęsę się z nerwów. Gdybym musiała się rozebrać na środku ulicy, to nie miałabym takiej tremy. Może on już gotowy?” – puka o blat stolika.

– Panie fotografie, czy można?

– Zapraszam.

– Dzień dobry. Proszę mi zrobić zdjęcie. Przyjechałam do pańskiego studia z głębokiej prowincji, a wszystko po to, żeby potomności zostawić po sobie jak najlepsze wrażenie. Wiem, że to nie jest łatwe w moim przypadku, ale z pańskim talentem...

– Ta kamera, szanowna pani, robi fotografie tylko w stylu epoki, z której pochodzi i nie chce przestawić się na nowe.

– Świetnie, takiej fotografii potrzebuję.

– Jeśli tak, to proszę się przygotować. W poczekalni jest lustro.

– Mam tremę, ale ufam pańskiemu talentowi – poprawiła włosy i strój.

– Pani gotowa, to zapraszam.

– Proszę stanąć twarzą w stronę obiektywu. Nie tak, za blisko. Proszę krok do tyłu, o, tak, teraz dobrze. Twarz bardziej w prawo, jeszcze trochę, teraz dobrze. Proszę lekko odchylić się, czoło wyżej, to pozwoli odsłonić oczy. Ma pani ładne oczy koloru leśnego miodu, a w oczach – podobno – odbija się nasza dusza.

– Bardzo pan miły.

– Teraz proszę uważać, nie ruszać się i nie mrugać. Uwaga... raz... dwa... trzy. Bardzo dobrze. Teraz poczekamy, aż się wywoła. To trochę potrwa. Usiądźmy – stawiają krzesła w pobliżu kamery.

– Czy oczekując, aż chemia wydobędzie mnie z kliszy, mógłby pan opowiedzieć, co kryje się w tym skarbcu, za okiem obiektywu?

– Niechętnie sięgam po jego sekrety. Doskonale pani wie, że tajemnica skrywa często urok naszego szczęścia. Czasem lepiej jej nie znać.

– Proszę zdradzić choć cząstkę. Przez fotografię, którą mi pan zrobił, weszłam do historii tej kamery.

– Robię zdjęcia, ale nie jestem jasnowidzem.

– Ma pan coś z niego. Te pańskie przenikliwe oczy, ta żywa mimika twarzy, miękkie,

ale przejmujący głos. W panu jest jednak coś z niego.

– Wiem, że pani żartuje, ale słucham tego z pokorą, wszak jest pani moją klientką. Zgoda, może coś usłyszę – przysunął twarz do miecha aparatu, położył dłonie po jego obu stronach, zajrzał do obiektywu.

– Na razie ta bardzo starsza dama nie jest chętna do zwierzeń. Poczekajmy, może się rozkręci. W tej chwili pokazuje mi tylko jakieś stare szklane klisze.

– Proszę niczego nie uronić. Niech jej pan powie, że robimy taki mały teatr, że ona gra jedną z głównych ról. Przecież to kobieta.

– Spróbuję – nasłuchuje. – Wydaje mi się, że to ją przekonało i zaczęła mówić, szkoda, że niezbyt wyraźnie. Ale bądźmy cierpliwi – mówi powoli, z przerwami. – Zanim młody mężczyzna o imieniu Karol, pochodzący z ziemiańskiej rodziny z Kresów, stał się posiadaczem tego aparatu – mężczyzna objął dłonią nogę drewnianego statywu – najpierw bardzo chciał być artystą malarzem. W czasie, gdy mozolił się, by przekładać na różne style i sposoby najwykleszone piękno, Europie zachciało się Wielkiej Wojny. Kazali mu zostawić w Wiedniu farby i sztalugi, i z plecakiem i karabinem nosić skrzynki z taśmami filmowymi za operatorem, który, kręcąc korbą kamery, uwieczniał wzajemne szlachetowanie się niewinnych chłopaków, nazywanych prosto i dumnie – żołnierzami.

– Dlaczego tak smutno się zaczyna?

– Ze staroci, tak jak ze starych ludzi, trudno wydobyć coś wesołego. Wkrótce Karol zasłużył na pierwszą reprimendę dowódcy, bo zamiast rzucić się ku opuszczonej kamerze i do utraty tchu, a może i życia, filmować dalszy ciąg trwającej jatki, ośmielił się ratować kolegę operatora ugodzonego jakimś żelastwem. Niestety, śmiertelnie. To, co mu nadal kazano robić, nie miało nic wspólnego z malowaniem, ale brzydził się wysłuchiwanie przekleństw wydobywa-

jących się spomiędzy rzadkiego, żółtkłego uzębienia dowódcy, miotanych z fetorem skisłego alkoholu. Ustawiał więc kamerę byle gdzie i filmował. Przepraszam, czy pani nadal łaskawa jest tego słuchać?

– Tak, oczywiście. Oczywiście zamykam dlatego, że w ten sposób jestem bardziej skupiona. Podobnie słucham dobrej muzyki – sięgnęła do naszyjnika. – A w pana ustach słowa stają się muzyką.

– Zbyt pani łaskawa. Ja nawet nie umiem grać na żadnym instrumencie. Ale, wracając do opowieści. Ten młody mężczyzna wierzył, że wojna nie będzie trwała wiecznie, a o mózgach chlupoczących w miskach hełmów i jeli-tach rozwleczonych po matce ziemi zapomni w Wiedniu, przy sztalugach. Karol przeżył, ale rodzina straciła dobra na Wschodzie, zagarnięte przez Czerwoną Sprawiedliwość. Nie został słynnym malarzem, tylko fotografem. Osiadł w sporym mieście dawnej Galicji i zasłynął jako fotograf potrafiący nie tylko w atrakcyjnych pozach ustawiać klientów, ale zdolny zaglądać również do ludzkiej duszy. Dlatego powszechnie zwracano się do niego – Mistrzu.

– Karol miał jednak słabość, w której spełnianiu pomagała mu ta bardzo droga wówczas kamera marki – Bergheil. Gdy miał już za sobą pracę znamionującą mistrzostwo, oddawał się robieniu byle jakich fotek, do których pozowały mu przeciętne, ale pozbawione zahamowań kobiety. Przeważnie młode praczki, służące i pomocnice krawcowych, którym było obojętne, w jaki sposób pokazują cielesne detale, byle dostać grosze na alkohol, papierosy czy cokolwiek. Właściciel studia „Styl Europa” sporadycznie wykorzystywał je w typowo męski sposób, bowiem najważniejszych doznań doświadczał przy fotografowaniu obnażonych pańienek w ekscentrycznych pozach. Choć swoje ciała prezentowały mu tak, jak tego pragnął, to miały jednak tylko mięsiste uda praczek, rozlane brzuchy służących i blade kupki piersi przyklejone do wystających żeber pomocnic krawcowych.

– Ma pan świetną pamięć do szczegółów.

– Taką powinien mieć fotograf. Choć wykonuję ten zawód z konieczności.

– Przepraszam, że przerwałam, ale to z powodu.

– Dziękuję. Nasz mistrz zamarzył o konterfektach kobiety z piękną twarzą i harmonijnie zbudowaną figurą. I spełniło się. W studio „Styl Europa” zapowiedziała się piękność z sąsiedniego miasta. Zaskoczony i onieśmielony spełnieniem marzenia, zauważył wkrótce, że piękność też dobrze się czuje, przybierając pozy jak tamte dziewczyny. Ustawiał więc starannie światła, przesuwając specjalnie odmalowane na tę okazję tła i pochłonięty fotografowaniem, nie ośmielił się zaproponować chwili przerwy. Wyręczyło go w tym dwóch gości z brauningami, którzy nie tylko przerwali seans z piękną, ale zabrali również najcenniejsze rodowe dobra uratowane przed Sowietami. Pogasty światła i Mistrz Karol opadł na sofę nasyoną jeszcze zapachem tamtej kobiety. Godzinę, może dwie, wpatrywał się w wyszlifowane po mistrzowsku szkła obiektywu. Nie wiadomo, czyj głos usłyszał z wnętrza magicznej skrzyni. Wstał, poszedł między świeżo malowane tła i powiesił się.

Podala mu butelkę z winem. Napił się.

– Artystów nie powinno się wysyłać na wojnę, bo później każda porażka pachnie im śmiercią. Szkoda mi fotografa.

– Żyd był mistrzem do końca, do ostatniej nitki przy doszywanym guziku, a fotograf uważał, że wystarczy, jeśli będzie tylko ucho-dził za mistrza.

– Jesteś zbyt surowy dla jego męskich ułomności. Sam wiesz, jak to z wami bywa. Ile głodnych tajemnic i wypasionych potworów krąży nieustannie między waszymi głowami a rozporkiem. Dowie się o tym kto? Może nie zasłużył na taki koniec?

– Różnica między szyciem ubrań a robieniem dobrych fotografii jest taka, że ubra-niem okrywa się ciało, a fotografią można odsłonić scenę ludzkiej duszy.

– Byłam tu wiele razy – rozejrzała się – ale to jest teraz inne miejsce.

– Bzdura, ekscytujesz się chwilą. Wkrótce będzie cię to tyle obchodzić, co skorupa, do której wiano kiedyś wiadro czerwonego...

– Stój! Nie pal naszych zabawek, może inni też się nimi pobawią – usiedli. – Wrócimy tu jeszcze?

– Zrobisz to z innym bawidelkiem, mniej wystrzelanym ode mnie.

– Kto ci to powiedział?

– Jedna pani.

– Ja nie pamiętam – uśmiechnęła się. – Może to przez ciebie skasowały się zapisy mojej czarnej skrzynki – zakryła dłońmi twarz i mówiła powoli: – Przychodzi taka godzina, że nawet księżna ropucha musi abdykować, choć przygodnie napotkany giermek usiłował zmienić ją w inną żabę – chowa do torebki futerał z okularami. Napotyka w niej list. Wydobywa go, ogląda. – Z banku – robi skrzywioną minę. Zamyśla się, a potem powoli przedziera papier na małe kawałki i wrzuca je do filiżanki. – Jak byłeś młody i zakochany, to pisałeś listy do swojej dziewczyny?

– Studiowała w innym mieście, a wtedy nie wynaleziono jeszcze komórek.

– Uważasz, że ona przechowuje te listy, że nie zabrał ich zazdrosny mąż i spali je dopiero wtedy, gdy poczuje, że Czarna podchodzi pod drzwi?

– To było tak dawno. Nie wiem, gdzie jest i co dzisiaj robi.

– Ale ty wciąż przechowujesz te listy. Sięgasz czasem po zamaskowane rupieciami pudełko, przecierasz z kurzu – wyciągnęła rękę ku jego dłoni, dotknęła skaleczeń. – Goi się jak na psie. Za dwa dni nie będziesz miał po mnie śladu – przjrzała się swoim dłoniom, podparła twarz. – Czytujesz te listy od czasu do czasu. Robisz to z bojaźnią i poczuciem winy. Bo kiedyś utraciłeś coś ważnego. Może to było nawet najważniejsze w twoim życiu? – przesuwła pierścionek po palcu. – Otwierasz któryś, rozczulasz się, patrzysz na pisa-

ne przez nią słowa i czujesz się, jakbyś stał w oknie, a ona była tam, na dole, w zieleni. Taka sama, jak kiedyś. Chciałbyś do niej pójść, może nawet pobiec, ale pokój, w którym jesteś, nie ma drzwi, a okno jest wysoko nad ziemią i boisz się skoczyć – przymknęła oczy – tak samo jak wtedy, gdy byłeś młody. Wiedziałeś, że jest piękna, ale zamiast cieszyć się tym, to drżałeś, że nie zapewnisz jej tego, na co zasługuje – sięga po butelkę, w której nie ma już wina. Krzywi się. – Ona wtedy nie myślała jeszcze o życiu, ale o tobie, tym ukochanym, najdoskonalszym – przez chwilę ogląda dłonie, zdejmując pierścionek: – Weź go dla niej.

– Ty, serio?

– Bardzo serio.

– Dziękuję ci, ale straciłem z nią kontakt, nie wiem, gdzie jej szukać.

– Sprzedaj mi te listy. Dam za nie tyle, że wystarczy na wyjazd do Florencji i jeszcze gdzieś.

– One są od kobiety, której nie znasz.

– Wiem, ale pisane były z miłości i dlatego chciałabym je mieć – pochyliła twarz i ułożyła dłonie w stożek. – Nie zrobisz tego, bo jak tylko wrócisz do domu, to zamiast pójść spać, sięgniesz po nie – wyciągnęła ku niemu ręce i przytrzymała w nich jego dłonie. – Napisz do mnie list, ale odręcznie, tak jak pisali ludzie do siebie dawniej. Może być o byle czym, krótko, nawet o pogodzie. W życiu dostałam jeden taki list. Napisał go człowiek poznany w szpitalu.

– Ktoś obcy?

– Tak. Przed laty odwiedziłam w szpitalu współnika od interesów. Na tej samej sali leżał człowiek o przeźroczystej skórze i takich samych oczach. Gdy wychodziłam, poprosił, żeby mu kupić gazetę. Gdy ją przyniosłam, długo mi się przyglądał galareta starych oczu, jakby chciał mi coś opowiedzieć – potarła dłonią o dłoń. – Kiedy jeszcze raz tam zaszłam, jego już nie było. Znajomy podał mi od niego list w pogniecionej kopercie. Z trudem go przeczytałam, bo litery pisane

były drżącą ręką, krzywo, ale w treści to było wyznanie szczęśliwego dwudziestolatka – spojrzała mu w oczy. – Napisz. Ten, od tamtego człowieka i drugi, od ciebie, to byłyby moje najprawdziwsze papiery wartościowe – podaje mu wizytówkę. – Proszę, to mój adres. Chodźmy już, niech krawiec Abram wypocznie, zanim od świtu zacznie zeszywać dzień. Gdzie jest obsługa?! – zawołała.

– Pewno zasnęli – odpowiedział mężczyzna – jest druga po północy.

Kobieta podeszła do baru, zajrzała za kontuar. Uśmiechając się, skinieniem głowy przywołała mężczyznę. Na podłodze, między pudełkami z jednej, a tacami i szkłem z drugiej strony, leżał nagi chłopak, którego niewiele obchodziło, że ujeżdża go okrakiem kelnereczka o drobnej buzi. Dziewczyna posapywała cicho, a spod rozpiętej bluzki wymykały się zadowolone piersi. Ci na górze uśmiechali się. Nagle kobieta z urażoną miną zawołała:

– Hola, panienko, to ja płacę za nocną przyjemność i nie mam w zwyczaju dzielić się z kimkolwiek!

– Napiwek się nie należy? – odpyszczyła dziewczyna zajęta nadal swoją robotą.

– Należy się, oczywiście – i kobieta, śmiejąc się, sięgnęła po banknoty, które pojedynczo wypuszczała z palców, a one, kołując, lądowały za barem.

Szli ku drzwiom, gdy zaczął się do nich dobijać jakiś nocny gość.

– Zamknięte – powiedziała kobieta, ale szarpanie za klamkę trwało. – Ty, durny, mówiłam, że zamknięte – odrzyknęła głośnie.

– Beez neerw... pięknaaa... kieeerowniczo... csiiii... – temu za drzwiami płątały się słowa. – Poolicje obuuudysz...

– Zjeżdżaj stąd, oni tam się kochają! Wiesz, co to takiego?

– Jaaasneee – syczał – to praaawie jak flaaaszka, a może naaaawet dwieeee...

– Nie, koleś, to jest jak cały tir flaszek. Pojmujesz: cały, wielki tir!

– Jeezuuuusinkuuu – zapiszczał płaczliwie – nie da się tego przepić. Nie da... – rozpacztał prawie.

– Da się, da – odblokowała drzwi. – A teraz spadaj, migiem! – odwróciła się jeszcze w stronę bufetu: – Ej, wy tam. Kochajcie się, kochajcie, bo to jedyne, co warto robić w życiu! – spojrzała na mężczyznę, uśmiechnęli się i wyszli.

2012-2016 r.

Opowiadanie ze zbioru „*Szczęściarz i inne opowiadania*”, które ukaże się w końcu bieżącego roku nakładem Towarzystwa Galeria Literacka.

PIOTR DŁUBAK



Piotr Dłubak, Fotograf, członek ZPAF

Wystawy indywidualne:

*** Klub Środowisk Twórczych -
Częstochowa, 1991
BRIGIDA Towarzystwo Fotograficzne -
Częstochowa, 1992
SZEWCY Teatr im. Adama Mickiewicza -
Częstochowa, 1993
ANITA Towarzystwo Fotograficzne -
Częstochowa, 1993
KABARET MARKIZA Klub Jazz Muffins -
Częstochowa, 1993
PAMIĘĆ Dom Rosenbergów -
Częstochowa, 1994
NAGOYA Galeria Rondo - Łódź, 1994
NAGOYA II Candidus - Częstochowa,
1995
FEDORA Galeria Knud Larsen Roskilde -
Dania, 1996
FEDORA II Galeria Knud Larsen Roskilde
- Dania, 1996
FEDORA III Galeria Świat Fotografii -
Warszawa, 1997
POSTACIE MICKIEWICZOWSKIE Teatr
im. Adama Mickiewicza - Częstochowa,
2000
PORTRETY LAUREATÓW NAGRODY
PREZYDENTA CZĘSTOCHOWY W
DZIEDZINIE KULTURY Z LAT 1991-
2000 Miejska Galeria Sztuki - Częstochowa,
2001
FEDORA IV Galeria Art New Media -
Warszawa, 2001
PORTRETY AKTORSKIE Teatr im.
Adama Mickiewicza - Częstochowa, 2002
AURA Miejska Galeria Sztuki -
Częstochowa, 2003
REPORTAŻ Z PRZYGOTOWAŃ
PREMIERY „Iwony Księżniczki Burgunda”
Witolda Gombrowicza w reżyserii
Katarzyny Deszcz, Teatr im. Adama
Mickiewicza - Częstochowa, 2004

OJCOWIE I CÓRKI Teatr im. Adama
Mickiewicza - Częstochowa, 2005
4:31 Galeria Wejściówka Gazety Wyborczej
- Częstochowa, 2005
SIATKARKI Razzy Dazzy Jazz - Kraków,
Galeria Krzysztofa Gierałtowskiego -
Warszawa, 2006
OCALAŁE KAFLE Z SYNAGOGI
NOWEJ Filharmonia - Częstochowa, 2007
OJCOWIZNA Teatr im. Adama
Mickiewicza - Częstochowa, 2007
DLA AGATY Opera Club - Warszawa,
2007
THE LAST SHOW, Częstochowa -
Konduktorownia, 2010
NASZE, Pordenone, Włochy, La Roggia,
2012
LUDMIŁA MARJAŃSKA –
WSPOMNIENIE Ośrodek Gaude Mater
- Częstochowa 2015
VESNA otwarcie stałej ekspozycji autorskiej
- Nykobing F. Dania 2015

Udział w zbiorowych wystawach w USA,
Austrii, Bułgarii, Niemczech, Słowenii,
Chorwacji, Włoszech i na Węgrzech.

Wybrane plakaty teatralne:

„BACHANTKI” Eurypides, Teatr im.
Adama Mickiewicza - Częstochowa, 1995
„CYRANO” Edmond Rostand, Teatr
Komedia - Warszawa, Teatr im. Adama
Mickiewicza - Częstochowa, 1998
„REWIZOR” Mikołaj Gogol, Teatr im.
Adama Mickiewicza - Częstochowa, 1999
„BALLADY MORDERCÓW” Nick Cave,
Teatr im. Adama Mickiewicza - Częstochowa,
2002
„SCENARIUSZ DLA TRZECH
AKTOREK” Bogusław Schaeffer, Teatr
Syrena - Warszawa, 2002
„SKRZYNECZKA BEZ PUDŁA”
Wiesław Dymny, w adaptacji Andrzeja
Sadowskiego, Teatr im. Adama Mickiewicza
- Częstochowa, 2004

„SAMMY” Ken Hughes, Teatr im. Adama Mickiewicza - Częstochowa, 2008
„ZNIKOMOŚĆ” Lars Noren, Teatr im. Adama Mickiewicza - Częstochowa, Teatr Atelier – Sopot, 2011
„DO DNA” Ludmiła Pietruszewska, Teatr im. Adama Mickiewicza - Częstochowa, Teatr Atelier – Sopot, 2011
„BYĆ JAK KAZIMIERZ DEYNA” Radosław Paczocha, Teatr im. Adama Mickiewicza - Częstochowa 2012
„HAMLET” Wiliam Szekspir, Teatr im. Adama Mickiewicza – Częstochowa 2014
„ŻYCIE: TRZY WERSJE” Yasmina Reza, Teatr im. Adama Mickiewicza – Częstochowa 2015
PROCA Nikołaj Kolada, Teatr im. Adama Mickiewicza - Częstochowa, Teatr Atelier – Sopot, 2016

Wydawnictwa autorskie:

Album „Laureaci Nagród Prezydenta Częstochowy w Dziedzinie Kultury w latach 1991- 2000”, 2001
Album „Aura” wydawca Miejska Galeria Sztuki, 2003
Album „Ojcowie i Córki” (wspólnie z Szymonem Parafiniakiem – malarstwo), 2005
Kalendarz Siatkarek 2007, wydawca Fundacja 777, 2006
Album „Ojcowizna”, Teatr im. Adama Mickiewicza - Częstochowa, 2007
Kalendarz „Dla Agaty” 2008, wydawca Fundacja 777, 2007
Kalendarz „Urzędnicy” 2012, wydawca Urząd Miasta Częstochowy
Kalendarz „Gramy o życie” 2012 wydawca Hospicjum Częstochowa
Album-teczka „Nasze/Ours” 2012 wydawca Konduktorownia Zachęta Częstochowa

Nagrody:

III NAGRODA w konkursie pisma „Alt Om Foto” – Skandynawski Fotograf Kobiet - Dania, 1996
GRAND PRIX w konkursie „Szansa” zorganizowanym przez firmę Agfa, Galeria/ Studio Krzysztofa Gierałtowskiego i pismo „Foto”, 1998
STYPENDIUM ARTYSTYCZNE PREZYDENTA MIASTA CZĘSTOCHOWY, 2000
NAGRODA MIASTA CZĘSTOCHOWY W DZIEDZINIE SZTUK PLASTYCZNYCH 2014

Małgorzata Nowakowska-Karczewska

KSIĘŻYC

I

„Księżyc czterokwadowy wachlarz rozpo-
ściera”.
(W. Szymborska)

Księżyc to symbol wszelkich spraw tajemnych, magicznych, nierozpoznawalnych, świata marzeń sennych, co przypomniał Staff: „Miesiąc snów najwierniejszy druh”. Pojawia się, gdy zapada zmrok, budzi, jak przywykło się wierzyć, to, co ukryte w zakamarkach ludzkiej duszy.

„gdy gaszę lampę
noc za oknem zaczyna płonąć
o szalony aniele wyobraźni”

– pisała Poświatowska. Księżyc posadowiony w znaku Lwa obdarzył Hańkę głębią uczuć, zdolnością do intensywnych emocji.

Obserwacja dwoistej natury Księżyca, symbolu przemijania, ale i odradzania, pozwalała człowiekowi zgłębiać prawdy dotyczące porządku świata, ludzkiego losu.

„Kto czas wieczorny w zachodzie zamierzył,
Kto księżyc pełny w części przeinaczył”

– pytała ongi Drużbacka, jedna z niewielu piszących kobiet szlachcianek doby baroku. Człowiek łąco mógł się przekonać, że tym samym prawom podlega wszystko w naturze.

„Nic stałego na świecie (...)
Cóż człowiek, jeśli nieba swą odmianę
mają”

– konstatował Naborowski, a wtórowali mu inni, Zbigniew Morsztyn choćby:

„A czas niewrotny, jak bieży, tak bieży
I tak odmienne gonią się księżycy”.

Chęć poznania tajemnic świata sprawiała, że z czasem coraz więcej wiedziano o prawach rządzących kosmosem. Studiowanie nieba pozwoliło Kopernikowi sformułować teorię heliocentryczną. W poetyckiej formie przedstawił dokonania astronoma zapomniany już mocno jego przyjaciel, także astronom, jeden z pierwszych w Polsce geografów, Wawrzyniec Korwin.

„On księżyc ruch szybki, słońca bratniego,
gwiazd drogi
Śledzi i opisuje ich biegi w niebios ogromie,
Wszemmocnego wspaniały twór, także
zjawisk przyczyny
On na podziwu godnych umie objaśnić
zasadach”.

Srebrny glob, władca podświadomości i emocji, pośrednik, jak uważano, w drodze do innych wymiarów, „poetów towarzysz” według Słonimskiego, fascynował, sprzyjał natchnieniu, duchowym uniesieniom, czego doświadczał na przykład Jerzy Żuławski:

„Snują się myśli senne krajobrazy (...)
I duch mój leci senny a skrzydlaty gdzieś
(...)
A księżyc w mgliste go odziewa szaty”.

Motyw księżycy pojawiał się w poezji niezwykle często, a przecież nigdy się nie zestarzał, nie stał banalny, by przywołać choć jeden z wierszy Rymkiewicza:

„Przeto opiszmy księżyc (...)
Obraca się z wolna.
Wschodzący we śnie żółwia i we śnie jasz-
czurki (...)

A przecież nietykalny. Tak jak przed wiekami
Oświećta sezon mrówek i sezon jeleni”.

Urzeczonych pięknem księżycy poetów fascynowała zmienność kształtów, barw, niezwykła w jego poświęceniu sceneria. Staff, nieśmiały melancholik – „Smutek siada przy łożu mym, druż niezawodny” – oczarowany księżycem, do czego się chętnie przyznawał, stworzył jego zabawną personifikację:

„Na niebie półseledyn miesza gwiazdom
szyki,
Pragnącem się całować w ciemności bez-
piecznej.
Młody półksiężyc cienkie podkręca wąsiki,
Choć ma jeszcze pod nosem mleko Drogi
Mlecznej”.

Tetmajer, miłośnik nocnych samotnych wę-
drówek w Tatry, podziwiać mógł i taniec mgieł
wokół księżycy, i krajobrazy niesamowite
w swej grozie:

„Noc – wśród żlebu świeci wąski smug
księżycy,
jak ogromna, stężała w locie błyskawica,
zamarznięta na skale w pustkowiu ponurem”.

Książd Twardowski bardziej rzeczowo przyjrzał
się księżycowi, który już co prawda mniej jest
tajemniczy – „ludzie po nim chodzą” – ale
przecież nadal pióra godny.

„Czasem podobny do dużej litery C.
Czasem do dużego D, a czasem do wiel-
kiego O.
Kolego śpiących – szanowny księżycu,
Poeci robią marzyciela z ciebie,
A ty zwykle litery piszesz wciąż na niebie”.

Pod wielkim urokiem miesiąca pozostawał
też Miciński, ekscentryk i oryginał, uducho-
wiony Skorpion, którego pociągało wszystko
co tajemne, (okultyzm, kabała, demonologia),

który z obsesyjną wręcz namiętnością zgłębiał
zagadki kosmosu i mroki swej duszy.

„Na księżycu czarnym wiszę,
patrząc w gwiazd gasnących ciszę.
W mroku dumnym i bezgłośnym
ze strzaskaną harfą snów płynę”.

Nocne spaceru uwielbiał, gdy zdrowie jeszcze
pozwalało, Broniewski:

„Chodzę wieczorny, szumny, wiatrzany,
Lecą ulice w lewo i wprost.
Księżyc, w gwiazdziste stado wmieszany,
Złotą podkową dzwoni o most”.

W takim nastroju Władysław skłonny był
nawet do pewnej dowcipnej obietnicy : „
Gdybym był księżycem, to skończyłbym
z piciem...”

Zainteresowanie satelitą Ziemi nieobce
było też Tuwimowi, który ogarnięty „bzikiem
lingwistycznym” gromadził stale ciekawe
i zabawne „powiedzonka, przygaduszki
i pogwarki” które mogły ubogacić jego
utwory. Zebrał tedy kolekcję nazw księżycy
w kilkuset językach. Miłośnik czarownic,
mizantrop pachnący dyskretnie lawendą,
znawca okultyzmu prześladowany przez
rozmaita fobie, chętnie oddawał się wraz
z Morstinem obserwacjom nieba przez lunetę
w czasie słynnych zjazdów poetów w pięknym
pałacu w Pławowicach.

Przesadą byłoby twierdzić, że księżyc
uwodził wszystkich. Herbert, który praco-
wał nocami, źle znosił pełnię. Obdarzony
niezwykłą wyobraźnią – „Dziękuję, Panie
Boże za wyobraźnię, która daje złudzenie
innych światów” – pisał w jednym z listów
– w okresach nawracających depresji, lęków,
myśli samobójczych (leczony litem), szukał
samotności. Może podczas jednego z takich
nastrojów, mający zawsze specyficzne po-
czucie humoru Zbigniew, przewrotnie nieco
stwierdził:

„Nie rozumiem, jak można pisać wiersze o księżycu,
Jest tłusty i niechlujny. Dłubie w nosie kominów.
Jego ulubione zajęcie to włożyć pod łóżko i wachać buty”.

Astrologia czyni Księżyc patronem urodzonych w poniedziałek, ludzi obdarzonych za jego sprawą niezwykle wrażliwością, intuicją, niezależnością, ale też kapryśnych, zmiennych w nastrojach, przeczułonych, często lękających się czegoś, żądnych uznania. Księżycowcem był Lechoń, dla którego ów związek był wyjątkowo ważny:

„Bije dwunasta. Zaczyna się dzień
Mego planety księżyca...”

Niezbyt urodziwy, trochę snob, hipochondryk zamęczający przyjaciół opowieściami o objawach urojonych najczęściej chorób (pilnie w tym celu wertował pisma medyczne), inteligentny, dowcipny, pragnął miłości i sukcesów. Kochał życie – „Jeszcze jeden darowany cudownego życia dzień” – pisał w wierszu „Preludium”. Jednocześnie różne powikłania życiowe (także homoseksualizm) wywoływały nastroje depresyjne. Już w młodości przeżył załamanie psychiczne, podjął próbę samobójczą. Przez resztę życia tkwił w nim strach przed nawrotem szaleństwa i pokusa samobójstwa.

„Czy możliwe, żebym już nigdy nie mógł zaznać odpoczynku od tego niepojętego rozdwojenia, które mnie rozdziera”.

Dziennik Jana był próbą autoanalizy, często bardzo krytycznego spojrzenia na siebie. Poeta rozpaczliwie bronił się przed nawrotem wariacji, niestety, pokusa, by skończyć ze sobą, zwyciężyła.

Gałczyński, „magik i małpison”, który „kochał alkohol, cygara i czaple”, także urodził się w poniedziałek. – „był kiedyś taki facet

księżycowy” – podkreślał swój silny związek ze srebrnym globem. Jak przystało na podopiecznego Księżyca, interesował się wiedzą tajemną, cyrkiem, iluzjonistami. Był jeszcze „mały jak muszelka”, gdy matka „pierwsza pokazała księżyc”. Z zauroczenia nim wyrosła także twórczość Konstantego:

„Księżyc (...) nieskończonym
sznurowadłem
Wplątał się w moje manuskrypty”.

Srebrny glob zachwycał, kusił, ale budził też grozę. Iwaszkiewicz nigdy nie krył, że nocą odczuwał przemożny lęk:

„Miesiąc jak królik wśród obłoków hyc.
W cieniu nie widać cmentarnego wieńca.
Boję się zawsze tego tam księżyca,
Który przyjąć może w postaci młodzieńca”.

W wielu wierzeniach zając (lub królik) poświęcony był Księżycowi, bo buszuje nocą. Czarownice i wiedźmy miały pono przybierać postać zająca, ustrzelić je można było jedynie srebrną kulą.

II

„Co się w ciemności kryje? Wilkołak? Szatan? Strach?”
(L. Marjańska)

Przekonanie o złowieszczej sile Księżyca sięga starożytności. Powszechne było przez wieki mniemanie, że jego światło, zwłaszcza w czasie pełni, wysysa siły i zdrowie, sprzyja dziwnym zachowaniom, mąci zmysły, potrafi nawet doprowadzić do szaleństwa. Doświadczał owej złowrogiej mocy właśnie Gałczyński (somnia bulik):

„Wtedy, wtedy wchodzi światło moje
w najtajniejsze skrytki, w mózgu zwoje (...)
To są moje sprawy księżycowe,
bardzo trudne...”

Kobietom, szczególnie młodym, podlegającym czasowi lunarnemu, („Księżyc krwawi co dzień, jak piękna kobieta” – Stern), odradzano spanie w poświęceniu księżycowej, albowiem wówczas łatwy przystęp do nich miały rozmaite upiory, inkuby. Echo tych wierzeń pojawiło się w jednym z wierszy Pawlikowskiej:

„nie mogę spać podczas pełni
Księżyc wślizguje się błyskiem
pod kapę w srebrne smugi...
chce puste miejsce wypełnić(...)
chyli się ku mnie
i czyha i usta mi światłem nasycy”.

Częste było też przeświadczenie, że światło miesięczne nie powinno padać na śpiące dzieci. Na wsiach stawiano koło okien naczynia z wodą, by utopić księżyc. Niepokój swego małego synka, który bał się tego, co czaiło się za oknem, opisał Bursa (urodzony w poniedziałek), pamiętający z własnego dzieciństwa nocne strachy:

„Księżyc srebrne buduje mosty
Księżyc płacze zielonymi łzami
Księżyc jest tylko dla dorosłych
Zasłoń okno zasłoń okno mamo”.

W bladym świetle miesięcznym snuć się mogły upiorne wampiry, co to i cienia nie rzucają, i w lustrze się nie odbijają, w dodatku miały mieć moc przemieniania się w groźbę budzące wilki, nietoperze (ale amulety sporządzone z oczu i kości nietoperzy pono przynosiły szczęście). Pełnia budzić też miała wszelkie wodne demony, rusalki, topielce, które karmiły się księżycowym blaskiem. Wykorzystał te wierzenia w swoim „Zaczarowanym kole” Rydel:

„Miesiączek dziś w pełni staje(...)
Dźwigają się (...)
Topielce i topielce
Z dna samego, z mułu, z piasku,

I one mleczne promienie
Będą pić i w białym blasku
Śpiewać”.

A i diabły, i czarownice swoje gody i biesiady odprawiać miały w takiej właśnie scenerii, co opisała na przykład Pawlikowska, wierząca w czary, wróżby, czarne koty („pół-motyłem była i pół-ptakiem” – wspominał Lilkę Janta).

„Świeciły trzy księżycy. Leciały trzy czarownice.
Leciały z daleka po niebieskich drogach,
czasem ginęły w chmurach –
a na Łysej Górze
diabeł, diabeł na nie czekał o złotych rogach”.

Srebrny glob wiązano także z losem dusz po śmierci, miały tam odpoczywać w drodze do innych wymiarów, dlatego Gałczyński mógł obiecać Natalii:

„Gdy odejdę, nie płacz, moja żono –
Ja księżycem wrócę pod twoje okno”.

Plamy na powierzchni księżyca świadczyć miały o tym, że istotnie nie jest pusty. W różnych legendach pojawiali się tam Kain i Abel, rozmaite zwierzęta, dusze starych panien, no i oczywiście Twardowski, co przypomniał Rydel:

„Ten, co chytrze
Piekło zwiódł, gdy *ad inferna*,
Czarci powietrzem go nieśli (...)
Więc na tarczy księżycowej
Siedzi dotąd”.

Księżyc, zwłaszcza w nowiu, sprzyjał magii destrukcyjnej, natomiast odczyniać uroki i zdejmować klątwy należało podczas drugiej kwadry. Zdradzona żona, bohaterka sielanki Szymonowica „Czary”, mówi:

„Świadcę tobą księżycu! Że mię żal przy-
wodzi
Do tego; zły postępek złym się oddać godzi.
Jeśli chciał z domu biegać, nie żenić się
było”.

Sypie z pomocą służki proso, pali suche liście
jesionowe, wiąże węzły itp., rzucając pod
adresem rywalki zaklęcia:

„niech jej na twarz krosta tak wysiada,
Niech ją wrzody oblegą”

Zakochani, szczególnie nieszczęśliwie, kiedy
to , jak pisał Rydel:

„Kochanie gorzkie bywa.
W sercu pali, jak sól w ranie”

mogli liczyć na pomoc, bowiem:

„Ruta świeża,
W piątek na nowiu miesiąca
Zerwana”

posiadała rzekomo moc pobudzania wzajem-
ności.

Pojawiał się Księżyc w wielu dawnych kul-
tach, na przykład w mitraizmie, patronował
też astrologom, naukom tajemnym, którymi
interesowali się nawet monarchowie, choćby
Batory, na którego dworze przebywał czas
pewien czarnoksiężnik Gradowski, ale po-
sądzony, iż „czarami króla chciał do śmierci
przywieźć”, stracony został. Alchemicy także
odwoływali się w swych praktykach do Księ-
życza. Z usług tychże chętnie korzystano, ale
raczej nie cieszyli się dobrą sławą, bo jak pisał
o „alchymistach” mało już dziś znany poeta
Władysławiusz:

„A owi chodzić niegodni po świecie,
Co tym rzemiosłem złoto z lada czego
Kuszą się robić”.

Bogini Selene miała jeszcze wielu innych
podopiecznych, co żartobliwie przypomniał
Hemar:

„Patronka
Pijaków, nocnych marków i mitrągów,
I karciarzy w spelunkach,
I nędzarzy w przytułkach
I włóczęgów”.

III

„Księżyc balladowy przyświeca nocnym
dziwom”
(W. Słobodnik)

Stale obecny na nocnym nieboskłonie jest
księżyc świadkiem i współuczestnikiem wszel-
kich dziejących się w ciemnościach, a więc
tajemnych spraw. Takim widział go Bałucki.

„Na mlecznym niebie błądy księżyc siedzi,
Jak jezuita, gdy słucha spowiedzi.
Nachylił głowę i ciekawie słucha,
Co grzeszna Ziemia szepce mu do ucha”.

Patron zakochanych, jest przede wszystkim
nieodzownym elementem scenerii roman-
sowej. Iluż to parom, takim jak bohaterowie
znanej ballady, przyświecał przez wieki:

„Jakiż to chłopiec piękny i młody?
Jaka to obok dziewica?
Brzegami sinej Świtezi wody
Idą przy świetle księżycza”.

Towarzyszył spieszącym na intymne spotkania
kochankom, radosnemu, beztrudnemu Brze-
chwie choćby:

„Księżyc znad obłoków ściany domu bieli,
Dzieli mnie sto kroków od twojej pościeli”.

Podglądał zza szyby niejedną młodą, szykującą
się do intymnej nocy dziewczynę:

„Stojąc przed lustrem ciszy
Barbara z rękami u włosów (...)
przejmuje w siebie gwiazdy
i biały pył miesiąca”.

Niezwykły urok tej sceny utrwalił w wierszu „Biała magia” Baczyński. Poeta urodził się w znaku Raka, pozostającego we władztwie Księżycy, obdarzającego bogatym życiem duchowym, zmysłowością.

Niejedna też pewnie panna zwierzała się księżycowi ze swoich tajemnic, choćby z opisanych przez Bartusównę, niewczesnych może nieco, porywów serca:

„O! nie patrz na mnie księżycu,
Nie patrz uroczy? (...)
Kocham! – lękam się śmiechu
Szydnego tłumu!
Kocham! – lękam się grzechu
W oczach rozumu”.

Zawieszony wysoko, jedyny czasem towarzyszy niefortunnych, niemy obserwator łez ronionych w samotności, wysłuchiwał skarg zakochanych bez wzajemności. Wiele takich westchnień pomieścił w swym znakomitym zbiorze „Roksolanki”, młodszy z braci Zimorowiców, Szymon. Wiernie kochała i Heleonora, chociaż wybrankę:

„jest na poźrzeniu nie bardzo cudny,
A co większa, i w rozmowach wielmi obłudny”

i Cyczyna, która na próżno wyglądała przez okienko:

„Trwałaś przecię, dokąd księżyc pełny nie nastał,
A ciebie nie było. Ani cię zoczyło
Oko moje smutne”.

Panowie odtrąceni przez wybranki także chętnie dumali przy księżycu, wspominając –

o czym pisał Kropiński – minione szczęście, przysięgi, które nie okazały się wieczne:

„Po co wschodzisz, księżycu? Świecić nie masz komu,
Sam jeden bez kochanki powracam do domu (...)
Oto te same miejsca, gdzieśmy byli razem!
Tyś wówczas nad nią jasne rozciągał promienie”.

Z obrazu księżycy, zmiennych kształtów i barw próbowano odczytać przyszłość, dopatrywano się często zapowiedzi nieszczęść, dramatycznych wypadków. Mickiewicz rozpoczął „Grażynę” opisem trzech tajemniczych rycerzy, zmierzających do zamku w wyjątkowo ponurą noc:

„miesiąc wysoko,
Pośród krążącej czarnych chmur powodzi
We mgle niecałe pokazywał oko”.

Podobnie niesamowitą scenerię stworzył Słowacki, opisując opuszczającego rodzinną wioskę Beniowskiego:

„z zamku księżyc wybuchnął czerwony
Jak smutny aktor, co z Hamleta rolę
Wyjdzie na scenę. Księżyc wstąpił krwawy
I oczerwieniać zaczął staw”.

Wyjątkowy widok nieba, nastrój grozy podkreślał dodatkowo stan psychiczny Maurycego, który rzucił jeszcze okiem na dom ukochanej, dom „gdzie wziął harbuza” i nieświadom, jak potoczą się wkrótce wypadki „westchnieniem wielkim w księżyc cisnął.”

Srebrny glob, nieoceniony towarzysz samotnych wędrówek, sprzyjał ukojeniu, pozwalał zapomnieć o troskach dnia. Peiper pisał w jednym z wierszy:

„Z błękitnego pułapu zdjąłem księżyc
i jak latarnię zniósłem go na Ziemię.

Kostur jego światła
rozgrzebywał mi wióry dnia
rozrzucone na ulicy”.

Nocne wyprawy w miasto pozwalały odkryć
niezwykłości kuszące swoistym niebezpiecz-
nym urokiem. Ośniałowski, poeta tragiczny
(popętnił samobójstwo) i aktor (grywał
też w teatrze częstochowskim) znał takie
miejsca:

„Ulica jest jak tajemnica. Wszystkiemu
daleka.

Najlepiej patrzeć w niebo gasnące, na nic
nie czekać!

Gdy księżyc złote rogi
na nocy położy aksamit
grają tango «umyj sobie nogi »
na harmonii w barze «pod cyckami »”.

Bywał księżyc cierpliwym przyjacielem
jeńców, wygnańców, których dramatyczne
wypadki rzuciły daleko od bliskich. Gał-
czyński wspominał ciężkie czasy w stalagu,
w ponurym otoczeniu tylko księżyc kojarzył
się z tym, co piękne:

„Tyle lat zmarnowanych w udręce –
jak dwie siostry: groza i nuda.
Księżyc wisiał jak srebrne serce
na niemieckich kolczastych drutach”.

Do okupowanej Warszawy dotarł jakoś
przejmujący wiersz , osadzonego w jenieckim
obozie w Waldenbergu, Andrzeja Nowickiego
(z muzyką prawdopodobnie Bronicza wyko-
nywała go wówczas Tola Mankiewiczówna):

„Jeśli mam zginąć – dobry Boże (...)
Jeśli mam zginąć – niech mnie zniszczą (...)
Lecz przedtem – daj mi ujrzeć latem,
Księżyc idący Mariensztatem...”

Iwaniuk w dalekim Toronto widział, jak „Su-
cha twarz księżycy poleruje dachy uśpionych
domów.”

i uciekał w sen, bo:

„Gdy śpię jestem w kraju
Gdy się budzę
Jestem na emigracji”.

Hemar stęskniony za rodzinnym miastem
napisał w Londynie wzruszającą „Rozmowę
z księżycem”, słuchacze płakali zawsze, gdy
wykonywała ją Włada Majewska:

„Taż ja tam po Lwowie co nocy spaceruję,
Od bramy do bramy, jak pies tak waruję(...)
Bez chwili urlopu, jak nocny dozorca.
Po rynnach się ślizgam, po dachach się
posuwam.
I srebrzę i złocę, uważam i czuwam.
I w każdym zaułku i na każdym zakręcie,
Pilnuję tego Lwowa – na wasze przyjęcie”.

Nadchodzi kolejna noc, a za oknem – jak
pisała Iłakowiczówna –

„od dawna znajomy –
Księżyc zagłada jak sąsiad”,

ale wyobraźnia może podpowie coś więcej?..

LISTY Z NIEWOLI

Do rąk znanego badacza historii lokalnej Jerzego Błażeja Mazika trafiły unikalne listy pisane przez żołnierza AK z sowieckiej niewoli. Nie jest znany nadawca listów ani ich adresatka, z treści jedynie domyślamy się, że był to żołnierz AK z V Okręgu, uczestnik lipcowej operacji z 1944 wyzwalającej Wilno. Aresztowany przez NKWD wraz z innymi AK-wcami trafił do niewoli sowieckiej.

Listy oznaczone są pieczęcią w języku rosyjskim: ze słowami – w tłumaczeniu polskim – przejrano – Wojenna Cenzura. Nie mogły one oddawać całej prawdy. Mimo to ich treść stanowi unikalny dokument. Publikujemy fragmenty, uzupełniając informacjami pochodzącymi ze wspomnień innego żołnierza wileńskiej AK Janusza Hrybacza „Zawiszy” (wspomnienia zamieszczone są na stronie: www.kresy.genealodzy.pl/zbior/Kaluga_Hrybacz.pdf)

Katuga 27 08 1944

...Jestem w Katudze na przeszkoleniu wojskowym. Jest tu nieźle tylko chciało by się być tam u nas.

W poniedziałek 17 lipca 1944 r. dowódca V Okręgu AK gen. Aleksander Krzyżanowski „Wilk” zaproszony został przez dowódcę 3. Frontu Białoruskiego gen. Czernichowskiego. Wieczorem tego dnia do żołnierzy AK dotarła informacja o aresztowaniu dowódcy. W ciągu kilku następnych dni wojska sowieckie przeprowadziły obławę na polskich żołnierzach; ich oddziały otaczały formacje NKWD, żołnierzy rozbrajano i kierowano do obozu zbiorczego w Miednikach. 25 lipca przybyła tu delegacja z armii gen. Berlinga, z płk. Putramentem, proponując AK-wcom wstąpienie do dywizji „kościuszkowskiej”.

Większość odmówiła, twierdząc, że obo wiązuje ich przysięga złożona legalnemu rządowi i lojalność wobec aresztowanych dowódców V Okręgu. W końcu lipca transport zatrzymanych żołnierzy AK skierowano na wschód, przez Smoleńsk trafili do Kaługi. Tam w koszarach poinformowano ich o wcieleniu do 361 zapasowego pułku piechoty Armii Czerwonej. Mieli podlegać szkoleniu wojskowemu...

Katuga 21 01 1945

Jest późno, wszyscy śpią. Przed chwilą radio nadało nasz hymn.

Katuga 14.02.1945

Niedawno pisałem do Ciebie przez pocztę, teraz piszę przez kolegę, który ma szczęście „wrócić”. „Wrócić!” Co bym dał za to, żeby można było wrócić. Tutaj cudna jedyna myśl – myśl, która między dniem a nocą – wrócić. Jeśli Bóg da wrócić, ten pobyt tutaj będzie szkołą, którą przez całe życie będę pamiętał. Poczerniałem cały od różnych maści. Tutaj prawie wszyscy muszą chorować na tzw. „czesotnę” coś podobnego do naszego świeżba. Tutaj ciężko – głodno. Chłodno i oprócz tego moralnie nas męczą. Ciekaw jestem, jak teraz wygląda Wilno, nasza parafia.

Katuga 23. 02. 1945

Nie gniewaj się na mnie, że tak często nadprzykrzam się swoimi listami. No, ale powiedz, co mam tutaj więcej do roboty, jedyną przyjemnością jest tutaj pisać, no i oczywiście otrzymywać listy... Prawdopodobnie zostanę przeniesiony do tak zwanych „mieststrojników” (niezdolnych do strojowych zajęć). Jeżeli to dojdzie do skutku, to będzie mi lżej. Tadek (Kiolo?) jest w lesie na robocie, tam jest dość ciężko... Na razie nie wiem jeszcze, jaki będzie mój adres.

Katuga 28.02.1945

*Było ciepło i cicho. Poszedłem do tak zwanego klubu, mieli wyświetlać film. Zamiast filmu wla-
złem na „tańce”. Był elektryczny patefon i płyty...
Dużo, dużo znajomych, tak bardzo znajomych
i tak bardzo wkradających się w duszę płyt...
Wspomnienia! Ja tutaj staram się być twardym.*

Intensywne szkolenie wojskowe prowadzono po 10 godzin dziennie. Obowiązywał rygor i regulamin Armii Radzieckiej. Po okresie przygotowawczym zażądano od AK-wców złożenia przysięgi wojskowej, zaczynającej się od słów „Ja, grażdanin Sowieckiego Sojuza” (ja, obywatel Związku Sowieckiego). Nastąpiła zbiorowa odmowa złożenia przysięgi tej treści. Szkolenie wojskowe przerwano, pogorszyły się warunki bytowe; AK-owców skierowano do ciężkiej fizycznej pracy. Zimą i wiosną rozpoczęto wysyłkę żołnierzy do prac w kołchozach i leśnych podobozach.

Piasocznia 26.03.1945

*Już tydzień czasu jestem w tak zwanej „koman-
dirowce”, stoimy w kołchozie Piasocznia. Tutaj
lepiej niż w Katudze. Praca co prawda dość
ciężka, ale żyjemy po domowemu. Mieszkamy
po dwóch po mieszkaniach. Gotujemy sobie
sami. Przeciętnie o godz. 2 pp. kończymy prace
i wówczas możemy robić, co nam się tylko podo-
ba. Pracą piłowanie lasu. Słyszeliśmy, że „Wilk”
został wypuszczony i robi o nas starania. Nie
wiemy, czy to prawda.*

Pogłoska o zwolnieniu gen „Wilka” Krzyżanow-
skiego i stworzeniu z zatrzymanych polskiego
wojska żywo krążyła po podobozach. Nadzieja
pomagała przetrwać ciężką pracę w mrozie,
a wiosną wśród dokuczliwych insektów...

Piasocznia 4. 04. 1945

*U nas tutaj jest dobrze. Zbieramy się do pracy
(naturalnie swoją paczką). Gramy w szachy,
karty, i śpiewamy, i wspominamy dawne dobre
czasy. Mamy nawet patefon. W ogóle można
tutaj żyć.*

Piasocznia 15. 04. 1945

*Dziś udało nam się kupić trochę papieru na listy.
Będę znów mógł pisać... My tutaj czekamy chwili
powrotu do Polski no i listów. Wszystkim kolegom
piszą rodzice o swoim wyjeździe do Polski.*

Piasocznia 22.04.1945

*...Wyglądam o wiele lepiej, aniżeli ostatnimi
czasami w Wilnie. No bo i sama tylko pomyśl: 3
metry drzewa na dwie osoby dziennie na słońcu
i świeżym powietrzu, to głupstwo. Odżywiamy
się stosunkowo dobrze. Codziennie między in-
nymi dostajemy cukier i śledzie. Wymieniamy te
frykasy na kartofle, mleko też często kombinuje-
my sobie... My (a raczej chłopcy) mają nadzieję,
że po konferencji 25. IV. zmieni się może nasza
sytuacja.*

Rzeczywista norma wynosiła 12 metrów
na jednego zatrudnionego; wyżywienie: 250
g chleba i raz dziennie „cienka” zupa. Nadzieje
budziły pogłoski o rozpoczynającej się 25
kwietnia w San Francisco konferencji two-
rzącej Organizację Narodów Zjednoczonych.

Piasocznia 29.04. 1945

*...Tutaj jest cudownie. Już od paru dni pracu-
jemy rozebrani do połowy. Mam już porządnie
opalone plecy. Piłujemy teraz trójkami... dziś
wracając z pracy zastanawialiśmy się, jak cudow-
nie musi być tam. Tam! Już od paru dni konfe-
rują. Chłopcy pokładają w niej dużą nadzieję.*

Piasocznia 12.05.1945

*Sam nie wiem, od czego zacząć. Czy pozdra-
wiam Cię z „Pabiedą”, czy też zwyczajnie z ca-
łego serca. Ja nadal na starym miejscu. Jestem
zdrowszy (tak całkiem, bez żadnej blagi) i czuję
się pierwszorzędnie. Gdyby nie tęsknota... Ży-
jemy tutaj takim prostym, spokojnym, wiejskim
życiem. Gospodyni (czemu się bardzo dziwię)
przywiązała się do mnie, jak do rodzzonego
syna. Szóstego była u prawosławnych Wielkanoc.
Spędzała ją naturalnie razem z innymi gospoda-
rzami. Parę tygodni temu jechaliśmy do Katugi,
nie wiedząc, czy wrócimy tutaj jeszcze. Żebyś*

wiedziata, jak serdecznie żegnali mnie moi gospodarze i ile było przy tym płaczu.

Wojna zakończyła się – w wersji sowieckiej – 9 maja. Dowodem tego wprowadzony obowiązkowy sposób pozdrowienia: „z pabiedą” (ze zwycięstwem).

Piasocznia 22.05.1945

...Teraz, gdy wojna została skończona, można mieć nadzieję, że z tą chwilą niedługo nastąpi. O nas tutaj zaczęli bardziej dbać. Nawet tutaj, w tę cichą wioskę przyjechał „specjalny” oficer i nam zrobił pogadankę na tle politycznym. Mało tego, że rozmawiają z nami wszystkimi, ale od czasu do czasu prowadzi „przyjacielskie” rozmowy z „pojedynczymi chłopcami”, jednym słowem wesoło u nas, nastroje pierwszorzędne. Chłopcy, żeby udowodnić państwu pracę, sami wyjeżdżają do domów.

W delikatny sposób autor listu opowiada o mnożących się przykładach ucieczek z miejsc zesłania.

Katuga 29.06.1945

Pracuję teraz przy piłowaniu desek. Dziś od rana pada deszcz, więc mam dużo wolnego czasu. Strasznie mi już obrzydła ta Katuga. Pragnę zmiany na lepsze czy też na gorsze. Więc co do tej „jutrzeńki”. Niedawno zabrano z naszej pracy ok. 10 chłopaków do Katugi. Przed paroma dniami przyjechał do nas inżynier i od niego dowiedzieliśmy się, że pojechali do Polski jako ochrona nad jeńcami niemieckimi do odbudowy naszych miast. Prawdopodobnie my w najbliższym czasie podzielimy ich los (naturalnie nie jeńców). No, nareszcie te nasze kochane „prawicielstwa” doszły do porozumienia.

Katuga 5.08.1945

Dziś jest rocznica naszego przybycia do Katugi. Już minął rok!.. Ciekaw jestem, co słychać w Wilnie. Ja już od 18 byłego miesiąca jestem w Katudze. Przyjechałem tutaj do aresztu, odsiedziałem 8 dni, wróciłem na łono koszar. Wczoraj znów wyruszyłem, znów na dalszą wędrówkę, co prawda niedaleko, bo na razie na przedmieście Katugi. Jest nas tu pięciu, mieszkamy w dość przyzwoitym pokoju (łóżka, prześcieradła, koce, poduszki – no i pluskwy). Pracujemy przy sianie... Siedziałem razem z jednym z naszych chłopców, który uciekł z lasu i został złapany w Smoleńsku. Czekał na sąd (8-10 lat więzienia). Tylko dzięki temu, że w Związku Radzieckim nie zadawałają się powierzchownym rozpatrzeniem sprawy, a wnikają w duszę człowieka, starając się zbadać pobudki, jakie pchały go do tego lub innego czynu. Został on utaskawiony... powinnaś go znać... prosi cię o powiadomienie rodziców... Co do naszego wyjazdu, to mówią nam, że już prędko wyjeżdżamy. Ja myślę, że może w tym miesiącu... Witek Ok. w swojej „wędrówce” zatrzymał się w Kijowie i tam prawdopodobnie zginął (mówił mi o tym jeden z jego kolegów).

Po operacji „Ostra Brama” i wyzwoleniu Wilna NKWD zatrzymało blisko 6 tys. osób, w tym – według sowieckich danych oficjalnych, 2860 żołnierzy AK. Wywiezionych do Katugi stopniowo zwalniano w 1946 roku. Nie mogli już wrócić do rodzinnego Wilna. W obozach z powodu głodu, ciężkiej pracy i epidemii chorób zmarło blisko 1/3 aresztowanych AK-wców. Aresztowany 17 lipca 1944 r. dowódca V Okręgu AK gen. Aleksander Krzyżanowski „Wilk”, od maja 1945 r. przetrzymywany był w moskiewskim więzieniu na Butyrkach, potem został zesłany do obozów pod Riazaniem, później pod Wołogdą. Z niewoli uciekł w sierpniu 1947r., w październiku dotarł do Polski. Aresztowany przez UB w lipcu 1948 r., zmarł w więzieniu na Mokotowie we wrześniu 1951 r.

Agnieszka Jarzębowska

XXIII MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL POETYCKI



foto: Agnieszka Jarzębowska

Otrzymałam zaproszenie na XXIII Międzynarodowy Festiwal Poetycki „Maj nad Wilią”. Jak było? Może chociaż część atmosfery festiwalu i samego Wilna uda mi się oddać. Byłam na „Maju...” po raz pierwszy, inni pojawiali się w Wilnie kilka, a nawet kilkanaście razy. Pierwszorazowi uczestnicy byli równie miło przyjmowani, jak stali bywalcy. Zebrała się grupa ludzi zainteresowanych tematyką Kresów, poezją, historią. Połączyło nas Wilno. Wszystko za sprawą dyrektora festiwalu Romualda Mieczkowskiego.

Pierwszego dnia, w niedzielę 29 maja 2016 r. recytowaliśmy wiersze w Kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny (franciszkanów). Msze odbywają się tam po polsku i po li-

tewsku, tu była msza inauguracyjna festiwalu, oczywiście po polsku. Wrażenie i trema spore, jeszcze nie wszyscy uczestnicy zdołali dotrzeć, ale już trzeba było się zaprezentować, nie tylko z nazwiska. Hmm..., jakoś poszło.

Franciszkanie rozpoczęły budowę tego kościoła i klasztoru wkrótce po oficjalnym przyjęciu przez Litwę chrześcijaństwa. Klasztor w roku 1390 został zniszczony przez Krzyżaków, jednak niedługo potem ponownie go odbudowano. Franciszkanie wkrótce stali się jednym z najlepiej uposażonych zakonów na Litwie, mając siedem wsi, trzy jeziora i 54 place w mieście. Ich świątynia zaliczała się do najokazalszych w Wilnie. Niestety, teraz tego samego o kościele nie da się powiedzieć.

Następnie w sali konferencyjnej Instytutu Polskiego, wypełnionej po brzegi, zaprezentowany został niezwykle album *Śladami słów skrzydlatych...*, z podtytułem – *Pomniki pisarzy i poetów polskich na Litwie* autorstwa Romualda Mieczkowskiego i Ewy Ziółkowskiej, sam w sobie dość smutny, bo mimo kolorowych fotografii nie dało się ukryć zaniedbania niektórych miejsc, związanych z naszymi znanymi literatami pochodzącymi z tamtych terenów.

Zaprezentowano również inne książki i czasopisma. Uczestnicy festiwalu mieli okazję obejrzeć film „W pustyni i w puszczy” wg powieści Henryka Sienkiewicza. Ciekawie było obserwować reakcje niemieckiej poetki, która teraz jest w trakcie początkowego kursu języka polskiego. Zadała mi tylko w pewnym momencie pytanie o to, kiedy został nakręcony film. Jak się należy domyślać, był to moment, kiedy na ekranie pojawili się Arabowie.

Drugiego dnia, w poniedziałek 30 maja 2016 r., z hotelu *Pan Tadeusz – Ponas Tadas* – wybrałyśmy się taksówką pod pomnik Adama Mickiewicza, umiejscowiony przy kościele św. Anny, gdzie goście festiwalu, przybyli z Polski, Litwy, Niemiec, Ukrainy, Białorusi, Szwajcarii, Wielkiej Brytanii i Meksyku z udziałem przedstawicieli Ambasady, Konsulatu Generalnego RP, Instytutu Polskiego, poetów wileńskich, zostali uwiecznieni na tradycyjnym wspólnym zdjęciu. Stamtąd udaliśmy się do Muzeum Adama Mickiewicza, miejsca, w którym wieszcz stworzył *Grażynę*. Zwiedziliśmy skromne salki, obejrzelśmy pamiątki po poecie, a później na dziedzińcu, na błyskawicznie zaadaptowanej scenie, pojawili się zaproszeni na uroczystość goście, w tym praprawnuk Adama Mickiewicza Roman Gorecki-Mickiewicz. Poeci zaprezentowali swoje wiersze, ja przeczytałam fraszki (Adam Mickiewicz nie protestował, zebrani również bez zastrzeżeń przyjęli szczyptę humoru).

Po południu tego samego dnia w Insty-

tucie Polskim odbyło się otwarcie wystawy fotografii Jana Skłodowskiego. Były okazje do rozmów, wypicia szklaneczki wody mineralnej neptunas i wychylenia skromnego toastu.

We wtorek – *clou* programu – wycieczka śladami „Potopu” (ok. 600 km objazdówki), jako że rok 2016 ogłoszono rokiem Sienkiewicza.

Najpierw Birże – jedna z litewskich miejscowości z „Potopu” Sienkiewicza. To właśnie tam wystął Wołodyjowski i jego towarzyszy książę Janusz Radziwiłł. Mieli tam zginąć z rąk Szwedów, do czego nie dopuścił swoim fortem Zagłoba.

W samym pałacu ani na tablicach informacyjnych nie znajdzie się opisów w języku polskim. My mieliśmy szczęście być wprowadzonymi w historię pałacu wcześniej przez jednego z gości festiwalu, doskonale zorientowanego w dziejach Kresów. Zainteresowanie eksponatami rozłożyło się na różne sale, poza nami zwiedzających było niewielu.

Nie wysiadając z autobusu, minęliśmy Upitę, Pacunele... kierując się na Wodokty. Podobno piękne panny w tych okolicach były nazywane *pacunelkami*.

W Wodoktach, według Sienkiewicza, znajdował się dwór Billewiczów, gdzie Oleńka poznała Kmicica. Z informacji przekazanych przez znawcę tych terenów dowiedzieliśmy się, że jesienią zostanie na kościele wmurowana pamiątkowa tablica, poświęcona Henrykowi Sienkiewiczowi. Co prawda, jedna z osób obecnych przy podawaniu informacji zapytała, z czego będzie ta tablica. Dowiedziawszy się, że z miedzi, zaczęła głośno protestować, bowiem i na tych terenach nie brakuje zbieraczy metali kolorowych, łagodnie rzecz ujmując.

Były w Wodoktach jeszcze osoby mówiące po polsku, które powiedziały kilka słów dla radia i tv. Udało nam się zwiedzić kościół ufundowany przez rodzinę Lutkiewiczów, zerknąć na usytuowaną obok kapliczkę cmentarną – grobowiec fundatorów.

Na przykościelnym cmentarzu, utrzymanym dość czysto, można zobaczyć nagrobki laudańskiej szlachty: Butrymów, Gasztowtów, Domaszewiczów, Piotrowskich, Ejdregiewiczów. Lituanizacja spowodowała, że obok spoczywają potomkowie o zmienionych już nazwiskach: Butrymasowie, Domaszewiczusowie, Gasztautasowie. Niektóre starsze nagrobki, niestety, powoli niszczeją i nie da się z nich odczytać nazwisk.

Według słów naszego przewodnika, kiedy pytamy o cmentarz na Laudzie, wskażą nam zawsze cmentarz przykościelny, natomiast jeśli miejsce pochówku jest oddalone, trzeba pytać o mogiły.

Moją uwagę zwrócił drewniany zaścianek, usytuowany naprzeciwko kościoła i drewniana, niepospolitej urody plebania, choć też już nadszarpnięta zębem czasu.

Nie powiem, że tylko „zab czasu” naruszył dwór w Mitrunach – ongi posiadłość Sawickich. Powiedziano nam, że miejscowemu notablowi podobała się miedziana blacha z dachu i stopniowo zaczęła znikać, dwór zaś zaczął popadać w ruinę.

Kolejny etap naszej podróży – Kiejdany położone nad Niewiażą – to jedno z najstarszych miast Litwy, wspominane w kronikach Długosza. Kiejdany znajdują się w odległości ok. 60 km od Kowna i 150 km od Wilna. Przeptywająca przez miasto Niewiaża stanowi umowną granicę między Żmudzią a Auksztotą. Kiejdany założone na prawym brzegu są miastem żmudzkiem. Nazwa miasta pochodzi zapewne od nazwiska kupca z Kuronii, Kiejdangena, który założył tu rybacką wioskę. Miejscowości o charakterze miejskim oficjalnie nadano prawa miejskie w XIV w. Przez lata Kiejdany pozostawały w rękach różnych rodów litewskich – Kisków i Radziwiłłów, którzy zapisali się najwyraźniej w historii miasta. W pobliżu Kiejdan, w Szetelniach, urodził się Czesław Miłosz, który od 1990 r. był honorowym obywatelem miasta.

Widać, że trochę się w tym miasteczku zmienia, remontuje się, odmalowuje, jednak ciągle ograniczane są możliwości zachowania dorobku materialnego Polaków. Zajrzeliśmy nad Niewiażę (rzekę znaną z powieści *Dolina Issy* Miłosza). Poznałam już wcześniej pierwszą tłumaczkę tego utworu na język litewski i (nie chwaląc się) paru moich tekścików także. W Kiejdanach miejscowy chór pań zaprezentował nam wiązanek melodii kresowych, pieśni patriotycznych i ludowych. Wróciliśmy do hotelu zmęczeni, dość późno, ale za to wypełnieni po brzegi tym, co zobaczyliśmy.

W środę 1 czerwca 2016 r. udaliśmy się z wizytą do Związku Pisarzy Litewskich. Obejrzeliśmy pałac Ogińskich, w którym mieści się Związek Pisarzy Litwy, z zewnątrz i od środka. Trzeba przyznać, że robi wrażenie. Jednak głównym celem było spotkanie poetów, redaktorów, wydawców, organizatorów festiwalu poezji. Spotkanie było interesujące i, miejmy nadzieję, przyniesie kolejne dobre znajomości, nowe przyjaźnie, tłumaczenia utworów.

Po południu była niepowtarzalna okazja, aby obejrzeć kilka filmów emigracyjnych o Polakach albo zrobionych przez Polaków.

Przed południem w czwartek 2 czerwca 2016 r. czytaliśmy wiersze na podwórzu Klasztoru Bazylianów przed Celą Konrada. Na koniec była wspólna recytacja Inwokacji, na stojąco, chórem, co zostało uwiecznione na filmie. Mogła się zakręcić łza w oku.

Popołudnie i wieczór poza oficjalnym programem festiwalu spędziłyśmy z trzema zaprzyjaźnionymi poetkami w parku Balmontas. No i tu przydarzyło się to, co zdarzyć się nie powinno, czyli przewróciłam się, stąpając nie tak, jak trzeba, skręciwszy sobie obie nogi w stawach skokowych, a lewą złamawszy...

Tomasz „Aztzenty” Barański

**STARAM SIĘ BYĆ W PISANIU ABSOLUTNIE SZCZERY.
SPOTKANIE Z TADEUSZEM CHABROWSKIM**

Pretekstem do spotkania, które odbyło się 6 maja 2016 r. w OPK „Gaude Mater”, była promocja tomu poetyckiego Tadeusza Chabrowskiego, wydanego w 2014 r. „Nitka nieskończoności”. Spotkanie prowadzili literaturoznawczyni prof. Elżbieta Hurnik oraz dyrektor OPK „Gaude Mater” Tadeusz Piersiak, który na wstępie przedstawił sylwetkę Poety.

Autor przyjechał wprost z Nowego Jorku, jest rozdarty między dwoma światami i choć mieszka za granicą od 1961 r., to stale i często powraca do Częstochowy. Jest byłym paulinem i chyba po dziś dzień jest zawieszony między rzeczywistością

świecką i klasztorną. Pisze prozę i poezję. Jest autorem znanym i uznanym w kraju i za granicą, miał publikacje między innymi w paryskiej „Kulturze”.

Rozmowę o poezji poprzedziła prezentacja wierszy, niezwykle lirycznych i przepojonych symbolami religijnymi, które czytał T. Piersiak.

Prof. E. Hurnik, rozpoczynając rozmowę wspomniała, iż jest to kolejne spotkanie autorskie z Tadeuszem Chabrowskim, które prowadzi. Podjęła próbę usytuowania jego liryki, przypominając, iż jego tomikiem debiutanckim były „Madonny”, wydane w Wielkiej Brytanii w 1964 r. Uznała, iż



Prof. Elżbieta Hurnik i Tadeusz Chabrowski, foto: B. Strzelbicka.

Tadeusza Chabrowskiego należy zakwalifikować jako przedstawiciela poezji kapłańskiej, choć do końca nie da się usytuować tej poezji, gdyż ponad poezję kapłańską jednakże wyrasta. E. Hurnik wyodrębniła też w tej poezji dwie wyraźnie dominujące sfery – jedna to sfera teologiczno-filozoficzna, druga to proza życia. Pobrzmiwiają też w wierszach echa nauki Ojców Kościoła. Relacja z powszedniością jest nawet czasem brutalna, dzięki czemu przeżywanie wierszy staje się intensywne, a ironii i autoironii jest więcej niż u ks. Jana Twardowskiego. Największą wartością tekstów jest napięcie pomiędzy wiarą a odejściem od niej, a także stwierdzenie, że każdy człowiek kiedyś wątpi. Jeżeli chodzi o zbiorek „Nitka nieskończoności”, to znalazły się w nim także wiersze z innych zbiorów – co daje zbiór złożony z różnych okresów twórczości.

Na pytanie o zamysł takiego zbioru i poruszanie tematów filozoficzno-religijnych, Poeta odpowiedział, że jego zdaniem każdy pragnie przeżyć *sacrum*, chce mieć swoje kontakty z Bogiem, ale na co dzień życie jest brutalne. Jego poezja jest poszukiwaniem równowagi między tymi dwiema sferami. „Czasem poddajemy się i jesteśmy zniewoleni, bezsilni wobec świata. O co mi chodzi? Do czego dążę? Zmagam się z tym, co nieokreślone i niewidzialne... Konfrontujemy naukę z wiarą, mamy problem – Biblia czy Einstein. Nauka wytrąca nam z rąk ocenę rzeczywistości tak, że pozostaje tylko wiara. Odwieczny dylemat między „wierzyć” a „wiedzieć”.

E. Hurnik nawiązała do refleksji, że Poeta pisze, jakby brakowało mu tchu (wiersze są coraz krótsze), na co odpowiedział, że wszystko, co udało się przemyśleć, można zmieścić w małej kieszonce. Niedawno zmarła żona poety i czuł się on wtedy, jakby miał gorączkę, mózg jego reagował inaczej – do halucynacji włącznie. „Sam na to pozwoliłem swej wyobraźni – mówi.

Byłem świadkiem destrukcji ludzkiego ciała i jednocześnie bezsilności. Nie wiadomo, jak się modlić w takiej sytuacji – z tego też powodu wiersze są chmurne... Staram się być przy pisaniu absolutnie szczerzy, wręcz obnażam się”.

Kolejne pytanie dotyczyło nasycenia wierszy religijnością i prywatnym przeżywaniem wiary. Poeta odpowiedział, że „czasem te wiersze mówią o tym, że Bóg nie może nic beze mnie, a ja bez Boga. Ciągłe jesteśmy jak na górze z lodu i ciągle spadamy. Każda z religii może zdefiniować Boga jedynie w niewielkim fragmencie. Czasem dochodzi do tego, że jak w przypadku religii muzułmańskiej, staje się ona bardzo brutalna. Odpowiedzi ostatecznej oczywiście nie ma, ale z czymś z kosmosu zaczynamy nawiązywać kontakt. Albo znajdę odpowiedź, albo jej nie znajdę, jednakże samo podejmowanie prób mi wystarcza – oto moje przesłanie główne. Jest też świat przyrody, który ma własne prawa, oprócz tego świat kultury, malarstwa, literatury, są dawni i współcześni pisarze, jak Dostojewski...

Ostatnia część dotyczyła przyczyn pobytu Poety w Częstochowie, podczas gdy spędził on pół wieku za granicą, gdzie wyróżnia się między pisarzami polskimi na obczyźnie, jest pisarzem często tłumaczonym na angielski, a tomik „Zielnik Sokratesa” tłumaczony był na wiele języków. T. Chabrowski powiedział, że czuje się związany z Częstochową, chciałby pochować tutaj prochy swojej zmarłej Żony i sam tutaj spocząć. Ostatnie zdanie Poety dotyczyło problemu straty bliskiej osoby: cała przyroda, świat, gdy tracimy to życie, czyni nas wewnętrznie bezsilnymi – ale ciągle pozostaje w nas chęć poznania i ciekawość świata.

Tomasz „Aztzenty” Barański

JAK OTRZYMAĆ KREDYT W... TEATRZE ?

Wydarzenie to kosztowało mnie wysiłek, jaki już prawie się nie zdarza, chodzi mianowicie o stanie w kolejce. „Za czym kolejka ta stoi?” – chciałoby się zapytać – kolejka ta nie stoi za szynką w puszcze, która, jak słyszałem, kosztuje dzisiaj pięć złotych, lecz „po kulturę”, która w tym wypadku kosztowała akurat cztery złote. Dowiedziałem się po prostu o akcji zorganizowanej z okazji czterechsetlecia śmierci Williama Szekspira, dzięki której można było zakupić bilety (w ilości sztuk: dwa) – za jedyne czterysta groszy właśnie. Sprzedaż biletów przewidziana była, jak zwykle, od godziny dziesiątej, ale zostałem uprzedzony dużo wcześniej, iż chętnych może być wielu, więc... , więc nie pozostawało mi nic innego, jak tylko pójść pod Teatr im. Adama Mickiewicza jak najwcześniej. I owszem, będąc tam już o godzinie siódmej dwadzieścia – byłem... – dziesiąty z kolei. Przy okazji odczułem to, jak w latach osiemdziesiątych czuli się tzw. „stacze kolejkowi” – przyznam, że proceder ten nie dotknął mnie wtedy bezpośrednio, gdyż we wczesnych latach osiemdziesiątych byłem akurat nastolatkiem – i to z racji wieku albo też braku doświadczenia czy w ogóle z ograniczenia rozumienia tamtego świata byłem z niego zwolniony (warunkowo?). Była to, i zresztą nadal jest, kiedy to piszę, połowa maja, ale było bardzo zimno oraz padał deszcz, co z kolei spowodowało miłosierne wpuszczenie „staczy” do wnętrza budynku około godziny dziewiątej. Co się wtedy czuje i o czym się myśli – trudno powiedzieć, ogarnęła mnie jakaś ogólna „zniczulica”, byłem nastawiony na przeczekanie i starałem się w ogóle nie myśleć. Inni, którzy przyszli tu w gronie kilku osób, o czymś stale rozmawiali, śmiali się, ktoś czytał nawet książkę. Gdy zaczęto bilety wreszcie

sprzedawać – też nie mogłem pozbierać się z myślami, czy rzeczywiście to się uda – czy dostanę jeszcze jakieś dobre miejsca?.. Jak się później okazało, miejsca w siódmym rzędzie są wręcz idealne – lepsze bywają tylko w rzędzie szóstym, gdzie jest większy odstęp od poprzedniego rzędu.

Co można przeczytać o sztuce, na którą udało mi się zdobyć bilety, w teatralnym prospekcie? Dodam tylko, że było mi to zupełnie obojętne, na co pójdę do teatru, gdyż ostatnio bardzo jestem spragniony tego typu uciech. Sztuka nosiła tytuł „Kredyt” i była komedią (tu trochę narzekania: wolę sztuki psychologiczne, węzły gordyjskie współczesnych egzystencjalnych dylematów, wręcz „psychodramy”), ale przecież i tak dziękuję Teatrowi, iż umożliwił mi na przystępnych warunkach duchową ucztę.

W teatralnym prospekcie czytamy: sztuka „Kredyt”, autor Jordi Galceran, przekład (z hiszpańskiego) Rubi Birden, reżyseria Maciej Kowalewski, koprodukcja spektaklu – Teatr im. A. Mickiewicza w Częstochowie i Teatr im. S. Jaracza, Olsztyn. Grają: Piotr Machalica i Piotr Borowski (gościnnie). Historia nader współczesna: Adam przychodzi do dyrektora banku z prośbą o kredyt. Jednak jego otrzymanie graniczy niemal z cudem – zwłaszcza wówczas, gdy nie ma się żadnego zabezpieczenia finansowego. Dlatego czasem szczęściu trzeba pomóc... szantażem. Dyrektor banku, podjudzany przez bezczelnie pewnego siebie kredytobiorcę, w przyszłości stoczy walkę między rozsądkiem a emocjami. Dodajmy jeszcze, że przedmiotem intrygi jest kobieta – a więc wszystko może się zdarzyć! „Kredyt” to komedia pełna nieoczekiwanych zwrotów akcji, żywych dialogów, podszytych inteligentną ironią i humorem. Trzyma w napięciu do ostatniej sceny.

Tyle notka. Z mojej strony chciałbym dodać, że był to utwór na wskroś współczesny (a nawet modny) – farsa na popularne branie kredytów, któż bowiem ze współczesnych ludzi jest wolny od tego typu transakcji? – jest to wszak integralna część obecnego życia. Pokorny albo wręcz uniżony kredytobiorca, podległy niezliczonym obwarowaniom takiej sytuacji, napotykający ogólną obojętność urzędniczą; typowa sytuacja „pan i sługa”, poganiany przez różnego rodzaju płatności (jak w ekstatycznym tańcu w amoku), pojawia się u urzędnika bankowego, w myślach traktując go ni mniej, ni więcej jak Pana Boga, i... buntuje się. Jest to rodzaj naturalnego buntu (zupełnie już na oślep), a nawet brawury, kto wie, czy nie zdeterminowanej głodem, co w ostateczności dodaje mu siły przebicia. Jest to tylko teatralna komedia, ale widz zdaje się doskonale rozumieć i czuć, o co w tym wszystkim chodzi – niezgoda na biurokrację, egoizm tego typu instytucji i ich urzędników. Chciałbym w tym momencie zwrócić uwagę na bardzo realistyczną i sympatyczną scenografię, która miała oddać gabinet dyrektora. Nie dziwi więc zachowanie bohatera sztuki, który zachowuje się bez sensu i wysuwa absurdalne roszczenia. Dyrektor banku (Piotr Machalica) w charakterystyczny sposób: oziębły, syty i pewny siebie urzędnik wyższego szczebla i, dodajmy, bezduszny, zaczyna gubić się w gąszczu irracjonalnej intrygi, jaką zafundował mu zdesperowany klient. W banalnej tej sytuacji ukryty jest też taki podtekst, jak choćby różnica pokoleń. Dużo młodszy od wszechmocnego i nieczulego urzędnika przedstawiciel współczesnej młodzieży, powala go swym polotem, niespożytą energią i siłą przebicia, mieszając w głowie tak, że na koniec, nieprzejednany dotąd dyrektor – je mu z ręki.

Przedstawiona historia szokuje trywialnością, zwykłością, ale i komizmem – pozwala nam ujrzeć siebie w przysło-

wiowym krzywym zwierciadle, będących niejako w kołowrocie współczesnych mód, ograniczeń, stereotypów, powszechnego chodzenia na łatwiznę i pospolitości. Jest to genialny przypadek zrobienia czegoś z niczego i to w kabaretowym stylu. Sztuka, na której można się rozluźnić, uciec od poszukiwania drugiego dna – w pojęciu filozoficznym, gdyż *de facto* drugie dno jednak w sztuce się znalazło – można by je określić jako coś „z życia marionetek”. I całe szczęście, że to wszystko z przymrużeniem oka, na wesoło, i że było to coś nowego, i że choć łatwe, to jednak odkrywcze. Może w gruncie rzeczy chodziło o to, aby nakłonić dyrektorów banków, by stanęli fontem do klienta i udzielali więcej wymarzonych kredytów, tak jak otrzymał go jeden z bohaterów sztuki?!

Odnosnie jeszcze samej inscenizacji – to o dekoracjach była już mowa, natomiast gra aktorska w wykonaniu Piotra Machalicy oczywiście mistrzowska, w wykonaniu Piotra Borowskiego – brawurowa, a najbardziej podobało mi się, jak na scenie w dowcipny sposób ukazano rozmowy przez telefon komórkowy...

„Kredyt”; autor – Jordi Galcerán, przekład – Rubi Birden, reżyseria – Maciej Kowalewski, scenografia – Katarzyna Kiersznowska, muzyka – Bartosz Dziedzic, kostiumy – Pola Gomółka, koprodukcja spektaklu: Teatr im. A. Mickiewicza w Częstochowie i Teatr im. S. Jaracza w Olsztynie.

Grają: Piotr Machalica i Piotr Borowski (gościnnie).

Prapremiera polska: 30 IV 2016 r.

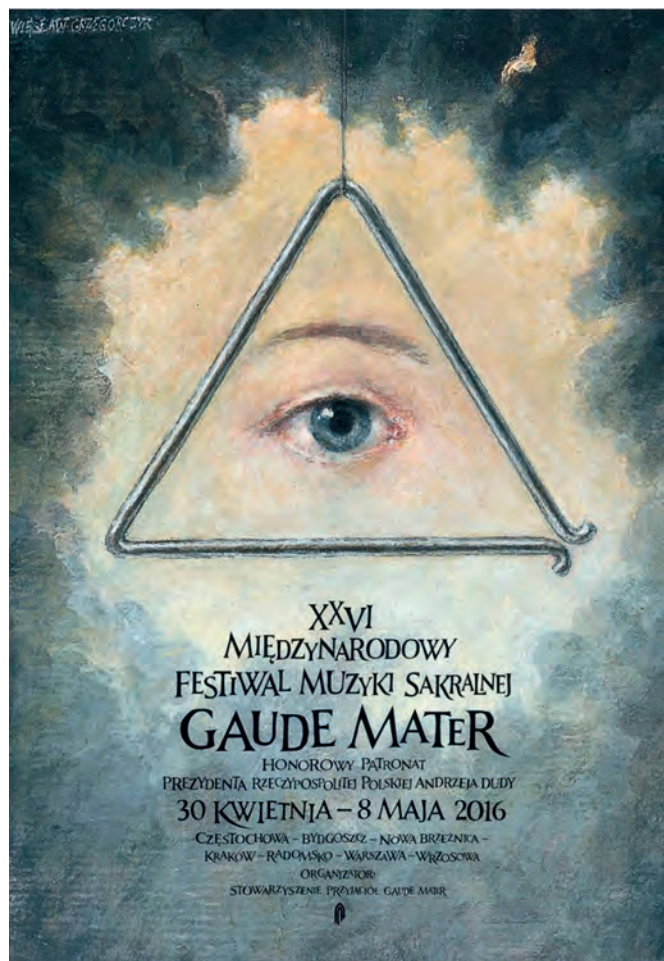
Spektakl w ramach ogólnopolskiej akcji „Bilet za 400 groszy” został wystawiony 21 maja 2016 r.

Barbara Strzelbicka

W OBRONIE SACRUM. XXVI FESTIWAL MUZYKI SAKRALNEJ „GAUDE MATER”

Pomimo znaku zapytania, postawionego przez dyrektora festiwalu Małgorzatę Zuzannę Nowak na zakończenie jego jubileuszowej XXV edycji w 2015 r. – festiwal przetrwał. Zarówno dobór wykonawców, jak i ceny biletów świadczą o niezmiennym kondycji imprezy. Może koncertów w Częstochowie było mniej, ale wystarczająco wiele, by słuchacze mogli uczestniczyć we wszystkich bez konieczności szybkiego przemieszczania się czy też rezygnowania oraz dokonywania trudnych wyborów. Część *Etno Gaudē Mater* w tym roku zatytułowana była „Ukraina – spotkanie z przyjaciółmi”. Wzorem lat ubiegłych kilka koncertów miało miejsce w innych miastach; w tym roku były to Warszawa, Kraków, Bydgoszcz, Radomsko, Nowa Brzeźnica i Wrzosowa/Poczesna. Należy zauważyć, że coraz więcej festiwali ma charakter „międzymiastowy”, tak więc nasz i pod tym względem jest nowoczesny.

Współpraca z niemiecką Kolonią w tym roku zaowocowała udziałem wielu niemieckich artystów, żeby wymienić gwiazdę takiej wielkości, jak Simone Kermes, porównywaną z Cecilią Bartoli zjawiskową sopranistką dramatyczno-koloraturową, która brawurowo wystąpiła w repertuarze Mozartowskim. Towarzyszył jej Ensemble „Sans Souci” Berlin, zespół założony w 1985 roku przez troje muzyków: flecistę Christopha Huntgeburth, grającego na flecie prostym i flecie traverso, Irmgard Huntgeburth – skrzypaczkę oraz Niklasa Trüstedt – gambistę. Jako profesorowie uniwersytetów w Berlinie i Dreźnie, wykładowcy licznych kursów i warsztatów muzycznych, a przede wszystkim koncertujący artyści, cieszyli się już wtedy uznaniem



w międzynarodowym świecie muzycznym. Oprócz nich Częstochowa gościła Die Kölner Akademie, niezwykle zespół, grający zarówno na współczesnych, jak i na historycznych instrumentach, który wystąpił na koncercie inauguracyjnym wraz z grupą profesjonalnych śpiewaków, pochodzących z różnych krajów Europy oraz z Orkiestrą Historyczną {oh!} w „Pasji według św. Mateusza” Jana

Sebastiana Bacha w Jasnogórskiej Bazylice. Niestety, pomimo mistrzowskiego wykonania, wielu gości wyszło niedługo po zakończeniu części oficjalnej – pewnie wezwali ich inne obowiązki albo nie przewidzieli tak długiego utworu.

Tegoroczna oferta muzyczna festiwalu była bogata i różnorodna, nie zabrakło w niej także elementów stałych, które są jak kościec, utrzymujący całość przedsięwzięcia. Świątowaliśmy zatem jubileusz 90-lecia Juliusza Łuciuka, uczczony koncertem w kościele ewangelicko-augsburskim w wykonaniu włoskiego chóru Coro Della Virgola pod dyktando Pasquale Veleno i uhonorowaniem Jubilata Medalem Stowarzyszenia Przyjaciół „Gaude Mater”. Główne uroczystości jubileuszowe odbyły się w Nowej Brzeźnicy, miejscu urodzenia Juliusza Łuciuka oraz, co warto przypomnieć, Jana Długosza.

Innym stałym elementem festiwalu jest wykonanie muzyki ze zbiorów jasnogórskich

– tym razem nastąpiło to w czasie liturgicznej inauguracji festiwalu, a kompozycje wykonał Zespół Muzyki Dawnej La Tempesta pod dyktando Jakuba Burzyńskiego. Eucharystię tradycyjnie sprawował ks. prof. Kazimierz Szymonik, on także wygłosił homilię, a słowa powitania skierował do obecnych w imieniu zakonu paulinów o. Nikodem Kilnar, wielki znawca jasnogórskich zbiorów muzycznych. Obydwaj duchowni podkreślali, że festiwal odbywa się w roku 1050 rocznicy chrztu Polski. Zostały także zacytowane słowa św. Jana Pawła II, że świat bez kultury pogrążyłby się w beznadziei, Benedykta XVI o świętości muzyki i o tym, że Piękno jest przymiotem Boga. Zarówno te wzniosłe słowa, jak i piękna muzyka, zabrzmiały wyjątkowo poruszająco we wnętrzu jasnogórskiej świątyni.

Zgodnie z zasadą, o której mówiła M.Z. Nowak („Galeria” nr 30), nastąpiło rozstrzygnięcie konkursu Musica Sacra Nova w dwóch kategoriach: chóralnej (w tym roku prawy-



Simone Kermes i Jan Łukaszewski, foto: B. Strzelbicka.

konanie nagrodzonych utworów odbyło się w Brauweiler) i organowej (z prawykonaniem w Częstochowie). W kategorii chóralnej I nagrodę otrzymał Szymon Godziemba-Trytek (Polska) za utwór „Beatus vir”, II – Aleksandra Chmielewska (Polska) za utwór „Veni Emmanuel”, III – Francisco Jose Carbonell Matarredona (Hiszpania) za utwór „O magnum mysterium”. W kategorii organowej I i II nagrody nie przyznano, a III otrzymał Michał Malec (Polska) za utwór „Meditation sur la Croix”, wykonany w Bazylice Jasnogórskiej przez Jana Mrocza.

Na festiwalu był także lżejszy repertuar: msza gregoriańska w wykonaniu chóru „Camerata Silesia” i zespołu jazzowego – połączenie, którego efektem było nad wyraz interesujące brzmienie.

Festiwal stawia na chóry, ponieważ muzyka sakralna to przede wszystkim śpiew, będący modlitwą i kontemplacją, a głos ludzki to instrument najdoskonalszy. Oprócz wspomnianych wyżej zespołów śpiewających po raz kolejny gościliśmy chór „Schola Cantorum Gedanensis”, prowadzony przez Jana Łukaszewskiego, najlepszy bodaj polski chór kameralny, zaliczany do światowej elity, który tym razem wystąpił w kompozycjach W.A. Mozarta i towarzyszył Simone Kermes. Po raz kolejny mieliśmy przyjemność słuchać chóru „Camerata Silesia”, prowadzonego przez Annę Szostak, po raz pierwszy przyjechał na festiwal wspomniany chór włoski, ale prawdziwą niespodzianką był występ Ukraińskiego Narodowego Chóru Akademickiego „Dumka”, istniejącego od 1919 r., prowadzonego przez Eugeniusza Sawczuka. Niespodzianka była tym większa, że chór zaśpiewał w cerkwi w drugim dniu prawosławnej Wielkanocy.

Osobną uwagę należy poświęcić chórom gregoriańskim, prowadzonym przez Michała Sławeckiego, bohatera drugiego planu festiwalu. Ten urodzony w 1982 r. wszechstronnie utalentowany i pracowity muzyk jest organistą, kompozytorem, dyrygentem



Juliusz Luciuk, foto: B. Strzelbicka.

i gregorianistą, wykładowcą na Uniwersytecie Muzycznym im. Fryderyka Chopina w Warszawie, w 2016 r. uzyskał stopień doktora habilitowanego. Ciekawostką jest, że w 2008 r. wystąpił z sukcesem w telewizyjnym programie muzycznym „Mam talent”. W Częstochowie prowadzony przez niego chór żeński Mulierum Schola Gregoriana „Clamaverunt Iusti” wystąpił wraz z saksofonistą Pawłem Gusnarem w kompozycji „Verbum Incarnatum”, nagrodzonej nieco wcześniej Fryderykiem 2016 w kategorii: album roku, muzyka dawna. Męski chór, Virum Schola Gregoriana Cardinalis Stephani Wyszyński, założony i prowadzony przez Michała Sławeckiego, wystąpił na zakończenie festiwalu.

Zjednoczone chóry zabrzmiały na koncercie finałowym, zatytułowanym „Historia Polski losami świętych opowiedziana”, poświęconym 1050 rocznicy chrztu Polski. Koncert był wydarzeniem wyjątkowym, na jego repertuar muzyczny składały się utwory znaczące dla polskiej historii –

od „Bogurodzicy” i „Gaude Mater Polonia” aż do kompozycji Krzysztofa Pendereckiego, Pawła Łukaszeńskiego i Wojciecha Kilara. Poszczególne utwory przeplatane były fragmentami homilii wygłoszonych przez św. Jana Pawła II w czasie pielgrzymek do Polski – głosem pięknym, doniosłym i kochanym przez Polaków. Śpiewały chóry o różnym charakterze i brzmieniu: „Collegium Cantorum”, etatowy chór Filharmonii Częstochowskiej, chór Instytutu Muzyki AJD w Częstochowie, „Pueri Claromontani” i wspomniany wcześniej Virum Schola Gregoriana Cardinalis Stephani Wyszyński. Partie solowe wykonała sopranistka Krystyna Nowak, a śpiewakom towarzyszyła orkiestra symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej. Muzyka rozlegała się z różnych miejsc jasnogórskiej świątyni, dodatkowo wprowadzone zostały efekty świetlne. Organizatorzy zadbali, by koncert był uczcą nie tylko dla uszu, ale także dla oczu.

Kwestia stroju jest kwestią uboczną, niemniej jednak warto i temu poświęcić nieco uwagi. Wydaje się, że prawie wszystkie chóry rozumieją ideę sakralnego śpiewu zespołowego i ubierają się skromnie, jednolicie, by całą swoją energię, a co za tym idzie, także uwagę publiczności, skierować na muzykę. Większość chórów wybrała czerń, ukraiński – biel, wiele zespołów śpiewaczych ubranych było w togi, przypominające zakonne habity. Chórzystki jednego z chórów natomiast wystąpiły w sukniach, delikatnie rzecz ujmując, operetkowych: tiule, draperie, dekolty, kontrast czerwieni i czerni, błysk i blichtr. Na tle innych chórów wyglądało to tandetnie. Człowiek dobrze ubrany to ubrany stosownie do okoliczności, a okoliczności były zobowiązujące i na dodatek chór stał na tle ołtarza. Niektórym najwyraźniej zatarła się różnica między *sacrum* i *profanum*: muzyka sakralna, a stroje rodem z „podkasanej muzy”.

Tradycyjnie już festiwal miał także akcent plastyczny i był nim wernisaż wystawy

fotograficznej „Duchowość pogranicza”. Nie chodziło, rzecz jasna, o pogranicze dobrego smaku, lecz o tereny przy wschodniej granicy Polski, o nadbużańskie okolice Białej Podlaskiej, leżące na północ od ujścia Krzny do Bugu. Są to tereny styku różnych religii, silne są zwłaszcza wpływy prawosławia. Tu znajduje się klasztor prawosławny p.w. św. Onufrego w Jabłecznej, gdzie zafascynowany prawosławiem autor zdjęć, Tadeusz Żaczek, od kilku lat organizuje ogólnopolskie plenery fotograficzne. Wystawa, pokazana w Częstochowie, wcześniej wisiała w warszawskiej Kordegardzie.

Po raz kolejny Stowarzyszenie Przyjaciół „Gaude Mater” wykazało się ogromną sprawnością organizacyjną. Dla słuchaczy widoczna była końcowa faza organizacji, kiedy trzeba się było zająć sprawami prozaicznymi, takimi jak ustawianie krzeseł, rozsadzanie gości, witanie tych honorowych, sprawdzanie biletów, zaproszeń, akredytacji... Członków Stowarzyszenia wspierali wolontariusze, pochodzący nie tylko z Częstochowy – okazuje się, że są ludzie, którzy za honor poczytują sobie pracę na rzecz festiwalu. Wysiłek Stowarzyszenia został uhonorowany odznaczeniem Zasłużony dla Kultury Polskiej, przyznany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego na wniosek J.M. Rektora Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie, które wręczone zostało przez wicewojewodę śląskiego. Odznaczenie odebrał na koncercie inauguracyjnym, bardzo wzruszony, prezes Stowarzyszenia Jan Szyma.

Festiwal i jego 26-letnia tradycja pokazują, jak bogata jest twórczość sakralna i jak wielkie jest znaczenie *sacrum* dla kultury. Gdyby z gmachu europejskiej kultury usunąć wszystko, co związane jest z chrześcijaństwem, gmach ten bez wątpienia rozsypałby się. Chrońmy zatem dziedzictwo, które stanowi o naszej tożsamości, pielęgnujmy je! Dbajmy o Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” i chodźmy na koncerty!

Tomasz „Aztzenty” Barański

TU BYŁEM (BIAŁYSTOK)



J eżeli Białystok, to przede wszystkim śpiewy cerkiewne. Rzecz zupełnie niesamowita. Po raz pierwszy (w moim przypadku) „na żywo”. To była niedziela (w dodatku Palmowa – podczas gdy u nas taka odbyła się miesiąc temu), kiedy to przekroczyłem próg Soboru Katedralnego p.w. św. Mikołaja Cudotwórcy w Białymstoku (wzniesionego w latach 1843–1846), i od razu oniemiałem z wrażenia. Te tubalne niskie tony (chóru cerkiewnego) w języku staro-cerkiewno-słowiańskim, unoszą twą duszę wprost do nieba... i to nie działo się w telewizji, ani w radiu, ani nawet z płyty czy choćby w teatrze, tylko tak naprawdę *live*, podczas mszy, która, jak mi wiadomo, trwa tutaj dwie godziny. Gdy wszedłem, cała powierzchnia cerkwi była już zajęta przez wiernych (stałem przy wejściu, nie mając, niestety, możliwości obejrzenia ikony-stasu), odruchowo też szukałem wzrokiem jakichś ławeczek do siedzenia – a tu właśnie w cerkwiach przez całą mszę trzeba stać na własnych nogach i, o ile dobrze się orientuję, stać musiał nawet sam car Wszechrusi. Nastrój egzotyczności potęgowały też zapalane i stawiane przez wiernych na specjalnych

platformach charakterystyczne, cienkie a długie, świece. Dziwiło mnie również to, że wierni, średnio co pół minuty, żegnali się, czyniąc znak krzyża. Nie mogłem też bawić tam długo, gdyż bliska była pora odjazdu mojego pociągu oraz to, że miałem ze sobą spory bagaż, który zajmował dużo miejsca. Gdy tylko zamknąłem za sobą odrzwia, zaczęły śpiewać chóry żeńskie, które były jeszcze bardziej niesamowite niż męskie.

Do Białegostoku wyprawili mnie służbowo astronomowie częstochowscy w celu uczestnictwa w ich Nadzwyczajnym Zjeździe. Nie ma obawy, nikogo nie będę przekonywał, iż powinien zająć się astronomią czy też poruszać tu jakiegokolwiek zagadnienia związane z tą nauką. Mogę powiedzieć tyle, że na dwa noclegi byliśmy zakwaterowani (ja i mój zastępca) w hoteliku przy Wyższej Szkole Zarządzania w warunkach jak najbardziej komfortowych, nie mówiąc już o bezkonkurencyjnym cateringu. Na kongresie omówiono kilka ważnych spraw „technicznych” i nie ogłoszono ani jednego referatu naukowego – ku mojemu ubolewaniu nie było na to czasu. Ale od początku.

W drogę mieliśmy wyruszyć pociągiem ok. godziny ósmej trzydzieści. Jeszcze na stacji uroczy żeński głos poinformował podróżnych na peronie, iż jakikolwiek bagaż czy też pakunek pozostawiony bez opieki będzie usunięty w ciągu kilku minut. Kolejnym szokiem okazało się to, że na tor przy peronie zajeżdżał skład pociągu zupełnie inny niż ten, do którego jesteśmy przyzwyczajeni, później dowiedziałem się, że taki skład określa się mianem pociągu z „Pesy” – tak nazywa się fabryka. Charakteryzuje się on bardzo nowoczesną sylwetką z zewnątrz, przypominającą jako żywo słynne „Pendolino” – obydwie z przodu mają charakterystyczny „dziób” do prucia powietrza w pędzie. W środku nie ma już typowych „pulanowskich” przedziałów, tylko wygodne, ogromne fotele lotnicze, niestety, ustawione nie jeden za drugim, lecz naprzeciw siebie, tak, że patrzy się w oczy swojemu towarzyszowi podróży, co jeszcze może nie byłoby na tyle niemiłe, gdyby nie ta niewielka przestrzeń (nazywając rzecz po imieniu – panowała tam po prostu ciasnota). Składane stoliki pomiędzy parami foteli, przeznaczone najwyraźniej na laptopy, uniemożliwiały założenie nogi na nogę – nie mówiąc już o wyciągnięciu nóg. Jestem osobą palącą papierosy – toteż poraziła mnie informacja podana przez głosniki przemiłym damskim głosem (słyszałem, że aby ten głos brzmiał odpowiednio, też jest poddawany jakiejś elektronicznej obróbce), że zapalenie papierosa w jakimkolwiek miejscu w pociągu (patrz: ubikacja), wywoła włączenie się alarmu i zatrzymanie się pociągu. Do plusów należy zaliczyć też fakt, iż podróż na trasie Częstochowa – Białystok skróciła się z siedmiu do pięciu godzin.

Jeśli chodzi o Białystok, to wiedziałem o nim tyle, że od lat współzawodniczy z Częstochową o dwunaste miejsce w kraju pod względem ilości mieszkańców (raz wygrywa jedno miasto, raz drugie, a różnica wynosi zwykle kilka tysięcy mieszkańców) – ostatnio wygrywa Białystok. Wiedziałem też, że miasto zamieszkuje taka sama liczba katolików i wyznawców

prawosławia – pół na pół, ale już na miejscu dowiedziałem się, że prawosławnych jest mniej niż trzydzieści procent. Samo miasto już na pierwszy rzut oka piękniejsze jest od naszego, wydaje się bardziej przestrzenne, posiada stary i urokliwy rynek – Rynek Kościuszki – nietypowy, bo w kształcie trójkąta, nad którym góruje piękny ratusz. Jak czytamy w przewodniku, ratusz ów „nigdy nie był siedzibą władz miejskich. Ufundowany przez Jana Klemensa Branickiego pełnił funkcje handlowe. Jego budowa przebiegała w kilku etapach. W 1745 r. postawiony został parterowy budynek oparty na rzucie kwadratu. Znalazło w nim miejsce dziesięć sklepów oddanych w dzierżawę miejscowym Żydom. Rozwój handlu spowodował, że już w 1755 r. wybudowano cztery narożne pawilony – alkierze. W r. 1761 wybudowana została jedna kondygnacja wieży, podwyższona do obecnej wysokości w 1798 r. Autorstwo tej budowli przypisywane jest Janowi Henrykowi Klemmowi. W związku z dalszym rozwojem handlu, około 1807 r., poszerzono alkierze. W r. 1868 na ratuszowej wieży pojawił się zegar – wykonany przez «uczonego zegarmistrza Tropa». W r. 1922 w ratuszu mieściło się ponad sto różnej branży sklepików. W 1940 r., okupujący Białystok Rosjanie, chcąc postawić w centrum miasta pomnik Józefa Stalina, rozebrali ratusz, widząc w nim symbol Rzeczypospolitej Obojga Narodów. W 1953 r. wskutek działań Władysława Paszkowskiego rozpoczęto jego odbudowę. Prace zakończono w 1958 r., przeznaczając ratusz na siedzibę Muzeum Okręgowego. Obecnie w ratuszu mieści się Muzeum Podlaskie z okazałymi zbiorami archeologicznymi i etnograficznymi oraz galeria malarstwa polskiego” – byłem, widziałem... – szczególnie podobały mi się portrety „szlacheckie” (przedstawiające dawną szlachtę czy też magnatów) w ogromnych i pięknych, owalnych ramach oraz niemalże cały przegląd dziewiętnastowiecznego malarstwa polskiego – czego próżno szukać w Częstochowie.

Oczywiście perłą miasta jest jeden z najciekawszych zabytków Białegostoku Zespół Pała-

cowy Branickich. To jedna z najokazalszych rezydencji magnackich epoki saskiej na dawnych ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Jego obecny kształt pochodzi z czasów hetmana Jana Klemensa Branickiego i odzwierciedla jego ambicje królewskie. Rezydencja nawiązywała swoim wyglądem do barokowych pałaców królów francuskich, stąd jej nazwy: „Wersal Polski”, „Wersal Podlaski”, „Wersal Północy”. Z XVIII-wiecznych wnętrz pałacowych zachowały się westybul i kaplica (nie widziałem). Na teren kompleksu prowadzi brama wjazdowa, zwana od rodowego herbu Branickich „Gryfen”. W bramie mieści się Multimedialne Centrum Informacji Turystycznej. Dzisiaj zabytkowy obiekt jest siedzibą Uniwersytetu Medycznego. W prawym skrzydle pałacu mieści się Muzeum Medycyny i Farmacji. Za pałacem znajdują się Ogrody Branickich. Pałac jest otoczony jednym z najlepiej odtworzonych barokowych ogrodów w Polsce. Ogród francuski tworzą labirynty i kwatery bukszpanowe. Główna aleja przebiega przez most nad zbiornikiem wodnym, utworzonym z fosy, będącej elementem dawnego bastionu zamkowego. W sąsiedztwie parku francuskiego znajduje się park, utrzymany w stylu angielskim. Na uwagę zasługują dwa obiekty barokowe – pawilony włoski i tokański oraz niezliczona ilość rzeźb, rzekłoby się w stylu antycznych rzeźb greckich czy rzymskich.

Mój pierwszy posiłek w Białymstoku miał miejsce w barze à la bary w PRL. Nie wiem tylko, dlaczego, gdy wybrałem z tablicy posiłków danie o nazwie „zawijka podlaska”, otrzymałem zwykłą pierś kurzą z nadzieniem pieczarkowym – spodziewałem się co najmniej jakiegoś kołacza albo czegoś w tym stylu...

Ponieważ był to weekend – na rynku białostockim odbywały się różne imprezy kulturalne, m. in. najwięcej miejsca zajmowała scena, na której występował właśnie zespół rockowy, charakteryzujący się „mocnym uderzeniem” – wypisz, wymaluj – tak samo, jak na Placu Biegańskiego w Częstochowie. W pobliżu znalazł się również czołg (przeznaczony do podzi-

wiania przez patrzących i nie był to bynajmniej „Rudy – 102” – lecz najzupełniej nowoczesny o potwornej sile wóz pancerny), który usiłował wjechać na pakę ciężarówki, co też zrobił, wypuszczając w międzyczasie z siebie istny czad spalin (siwy i zabójczy dym), tak że wszyscy zaczęli się dusić, chcąc jak najszybciej odskoczyć na bok.

Już zupełnie „na odchodnym”, na dłużej zatrzymałem się przy pewnym bardzo ciekawym obiekcie architektonicznym, którym był kościół p.w. Chrystusa Króla i św. Rocha (tzw. biały kościół, który notabene bardzo podoba się Japończykom). Jest to jeden z pierwszych modernistycznych kościołów w Europie. Zbudowany w latach 1926–1946 na planie ośmioboku, składającego się z trzech stopniowo narastających brył. Charakterystycznym elementem kościoła jest wieża zwieńczona trzymetrową figurą Matki Boskiej, stojącej na półksiężycu oraz rzeźba Chrystusa Dobrego Pasterza, otoczonego stadkiem owiec, usytuowana na otaczających kościół wałach. U podnóża wieży został udostępniony taras widokowy. Trafiłem także (będąc w stolicy Podlasia) – na odbywające się w tym czasie targi książki (bardzo ciekawe, że jest to pierwsze w moim życiu wydarzenie tego typu – i w związku z tym pytanie – dlaczego nie u nas?) – odbywające się w gmachu Opery i Filharmonii Podlaskiej.

Mówiąc o Białymstoku, nie można nie wspomnieć o postaci Ludwika Zamenhofs, twórcy języka esperanto. Jest w mieście Centrum jego imienia, którego oferta kulturalna dotyczy szeroko pojętej tematyki wielokulturowości oraz właśnie osoby Ludwika Zamenhofs. Żał odjeżdżać, miasto jest piękne, jego rozliczne szerokie ulice, a przy nich zabytkowe kamienice i pałacyki (niczym w Łodzi), ale i też liczne nowoczesne, wielopiętrowe biurowce. Miasto nie jest ściśnięte, lecz „oddycha” dużą ilością wolnostojących budynków z przeróżnych epok. I cóż tu dużo mówić (jak już powiedziałem) – piękniejsze jest od naszego.

Hanna Brakoniecka, *Głowa na piecu, czyli 77 opowieści o dzieciach*, Olsztyn 2016, s. 124.

Druga książka autorki, zawierająca krótkie opowiadania, nazwane przez Kazimierza Brakonieckiego „małymi prozami”. Tym razem bohaterami opowieści są dzieci, choć nie jest to książka dla dzieci. Inspiracją dla opowiadań są zarówno historie zasłyszane, jak i zapamiętane z doświadczeń. Różny jest ich charakter: są poruszające, śmieszne i straszne, wszystkie jednak pobudzają do refleksji.



Arkadiusz Frania, *Zbieracze lawendy. Wybór wierszy*, Norbertinum, Lublin 2016, s. 148.

Wybór zawiera wiersze ze zbiorów opublikowanych oraz teksty nowe. „Dobry wiersz przypomina kwiat lawendy, zachowujący pomimo upływu czasu swój kolor i woń. Ta delikatna i wdzięczna w swej urodzie roślina jest symbolem trwałości, nieprzemijającego piękna; jej aromat odświeża i oczyszcza. Czyż o poezji nie powiemy tego samego? Przed nami lawendowe pole wierszy Arkadiusza Frani. Zbierajmy...” (Piotr Sanetra, *Posłowie*).



Mała antologia poezji francuskiej w przekładach Kazimierza Brakonieckiego, Olsztyn 2016, s. 171, nlb. 1.

Publikacja ukazała się z okazji XX Dni Frankofonii i Kultury Francuskiej w Olsztynie staraniem Centrum Polsko-Francuskiego. Nota wydawnicza informuje, iż książka „przynosi garść znanych i nieznanych utworów poetów francuskich należących do klasyki europejskiej poezji nowoczesnej (...)”. Prezentowani są też dwaj poeci z Magherbu, osiadli we Francji i piszący po francusku: Tahar Bekri oraz Mohammed El Amraouri”.



Joanna Polis, *Barbara Rosiek. Inna perspektywa*, Mawit Druk, Warszawa 2016, s. 190, nlb. 2.

Kanwą książki jest rozmowa z Barbarą Rosiek, uzupełniona niepublikowanymi fragmentami jej dzienników oraz fotografiami ze zbiorów prywatnych. Dystansu wobec wyznań nadają słowa: „Lubię drażnić mego czytelnika, dobrze się TU bawię. I niech tak pozostanie. Kocham moje wewnętrzne sprzeczności. Kto tak naprawdę się w tym połapie, kiedy sama zacieram granice jawy i snu, szaleństwa i rozkoszy”.





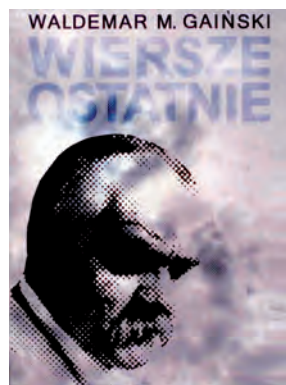
Barbara Rosiek, *Anka Pióro*, Mawit Druk, Warszawa 2015, s. 136.

Książka stanowi trzecią część trylogii, poświęconej tytułowej bohaterce, a zatem kontynuację historii, przedstawionej w *Ćpunce* i *Skazanej*. Tym razem jednak główną bohaterką jest terapeutka, od początku próbująca pomóc młodej narkomance, przechodzącej etapy, nazwane tytułami trylogii. Tematem powieści jest próba zrozumienia istoty nałogu i docieczenia jego przyczyn.



Barbara Rosiek, *Wiersze zebrane*, Mawit Druk, Warszawa 2016, s. 464.

Tom zawiera cały dorobek poetyckiej autorki, wydany wcześniej w 14 tomach. Twórczość poetycka Barbary Rosiek jest mniej znana od jej twórczości prozatorskiej, tym cenniejsze jest wydanie kompletnego zbioru wierszy. Sama poetka tak rekomenduje książkę: „Chcesz poznać pisarza – zanurz się w jego poezję. Jestem poetką, a proza to dopiero drugi nurt mojej twórczości. Wiersze nie kłamią, pokazują prawdę o autorze”.



Waldemar Gaiński, *Wiersze ostatnie*, Wydawnictwo Towarzystwa Galeria Literacka, Częstochowa 2016, s. 74.

Ostatnie wiersze poety tyle niezwykłego, co kontrowersyjnego, zmarłego przedwcześnie w 2011 r. Wydane staraniem przyjaciół i wielbicieli jego poezji, z największym udziałem dyrektora OPK „Gaude Mater” Tadeusza Piersiaka.



Ryszard Wytrych, *Z nurtem, ale pod prąd*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2016, s. 178.

Trzecia po *Orłach na śniegu* i *Czwartym grzechu* powieść R. Wytrycha. Z noty wydawniczej: „Rzeczywistość zaprezentowana z oryginalnej perspektywy prowincjonalnego aktywisty uwikłanego w schyłkowy peerelowski socjalizm. Choć próby podtrzymywania rozsypującego się systemu przez jego ostatnich obrońców nabierają znamion groteskowości, nie wyklucza to możliwości postrzegania ich jako zwyczajnych, wzbudzających sympatię ludzi. Obok udanie karykaturowanych regionalnych bohaterów utworu pojawiają się znane osobistości ówczesnej sceny politycznej”.

Jan Ciesielski

CO JEST GRANE?

Witamy wszystkich, co w komplecie,
W czasach niewolnych od niedoli,
Stawili się na KABARECIE
Z własnej nieprzymuszonej woli.

Naszym naczelnym jest zadaniem,
Co chcemy rzec Wam na „dzień dobry”,
By nasz KABARET nie był znany,
Nie ZNANY, lecz od razu – dobry!

Nie wszystko będzie tu do śmiechu,
Nie w każdym tekście śmieszny wątek.
Dylemat – co wiedzie do grzechu?
Problem – gdzie śmiechu jest początek?

Komu się w życiu ciągle plecie,
Komu wiatr zawsze w oczy wieje?
Czy to jest w zimie, czy to w lecie,
Niech w KABARECIE ma nadzieję.

Widzu, nie szukaj dziury w całym,
Nie płąć za dziury w żółtym serze.
Choć kabaretem Świat – nie miałym,
Bzdur Świata wszystkich nikt nie zbierze.

Śmiech jako zdrowie polecamy,
Lecz zawsze dbajmy o rozsądek.
Szkodliwą rzeczą, jaką znamy,
Pusty śmiech na pusty żołądek.

Nie odwrócimy Ci złych losów,
Nie załatwimy nic „od ręki”,
Lecz może choćby kilka osób
Wyrwiemy z codziennej udręki.

Cieszymy się zdrowiem, jakie mamy.
Cieszymy się nawet złą rodziną.
Wkrótce ustawy z podatkami
Również uśmiechu nie ominą.

Dopóki jeszcze ten nasz Świat,
Myślowy kryzys przeżywając,
Za uśmiech nie dolicza VAT,
Z rozumem serio w durnia grając.

Nie uciekajmy od radości,
Zróbmy z rozrywki strefę szarą.
KABARET po to jest, by złościć,
Rzućmy wyzwanie złym maszkarom.

Wszystko, co złe, kiedyś się kończy,
Zatem liczymy na wytrwałość.
Czasami żart, niczym pies gończy,
Przyniesie w pysku tylko żalność!

Nie czekajmy z uśmiechem do jutra,
Nie składajmy na procent w PeKaO,
Szczery uśmiech ważniejszy od futra,
Wszak do śmiechu powodów jest mało!

SPROSTOWANIE

W numerze 36/37 CzML GALERIA zmieściliśmy na stronie 10 fotografię ze spotkania Uładzimira Niaklajewa w AJD. Niestety, podpis pod fotografią jest błędny! Pomiędzy stojącym Bogdanem Knopem i siedzącym Uładzimirem Niakljeuem siedzi Jazep Januszkiewicz, a nie Wojciech Pestka, jak mylnie podpisano. Obu panów przepraszamy, nawet jeśli nie mieliby nic przeciwko temu, by zamienić się miejscami.

Redakcja

Copyright © **TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA**

Redakcja:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Jarosław Kapsa (zastępca redaktora naczelnego),
Bogdan Knop (redaktor naczelny), Ida Jadwiga Łubińska, Magdalena Syguda.

Stali współpracownicy:

Małgorzata Franc, Izabela Kołdej-Ptak, Małgorzata Nowakowska-Karczewska,
Alicja Nowak, Elżbieta Gola, Janusz Mielczarek, Aleksandra Keller, Jacek Gierasiński,
Marian Panek, Agnieszka Złota, Andrzej Kalinin, Maciej Skalik, Rafał Socha, Wiesława
Owczarek.

Projekt graficzny okładki:

Marta Konieczny

Skład:

J.M.K., Jarosław Leszczuk (redaktorzy techniczni)

Druk:



Drukarnia Usługowa „Gryf”
ul. Garibaldiiego 14 a
42-200 Częstochowa
www.gryf.czyst.pl

Printed in Poland.

Wydawca:



Towarzystwo Galeria Literacka

ul. Metlera 4
42-224 Częstochowa

Adresy e-mail do przysyłania materiałów w formie elektronicznej:

galeria.literacka@gmail.com

Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000545735 Regon: 360871693 NIP: 9492200168
Nr rachunku: BOŚ Bank S.A. 40 1540 1014 2101 8518 7364 0001

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.
W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISSN 2449-5328



Ludmiła Mariańska, foto: Piotr Dłubak

FOTOgaleria

Ludmiła Marianańska, foto: Piotr Dłubak

